

David Morrell

Rambo: Pierwsza krew

tom II

Przełożył Jan Kraśko

Od autora

W powieści Pierwsza krew Rambo zginął. W filmach-żyje.

Dziękuję Andrew Vajnie, Mario Kassarowi i Robertowi Brennerowi z wytwórni Carolco (specjalne ukłony dla Jeanne Joe) za umożliwienie mi sprawnego zebrania materiałów niezbędnych do tego przedsięwzięcia.

Dziękuję Darze Marks z Westgate Group...

Sylwestrowi Stallone i Jamesowi Cameronowi też dziękuję.

Broń opisana w tej książce (i pokazana w filmie Rambo) istnieje. I działa. Co więcej, jest dziełem sztuki.

Nóż został skonstruowany przez Jimmy'ego Lile'a, "płatnerza z Arkansas", pracującego przy Route 1, Russeville, Arkansas 72801. Pan Lile jest również twórcą słynnego noża z filmu Pierwsza krew. Nóż opisany w tej książce jest nieco inny, choć wywiera równie dramatyczne wrażenie. Wykonano sto numerowanych kopii tego noża i sprzedano je kolekcjonerom, podobnie jak w przypadku noża pokazanego w filmie Pierwsza krew. Można też nabyć kopie nie numerowane, choć te różnią się nieco od wersji oryginalnej. Pojawił się także nóż do rzucania, zaopatrzony w ostrze długości piętnastu centymetrów.

Łuk powstał w firmie Hoyt/Easton Archery mieszczącej się przy 7800 Haskell Ave. Van Nuys, Kalifornia 91406. jest w sprzedaży, podobnie jak nóż. Dziękuję Joe Johnstonowi za wprowadzenie mnie w tajniki tej skomplikowanej broni. Kathy Velardi dostarczyła mi pomocnych informacji. Bob Rhode odpowiedział na moje pytania dotyczące historii łucznictwa.

Strzały zostały skonstruowane przez Pony Express Sport Shop mieszczący się przy 16606 Schoenborn St, Sepulveda, Kalifornia 91343. Dziękuję Joe Ellithorpe'owi za wyjaśnienie mi ich unikalnych możliwości.

I - KAMIENIOŁOM

Rozdział 1

Z głębokim zadowoleniem, pogrążony w czystości doskonale beczasowej chwili zen, Rambo wziął potężny zamach ciężkim młotem i uderzył. Na wagę młota nie zwracał uwagi - bardziej ucieszyło go to, że opadające wysoko ponad ramionami narzędzie zatoczyło w powietrzu zgrabny łuk. Wsparłszy cios całą mocą ducha, grzmotnął młotem w stalowy klin zatopiony w fascynująco pięknym (boprzecież istniał) białym gładzie. Rambo patrzył i na urzekającej powierzchni kamienia dostrzegał każde zagłębienie, każdą skazę, bo każda nierówność pęczniała pod jego wzrokiem jak pod szkłem powiększającym. Dźwięczne uderzenie metalu o metal i gład rozpękł się, siekąc wkoło odpryskami niczym eksplodujący szrapnel, nareszcie uwalniając stalowy klin...

Wolny. Na wspomnienie tego słowa Rambo zeszywniał i natychmiast wymazał je z pamięci.

Nie.

Pokręcił głową.

Nie wolno ci myśleć o wolności.

W ogóle nie wolno ci myśleć.

Wolno ci tylko pracować.

Na stalowy klin spadła połyskująca kropelka potu jedna z wielu kropelek zraszających mu czoło i rozbryzwała się na żelazie, eksplodując tak samo jak chwilę

wcześniej eksplodował potężny gład. Lśniące w słońcu rozpryski przypominały mu...

Odłamki szrapnela. Rakiety wystrzeliwane ze śmigłowców bojowych. Miny. Granaty. Rzygającą ogniem dżunglę. Przeróżliwie krzyczących żołnierzy. I krew...

Nie myśl.

Jeśli chcesz przeżyć, pracuj. Pracuj, nic więcej. Wbił klin w następny gład, znów podniósł młot i w zaciętym skupieniu grzmotnął nim w stalowy trzpień.

Jeszcze raz!

I jeszcze raz!

I...

W koło, w rozległym, głębokim kamieniołomie, rozlegały się takie same dźwięki - odgłosy ciężkich, przenikliwych uderzeń metalu o metal. Nad spieczonymi słońcem skałami wisiało rozedrgane powietrze. Mężczyźni w zlachmanionych więziennych strojach roboczych - z napisem WIEZIENIE na plecach przepoconych kurtek - unosili młoty, chwiejąc się ze zmęczenia, robili głęboki wdech i... raz! I jeszcze raz! I jeszcze! Uderzali w stalowy klin, żeby rozłupać swój gład.

Ale oni nie znają tajemnicy, pomyślał Rambo. Nocami jęczą i zrzędzą, przeklinają swój los, narzekają na harówkę.

Nie wiedzą, że tak naprawdę to nic nie ma znaczenia. Nic.

Nic oprócz przetrwania.

Egzystencji jako takiej.

Tak, bo nawet ból może być czymś cudownym. O ile tylko patrzy się nań z odpowiedniej perspektywy. O ile tylko wymazuje się z pamięci przeszłość, nie myśli o przyszłości i zmusza umysł do koncentracji na przejrzystości chwili obecnej, nawet jeśli chwila ta jest wypełniona bólem.

Obolały, zerknął w stronę ponurych strażników z kwadratowymi gębami, którzy obserwowali każdy ruch każdego więźnia. Robili to ostrożnie, z odległości, ściskając w rękach dwunastostrzałowe strzelby albo karabiny marki Springfield wyposażone w celowniki optyczne.

Nie pozwól, żeby te sukinsyny cię zgnębiły.

Czasami, kiedy walił młotem, czując, jak potężne, napięte mięśnie pochłaniają siłę uderzenia metalu o metal, myślał o pełnych przemocy wydarzeniach, które go tutaj przywiodły. O tamtym mieście. O tym policjancie. Tak, o Teasle'u. Dlaczego ten skurwiol nie chciał ustąpić?

Wtedy z jakiegoś zakamarka umysłu dochodziła odpowiedź: A dlaczego ty nie ustąpiłeś?

Miałem prawo.

Do czego?

Do robienia tego, co chcę, w kraju, za który walczyłem, dla którego poświęciłem duszę.

Jednak musisz przyznać, że wydałeś mu się dziwny.

Bo sypiałem w lasach? Bo się nie goliłem i, nie strzygłem? Przecież nikomu- nie zrobiłem krzywdy. Nie miał powodu mnie zaczepiać.

Ale mogłeś mu wszystko wytłumaczyć. Musisz, przyznać, że wyglądałeś na włóczęgę. Przyznaj. Nie miałeś pracy.

Jakiej pracy? Kto by mnie zatrudnił? Wyszkolono mnie tylko do jednego. W Wietnamie powierzali mi sprzęt wartości kilku milionów dolarów, byłem pilotem śmigłowca szturmowego. A tutaj nie mogę dostać roboty nawet na parkingu samochodowym. Chryste!

Rozwścieczony, grzmotnął młotem w stalowy klin.

Teasle. Ciągłe się mnie czepiał. Aresztował mnie. Kazał swoim ludziom mnie ogolić. Jak ten skurwysyn z Wietnamu, który zostawił mi na plecach i piersi pamiątki od noża.

Puściły ci nerwy.

Nie. ja się tylko broniłem!

Uciekłeś z aresztu, wyrznąłeś w pień grupę pościgową w górach. Nie mieli żadnych szans. Miasto obróciłeś w perzynę, wysadziłeś je w powietrze. I tylko pomyśl, co zrobiłeś temu policjantowi. A teraz...

Kipiąc wściekłością, Rambo skinął głową. Całkowicie wybity z kontemplacji, czując narastającą furję, podniósł młot, zdecydowany zniszczyć, unicestwić kolejny głąz.

Teraz płacił za wojnę, w której walczył. O, tak, jasne, wyszkolili mnie. Z przyjemnością mnie tam wysłali. I to z jaką.

Tylko dlaczego myśleli, że natychmiast o tym zapomnę? Dlaczego nie włożyli równie wielkiego wysiłku w to, żeby mnie po tym wszystkim odreagować?

Może to niemożliwe? Może po prostu tu nie pasujesz, i tyle?

Po pół roku w wietnamskim obozie pracy? Nie pasuję? Może to i racja. Po takim czymś masz wrażenie, że jedyne miejsce, jakie by ci odpowiadało, to piekło.

Jak choćby to. Z jednego więzienia do drugiego.

Tylko że tym razem to więzienie amerykańskie. Ameryka. Dom ludzi dzielnych. Kraj ludzi wolnych.

Gdyby tylko ten gliniarz...

Gdyby ten gliniarz co?

Gdyby tylko mnie spytał, jak leci.

Rozdział 2

Odłożył młot, muskularnym ramieniem otarł czoło i pomyślał, że nic mu to nie pomoże - zarówno ramię, jak i czoło spływały potem. Spojrzał na najbliższego strażnika, potem na wiadro z wodą stojące na skalnej półce trzy metry w górę zbocza i uniósł brwi.

Strażnik zacisnął srogo usta i odpowiedział mu lekkim skinieniem głowy;

Rambo powłókł się na zbocze. Zobaczył przed sobą szczupłego Murzyna. Za chudy jest, pomyślał obserwując czarnego więźnia pijącego wodę z chochli przywiązanej do wiadra. Na chwilę spotkali się wzrokiem.

Oczy Murzyna zdawały się mówić: Kurwa, chyba tego nie wytrzymam.

Część umysłu Rambo doszła do wniosku, że jak facet będzie dalej tak myślał, to na pewno nie wytrzyma. Ale nie, tego mu wzrokiem nie powiedział, jedynie: fakt, ciężko jest. Na luzie, stary. Trzymaj się.

Włokąc się w stronę swego miejsca w kamieniołomie. Murzyn skinął mu głową.

Rambo zanurzył chochlę w pokrytej warstewką kurzu wodzie i zaczął pić. Woda była gorąca i miała rdzawy posmak, ale doszedł do wniosku, że w Wietnamie pijał gorszą. Zlał nią sobie plecy. Nie ochłodziła go.

- Rambo! - Władczy, chrapliwy głos.

Obrócił się gwałtownie i stanął twarzą do dwóch strażników. W oślepiających promieniach słońca bijących im zza pleców prawie nie rozróżniał ich twarzy ani nawet sylwetek. ;

Nie odpowiedział. Nie mógł, bo było to zakazane. Gdyby zaryzykował, mogła go spotkać kara: dźgnięcie kolbą strzelby, uderzenie kijem.

- Tędy - rozkazał chrapliwy głos; strażnik stojący po lewej wskazał w górę zbocza. - Ruszaj przodem. - Broń trzymali w pogotowiu.

Rambo z trudem zachował kamienną twarz.

Ale polecenie strażnika wykonywał ze skurczonym żołądkiem - trawiła go ciekawość przemieszana z podejrzeniami.

Jego obawy wzrosły jeszcze bardziej, kiedy strażnik idący za nim warknął:

- Tak, stary: Nie wiem, co się tam dzieje, ale kazali mi cię przyprowadzić. Z dowództwa przyjechali. Z samej góry. Masz gościa.

Rozdział 3

Nazywał się Trautman. Samuel Trautman, pułkownik Sił Specjalnych Armii Stanów Zjednoczonych. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o lisiej twarzy, miał na sobie barwny mundur galowy, na głowie dumnie nosił zielony beret. Prawie połowę swego pięćdziesięcioletniego życia spędził w wojsku. Nauczył się (a później uczył innych), jak zabijać ludzi z każdego rodzaju broni, od AK-47 poczynając, na długopisie kończąc. Walczył w dżunglach, na pustyniach, w górach, widział, jak jego żołnierze, których uważał za synów, giną rozerwani na strzepy, zbryzgując go krwawymi szczątkami, trzy razy był ranny...

Ale to, co miał zrobić za chwilę, przyćmiewało wszystko. Cała reszta była przy tym jak obóz szkoleniowy dla rekrutów. Stało przed nim najtrudniejsze zadanie w jego karierze.

Wojskowe buty miały grube podeszwy i po korytarzu niesło się przenikliwe echo. Po lewej i po prawej stronie widniały rzędy drzwi z małymi zakratowanymi okienkami. Zmrużył oczy - raziło go jaskrawe światło lamp na suficie. Czuł zapach potu i stchłego powietrza. Czuł też coś jeszcze, coś intensywniejszego, bardziej drażniącego: odór rozpaczy.

I nieszczęścia.

Z towarzyszącym mu strażnikiem doszli do końca korytarza.

- Tutaj? - Ruchem głowy wskazał ostatnie drzwi.

- Niech się pan lepiej odsunie. - Strażnik wyciągnął z kabury czterdziestkepiątkę, odpiął z pasa pęk kluczy, jeden z nich wsunął do zamka i przekręcił. Klucz obrócił się ze zgrzytem. - Będę stał w kącie i dopilnuję, żeby nic się nie stało.

- Nie.

Strażnik westchnął.

- Niech pan posłucha. Znam swoje rozkazy. Mam pozwolić panu na rozmowę w cztery oczy. Ale ten facet nie jest... Powiem to inaczej. Są więźniowie i więźniowie. Ten jest najniebezpieczniejszy z niebezpiecznych. A ja odpowiadam i za niego, i za pana. Odbije mu szajba i...

- Nie.

Klawisz pokręcił głową.

- Jak pan chce, ale niech pan potem nie mówi, że pana nie ostrzegałem. Skoro się pan tak upiera, to proszę, niech pan to weźmie. - Podał mu pistolet. - Na wypadek gdyby...

- Daj pan spokój.

Trautman minął strażnika i pchnął otwarte drzwi, Zaskrzypiały na zawiasach, odsłaniając ciasne, ciemne wnętrze.

Klawisz pstryknął zewnętrznym przełącznikiem. I nic - światło się nie zapaliło.

- No jasne. Wiedziałem. -Co?

- To pierdolec. Uważa się za księcia ciemności. Trautman zignorował go. Wszedł do środka. - Niech

pan będzie ostrożny - mruknął klawisz. Sięgnął do żarówki pod sufitem i zaczął ją wkręcać, aż zapłonęła.

Wtedy się rozejrzył. Betonowe ściany. Metalowa prycza przytwierdzona śrubami do podłogi. W kącie celi ośmiocentymetrowej średnicy otwór w podłodze służący za ubikację. Dokładnie naprzeciwko drzwi maleńkie zakratowane okienko, wybite zbyt wysoko, żeby przez nie wyjrzeć. Nie to, żeby widok miał jakiegokolwiek znaczenie - słońce zasłaniała sąsiednia ściana.

Rozglądał się dalej.

W kącie po lewej stronie, z płonącymi oczami, z naprężonymi mięśniami, przykucnięty jakby odpoczywał albo miał za chwilę skoczyć...

Czekał Rambo.

Jezus Maria, pomyślał Trautman. Przypomniała mu się pantera, którą kiedyś widział. Chodziła po klatce całymi dniami: tam i z powrotem, tam i z powrotem, tam i z powrotem, by w końcu przystanąć, przysiąść i ze ślepiami jak dwa czarne słońca - czekać.

Rozglądając się z dezaprobatą po ciasnej celi, Trautman zrozumiał nagle, jak Rambo musiał się czuć, gdy w suterenie posterunku, gdzie się to wszystko zaczęło, osaczyły go takie same ściany.

Nie, pomyślał, to nie tak. Wszystko zaczęło się o wiele dawniej.

Ale w przyprawiającej o mdłości fali współczucia litości? może smutku? - jaka go ogarniała, zrozumiał coś innego: czekało go zadanie o wiele trudniejsze, niż to sobie wyobrażał.

- Spokojnie. - Odwrócił się, żeby zamknąć drzwi, i na chwilę przed tym, jak je za sobą zatrzasnął, na chwilę przed tym, jak metal uderzył o metal, dźwięcząc echem odbitym od ścian, dostrzegł zaniepokojoną twarz klawisza.

- Zaczekam - powiedział tamten przez zakratowane okienko przebite na wysokości twarzy.

- Nie - odrzekł Trautman. - Wykona pan rozkaz i odejdzie na drugi koniec korytarza. Proszę zostawić nas samych.

- Ale muszę zamknąć drzwi. - No to na co pan czeka?

Zgrzyt klucza w zamku. Trautman wsłuchiwał się przez chwilę w odgłos oddalających się kroków, po czym przeniósł wzrok na Rambo, który ani drgnął, chociaż pułkownik celowo stanął do niego tyłem - miał to być znak, gest zaufania i dobrej wiary.

- Spokojnie? - Tym razem Trautman zrobił z tego pytanie.

W celi zapadła straszliwa cisza.

Mięśnie zadrgały mu niczym rozwijana sprężyna i ostrożnie, powoli, żeby nie wprawić ich w zbyt gwałtowny ruch, Rambo wstał.

Cisza się przedłużała.

- Witaj, John.

- Dzień dobry, panie pułkowniku. - Zwężonymi oczami badał oblicze Trautmana.

No tak, pomyślał pułkownik. On nigdy nie lubił rozmów o niczym. Zresztą ja chyba też nie.

- Mogę usiąść?

Rambo spojrział na niego z ukosa i trudno powiedzieć na pewno, ale chyba kiwnął głową.

Trautman usiadł na pryczy. Koc był szorstki, materac cienki. Zaskrzypiały sprężyny.

- No tak... A więc tu jest twój dom, he? - Miał nadzieję, że zabrzmiał to jak żart.

Nie zabrzmiało.

Rambo zmrużył oczy jeszcze bardziej i pokręcił głową.

- Tam, na zewnątrz. W kamieniołomie. Na otwartej

przeźreni. Może tam. Dom? Nie wiem... Tutaj. Te ściany Ściany...

- Spokojnie, John, przecież wiem. Przyjechałem, żeby spróbować ci pomóc. Wierz mi albo nie, ale zrobiłem, co mogłem, żeby nie wysyłali cię do tej nory.

Rambo się najeżył.

- Siedziałem w gorszych.

- Fakt, siedziałeś... - Trautman wyobraził sobie karny obóz pracy w północnym Wietnamie, gdzie Johna torturowano. - Wiem. - Przygnębiony spojrział w dół i pod łóżkiem zobaczył jakiś przedmiot.

Zniszczone pudełko od butów. Zdziwiło go to. Poza pudełkiem w celi nie zauważył nic co mogłoby uchodzić za rzecz osobistą.

- Mogę?

Rambo nie odpowiedział.

Zakładając, że milczenie jest oznaką przyzwolenia, Trautman zaryzykował i wyciągnął pudełko spod łóżka.

Ale kiedy je otworzył i zobaczył, co jest w środku, słowa uwięzły mu w gardle.

- To... twoje? - wykrztusił.

- Moje. :

Pułkownik z trudem przełknął ślinę i zaczął przeglądać zawartość pudełka.

Sponiewierane fotografie. Fotografie-widma. Żołnierze z oddziału sił specjalnych, w którym służył Rambo. Pojedynczo i grupowo. W czasie wolnym i na służbie. W mundurach i po cywilnemu.

Jeden z nich przykuł szczególną uwagę Trautmana.

Rambo - młody, starannie ogolony. Niewinny. Szeroko uśmiechnięty.

Pułkownik z przygnębieniem podniósł wzrok i spojrzał na stojącego przed nim zdziżatego człowieka, człowieka, który spośród wszystkich żołnierzy, jakich kiedykolwiek wyszkolił, był mu najbliższy, niczym najukochańszy syn.

Odchrząknął i siląc się na obojętność, powiedział:

- Sami twardziele. Najlepsi, z jakimi kiedykolwiek pracowałem.

- Ci wszyscy ludzie nie żyją.

- Ty żyjesz.

- Równie dobrze mógłbym nie żyć.

Unikając jego palącego wzroku, Trautman znów zajął się pudełkiem. Czuł, jak w gardle narasta mu dławiąca gula.

- Medal of Honor...

- O, tak, wspaniałe czasy. Za ten medal plus dwadzieścia pięć centów można tu dostać kubek kawy.

- Medal of Honor i...? - Lecz im dalej w las, tym więcej drzew. - Dwie Srebrne i cztery Brązowe Gwiazdy, dwa Soldier's Cross, cztery Vietnamese Cross of Gallantry i... - Z trudem przełknął ślinę. - Garść Purple Hearts.

- Pięć. Pozwolili mi to wszystko zatrzymać. Nie prosiłem się o te blaszki. Nigdy ich nie pragnąłem.

- A czego pragnąłeś?

- Czego? Po prostu... nie wiem. Po tym wszystkim... chyba chciałem tylko tego, żeby ktoś, obojętnie kto, żeby ktoś do mnie podszedł, uściśnął mi rękę i powiedział: "Dobra robota, John." I żeby ten ktoś mówił szczerze. Naprawdę szczerze... Zwłaszcza po tym tam...

- Zostałeś Bohaterem nie w tej wojnie, John. Źle wybrałeś.

- Nic nie wybierałem. I nigdy nie chciałem być tak zwanym bohaterem. Robiłem tylko to...

Trautman odczekał chwilę i dokończył za niego:

- Do czego cię wyszkolono.

- Tylko to, o co prosili mnie inni. I to, co byłem zmuszony robić, żeby... przeżyć. - Wskazał ściany celi. - No i żyję.

Wydawało się, że cela skurczyła się jeszcze bardziej. Pułkownik nie mógł tego dłużej odkładać.

- John... - Wstał i zrobił krok do przodu. - Obiecałem ci kiedyś, że jeśli będę mógł, to ci pomogę.

Rambo przeszył go wzrokiem.

- Że cię stąd wyciągnę. John nie zareagował.

- Interesuje cię to? Milczenie.

- Chyba nie chcesz tu zostać.

- A co musiałbym zrobić, żeby stąd wyjść? Tutaj przynajmniej wiem, na czym stoję.

Nienawidzę tych ścian. Ale kiedy pracuję w kamieniołomie, na słońcu, na otwartej przestrzeni, nie jest tak źle. Można by nawet powiedzieć, że jest spokojnie.

- Najpierw mnie wysłuchaj. - Pułkownik pokręcił głową. ~ Wróć. Najpierw wysłuchaj nas obu.

- Obu?

- Chodźmy.

Trautman załomotał w drzwi.

- Hej tam! Wiem, że pan słyszy! Otwórz pan to cholerstwo!

Rozdział 4

Rambo patrzył na bujny, rozległy trawnik rozciągający się przed więzieniem. Był zdziwiony, jakby zobaczył miraż. Trawniki zraszały spryskiwacze. Pachniało deszczem. Wdychając słodki aromat, pokonał niewielki pagórek i w towarzystwie Trautmana ruszył w stronę ociężałego mężczyzny w skromnym szarym garniturze.

Z tyłu obserwowali ich dwaj strażnicy. Stali w pewnej odległości, ale Rambo słyszał, jak przeładowują karabiny. Kajdanki były zapięte na ostatni ząbek.

Doszli do mężczyzny w szarym garniturze.

- To jest pan Murdock - powiedział Trautman. Murdock, to jest Rambo.

Murdock wyciągnął rękę.

Rambo mógł tylko unieść swoje i pokazać, że są skute.

Murdock uśmiechnął się i zapalił papierosa.

- Widzę. Drobne trudności, co? Nic to. Tak czy owak, witaj, Rambo. Miło cię widzieć.

Rambo przyjrzał się jego twarzy. Mimo że Murdock się uśmiechał - uśmiechem absolwenta dobrej uczelni, sztucznym i nieczułym - dostrzegł w niej coś nieokreślonego, jakiś zimny błysk w oczach. Zaniepokojony odwrócił się, spojrzał na Trautmana, a potem znów na Murdocka.

- Szpicel?

Murdock przestał się uśmiechać. Zmrużył oczy.

- Uprzedzali mnie, że z ciebie bystrzak. Zgadza się. Jestem z CIA. Z Wydziału Operacji Specjalnych.

- Nie pracuję ze szpiclami.

- Nie jesteśmy tacy źli. Kiedy się nas dobrze pozna.

- W tym problem. Już was poznałem. W Wietnamie. W sześćdziesiątym ósmym.

W sześćdziesiątym ósmym agenci CIA skontaktowali się z oddziałem A zielonych беретów, przywożąc rozkaz zlikwidowania grupy sympatyków Wietkongu mieszkających w wiosce na przedmieściach Sajgonu. Kiedy zadanie zostało wykonane, okazało się, że wywiad popełnił błąd, że wieśniacy, których zastrzelono, nie należeli do Wietkongu - wprost przeciwnie - i że CIA zaprzecza, jakoby miała z tym coś wspólnego. Przed sądem postawiono cały oddział A. Wszystkich skazano, uwięziono w Sajgonie, a następnie przewieziono do Stanów. Żołnierze z innych oddziałów sił specjalnych wpadli w taką wściekłość, że planowali atak na więzienie, żeby odbić współtowarzyszy

Kiedy CIA się o tym zwiędziała, dowództwo wojsk

skich w Wietnamie zaczęło systematycznie zmniejszać ilość akcji zielonych беретów, stopniowo redukując ich stan liczebny w południowo-wschodniej Azji i grożąc całkowitym rozwiązaniem sił specjalnych.

Rambo nie brał udziału w tej operacji, ale znał tych, co w niej uczestniczyli, i nie znosił fałszu.

- W sześćdziesiątym ósmym? - powtórzył Murdock. Człowieku, to było nieporozumienie, naprawdę. Starodawne dzieje. Poza tym chyba nie rozumiesz, w czym rzecz. Błysnął zimno oczami. - Rozmawiamy o teraźniejszości, o dniu dzisiejszym. Nie wiem, czy nasz dobry pułkownik ci o tym wspominał, ale mogę cię stąd wyciągnąć, jestem do tego upoważniony. Myślałem, że tego chcesz. Chyba że rozbijanie kamieni sprawia ci frajdę.

Rambo spojrział ponad jego ramieniem na spryskiwacze zraszające trawnik. Przed oczyma stanął mu kamieniołom, osaczające ściany celi. Gdy na jego policzku osiadły chłodne kropelki wilgoci, zeszywniał. Jeśli chcesz przetrwać, pracuj, rób coś...

- Nie zaszkodzi posłuchać. Co to za robota?

~ Teraz mówisz do rzeczy. Tak trzymać. Robota? Coś w sam raz dla ciebie. Klasyczna operacja sił specjalnych. Szybkie uderzenie i odwrót. Góra dwa dni.

- W wojsku macie pełno zielonych беретów. I nie siedzą w więzieniu. Dlaczego ja?

- Dlaczego? Bo nam się podobasz. A przynajmniej podobasz się naszemu komputerowi w Langley. Wybrał twoją teczkę w siedem sekund. Zdecydowały różne "czynniki. Przebieg służby. Znajomość terenu.

- Terenu? - Rambo zmarszczył brwi. - Jakiego?

- Jeszcze nie teraz. Jeszcze się nie zdecydowałeś.

- Nie będę się decydował w ciemno.

- Co jest, panie pułkowniku? - Murdock spojrział na Trautmana. - Może to jakieś nieporozumienie? Myślałem, że pański chłopak jest chętny. Reguła jest prosta, Rambo: tak albo nie. Wchodzisz w to albo nie wchodzisz. I to teraz, natychmiast. Jeśli nie, nie było rozmowy. Jeśli w to wejdiesz, pracujesz na własną rękę, jasne? Żadnych komentarzy z naszej strony. My nic o tym nie wiemy. Rozumiemy się?

Nie zaciągnąwszy się ani razu, rzucił papierosa w trawę i rozgniół go eleganckim skórzanym butem. W oddali szumiały spryskiwacze.

- Niech pan mu powie - rozkazał Trautman chrapliwym głosem. - Biorę na siebie odpowiedzialność.

- Północny Wietnam. - Murdock pogardliwie ściągnął usta. - Kraj, który dzisiaj nazywają Wietnamską Republiką Demokratyczną,

Rambo zeszywniał. Przypomnił mu się żołnierz, który zostawił mu na plecach i piersi szachownicę blizn. Przypomnił mu się dół, gdzie go przetrzymywano, i paskudztwa, jakie nieprzyjacielscy żołnierze na niego zrzucali. Robaki? Jadł i robaki. Ekskrementy? Przywykł do nich. A blizny? Nie było dnia ani nocy, kiedy by nie myślał o zemście...

Trautman postąpił krok do przodu i Rambo poczuł między nimi żołnierską więź.

- John, chodzi mu o to, że... Zostawiliśmy tam naszych chłopców, jeńców.

- Chce pan powiedzieć, że ktoś pomyślał o nich dopiero teraz?

- Nie zapominamy o naszych żołnierzach - wtrącił Murdock.

Rambo czuł, że tkwi w tym wszystkim jakieś zło.

I dobro jednocześnie.

Spojrzał na Trautmana i w jego oczach zobaczył pełne zaangażowanie w sprawę, nadzieję, potrzebę zwycięstwa, Chryste, zwycięstwa chociaż w niewielkim epizodzie wojny, dla której obaj poświęcili duszę.

~ Dobra Zdecydowałem się. Wchodzę w to.

Błyskawicznym ruchem nadgarstków zdjął kajdanki i rzucił je na ziemię.

Murdock wytrzeszczył na nie oczy.

Rozdział 5

Był sam w wąskiej celi; Siedział ze skrzyżowanymi nogami na betonowej, zimnej jak lód podłodze i rzucając na ścianę cień monumentalnego Buddy, patrzył w dół, na maleńki okrągły otwór, który służył mu dotąd za toaletę.

Za plecami, przy otwartych drzwiach, wyczuwał obecność sfrustrowanego i bezradnego strażnika.

Z nabożną rozważą otworzył pudełko i spojrzał na swój dobytek. Skrawki pamięci. Pamiątki po dawno zmarłych przyjaciółach.

Symbole męstwa.

I gwałtownej śmierci.

Sięgnął ręką do obcasa i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w jego dłoni wykwitł kartonik z zapalkami.

Nie musiał się nawet oglądać, by stwierdzić, że strażnik poderwał głowę i zdenerwowany, cały zeszywniał.

Tak, tak, to zapalki. Gdybym tylko chciał, mógłbym w każdej chwili puścić tę budę z dymem. Założę się, że zastanawiasz się teraz, co jeszcze tu ukrywałem.

Trzymając zapalki w jednej ręce, drugą zaczął wrzucać do otworu swoje medale. Wszystkie, jeden po drugim.

Z głębi dobiegło go stłumione plaśnięcie.

I jeszcze jedno.

Po chwili trzecie.

Potem czwarte.

Nie rozumiał, dlaczego to robi, ale ta czynność sprawiała mu przedziwną satysfakcję. Poza tym czuł, że czeka go coś złego. Mógł stamtąd nie wrócić - nie chciał, żeby ktoś gmerał w jego rzeczach, gdyby nie wrócił.

Otworzył kartonik, oderwał i zapalił zapalkę. Błysnął migotliwy płomyk.

Wtedy Rambo przytknął płomyk do pierwszej fotografii. Potem do drugiej, do trzeciej... Ten przyjaciel. Tamten. Płonące zdjęcia spadały w otchłań i z głośnym sykiem gasły gdzieś głęboko pod nim.

Wreszcie...

Jego własne zdjęcie.

Bo złe przeczucia narastały. Szósty zmysł ostrzegał go, że kiedy się ma do czynienia z Murdockiem, nawet kamieniołom może być miejscem lepszym niż...

Patrzył, jak jego dawne "ja" płonie i rozpada się na części.

Jakby tego było mu jeszcze mało, spalił nawet pudełko na buty.

II - WILCZA NORA

Rozdział 1

W Bragg się nie zmieniło i czerpał z tego niejaki pocieszenie. Koszary, kantyna, zbrojownia, izba chorych, park maszynowy, plac apelowy; tor przeszkód, wieże spadochronowe - wszędzie widział tłumy żołnierzy, którzy, wyróżniwszy się w szkoleniu ogólnowojskowym, przyjechali tu, żeby dostać się do elity. Z okna pokoju - siedzieli w centrum dowodzenia Powietrznych Sił Specjalnych obserwował pluton żołnierzy truchtających przed gmachem. Równy krok, rytmiczny stukot butów. Świeży narybek. Byli tu od tygodnia i jeszcze mieli nadzieję.

Wściekły sierżant dopasował krok do ich kroku i ryknął:

- Trzy, cztery, lewa! Lewa! Lewa, ty dupku! Ramiona prosto! Giwery też prosto! Prosto, powiedziałem! Babska z was nie żołnierze! Nie nauczyli was tam, jak...

Pluton zniknął mu z oczu. Dawno temu, w latach niewinnej młodości, był jednym z nich. Przypomniawszy sobie ten patriotyzm. Tę dumę. Przełknął ślinę.

Gdyby wtedy zdawał sobie sprawę, jakie będą tego konsekwencje, czy kontynuowałby szkolenie? Nie wiedział.

Gnębiony myślami, rozejrzał się po sali odpraw. Małe, surowe wnętrza, metalowe wojskowe krzesła pomalowane na brązowo, stół, ostre światło pod sufitem. Patrzyło

na nich oko kamery wewnętrznego systemu bezpieczeństwa. W korytarzu, przed drzwiami, stało dwóch żandarmów.

Adiutant obszedł stół, wręczył mu zapieczętowaną kopertę, podał sztywną podkładkę i długopis.

Siedzący naprzeciwko Murdock nachylił się i rzekł:

- To twoje rozkazy.

- Proszę tu podpisać - powiedział adiutant. Rambo podpisał.

- I jeszcze tutaj.

Rambo złożył drugi podpis.

- Teraz możesz to otworzyć. - To znowu Murdock. Przeczytaj i wszystko zapamiętaj. Tutaj, na miejscu. Papiery nie mogą opuścić tego "pokoju.

Rambo złamał pieczęć. Z koperty wyjął plik kserokopii dokumentów.

Murdock nachylił się jeszcze bardziej.

- Podczas akcji w Wietnamie, Laosie i Kambodży zaginęło dwa tysiące czterystu amerykańskich żołnierzy. Na oficjalnych listach widnieją jako "Przypuszczalnie zabici". I na pewno większość z nich nie żyje.

Rambo przeglądał papiery. Pominąwszy imponującej grubości plik gęsto zapisanych meldunków i doniesień, wyłowił ze sterty kilka ziarnistych, czarno-białych zdjęć formatu dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów.

Murdock mówił dalej:

- Mimo to wciąż otrzymywaliśmy nowe meldunki. Większość, to same bzdury. Plotki. Ale później nadeszły raporty od naocznych świadków, od uciekinierów i od miejscowych sympatyków. Pamiętaj, że to wiadomości nie potwierdzone. Z drugiej strony, jest ich bardzo dużo. Z każdym rokiem coraz więcej. Do tej pory zebraliśmy ponad dwa tysiące trzysta doniesień. W końcu musimy

wykonać jakiś ruch. Dla Ligi Rodzin Zaginionych, dla Kongresu i dla wielu Amerykanów to wciąż bardzo emocjonalny problem. Uważam, że dysponujemy wystarczającą ilością materiału, żeby coś zrobić.

Rambo oglądał fotografie. Zostały wykonane z bardzo dużej wysokości i pokazywały niewielki kompleks budynków - głównie chat - położony w posępnej kotlinie pośród dżungli. Był otoczony gęstą roślinnością, przesłonięty falami rozedrganego od upału powietrza, dlatego w pierwszej chwili Rambo z niczym sobie tego nie skojarzył.

I nagle - szok.

Lecz zanim zdążył otworzyć usta, Murdock wskazał ręką na dokumenty i powiedział:

- W notatce numer E-7 znajdziesz szczegóły. W opuszczonej bazie wojsk wietnamskich na wyżynie północnośrodkowej mogą znajdować się zabudowania służące za obóz dla więźniów. Jak sam widzisz, nasz wywiad niewiele zdziałał. Na zdjęciach z LANDSAT-u widać chaty, jakieś baraki... Nie wiadomo, co to tak naprawdę jest.

Rambo podniósł wzrok i przeszył go rozjuszonym spojrzeniem. Serce biło mu coraz szybciej, waliło jak młotem.

- Chryste, co wy chcecie...?

Obruszony Murdock wyprostował się i poczerwieniał na twarzy.

- No? - warknął. - Mów.

- Myśli pan, że nie rozpoznaję tego miejsca? Myśli pan, że w tej norze oślepiłem? Że nagle zgłupiałem? Przecież to jest...! - Ochrypl. Był tak wściekły, że nie mógł dokończyć.

Lecz nie wypowiedziane słowa zdawały się wypełniać cały pokój.

Murdock zmrużył oczy i popatrzył na Trautmana.

- Miał pan rację - mruknął.

- Oczywiście. Mówiłem, że tak będzie. Murdock odchylił się w fotelu i skrzyżował ramiona.

- Ta operacja jest wystarczająco ryzykowna bez... Trautman przechwycił wzrokiem spojrzenie Johna

i wzruszył ramionami.

- Widzisz, oni myśleli, że będziesz im wdzięczny za okazję do wyrwania się z kamieniołomu. Koniec z tłuczeniem głazów i tak dalej. Logiczne założenie. Żaden problem. Założyli też, że skusi cię poczucie lojalności, że zechcesz uwolnić tych żołnierzy. Ale nie wiedzieli, czy przejścia, jakie miałeś w wietnamskim obozie pracy... Tak, to ten sam obóz. Tam cię trzymali.

- Pułkownik zacisnął usta. ~ Tam cię torturowali. Chryste! Widzisz, nie wiedzieli jednego. Nie wiedzieli, że możesz zareagować zupełnie inaczej, że możesz im powiedzieć: "Nie, do diabła. Macie mnie za ostatniego durnia? Ja tam nie wrócę".

Rambo regulował częstotliwość oddechu, próbując zdusić dławiącą go złość.

- Szpicle z CIA. Oni się nie zmieniają. Muszą kłamać. Zawsze.

- Nieprawda. - Murdock rzucił ołówek na stół. - To nie było kłamstwo. To była zastrzeżona informacja. Musiałem wiedzieć. Nie skłamałem. Po prostu nie powiedziałem wszystkiego.

Rambo świdrował go wzrokiem.

- No dobra - burknął Murdock. - Chcesz wiedzieć wszystko, to ci powiem. Tak, to ten sam obóz, z którego uciekłeś. To twój obszar działania. Wspomniałem, że komputer wybrał cię w siedem sekund. Bo masz tyle medali? Oczywiście. Bo z ciebie twardziel? Naturalnie.

Ponieważ sam byłeś kiedyś jeńcem wojennym? Jak najbardziej. Ale najważniejszym kryterium doboru był fakt, że nikt, dosłownie nikt nie zna tego obszaru tak dobrze jak ty. Bądźmy szczerzy. To operacja o najwyższym stopniu ryzyka. Kto mógł przewidzieć, że wypłyną dodatkowe elementy, które przeważą szalę i każą ci się wycofać? Ale jeśli na to pójdziesz... Jeśli pójdziesz na całego, zostaniesz ponownie wcielony do zielonych беретów. Co prawda tymczasowo, ale domyślamy się, że to dla ciebie ważne. A jeśli ci się powiedzie... Nie mogę nic obiecać, ale odbyłem już rozmowy wstępne. Niewykluczone, że prezydent cię ułaskawi i ta jatka w mieście pójdzie w niepamięć. Tak więc muszę teraz zadać panu pytanie, poruczniku. Decyduje się pan?

- Dobry pan jest - odrzekł Rambo. - Naprawdę dobry.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

- Tak, decyduję się. - Machinalnie gestem podniósł rękę i dotknął blizn pod drelichową koszulą.

Murdock odetchnął.

- Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia. Załatwię niezbędne formalności.

- Jaki macie plan?

- Składa się z dwóch etapów: z rozpoznania i z akcji ewakuacyjnej. Ty załatwiasz etap pierwszy: rozpoznanie. Masz zbadać teren, potwierdzić obecność amerykańskich jeńców wojennych, o ile ich tam w ogóle znajdziesz, zebrać dokumentację fotograficzną i taktyczną i wycofać się do punktu ewakuacyjnego. - Dla podkreślenia wagi swych słów na chwilę zamilkł. - Bez nawiązywania kontaktu bojowego z nieprzyjacielem - zakończył z naciskiem.

- Bez... - Rambo przeniósł wzrok z Murdocka na

Trautmana. - Chce pan powiedzieć, że mam się wycofać bez naszych chłopaków? Że jak ich znajdę, to nie mogę ich odbić?

Murdock uprzedził Trautmana.

- Nie. Absolutnie nie. Zajmie się tym grupa wyznaczona do fazy drugiej. Oddział specjalny Delta.

- Przecież tam będę. Tam, na miejscu. Nie do wiary... Mam zrobić zdjęcia, i tyle?

- Rozczarowany? - Murdock podniósł ołówek i zastukał nim w blat stołu. - Niesłusznie. To karkołomne zadanie. - Zmrużył oczy. - Nawet dla ciebie.

- Dobra. Zdjęcia. - Rambo spojrzał na Trautmana. Panie pułkowniku, czy tym razem zwyciężymy?

- Tym razem - odrzekł Trautman - wszystko zależy od ciebie.

- O wpół do siódmej masz samolot do Bangkoku. Polecisz zwykłymi liniami pasażerskimi, żeby nie rzucać się nikomu w oczy. Masz tu paszport, metrykę, dokumenty uzupełniające. Będziesz podróżował pod własnym nazwiskiem. Instynkt podszeptuje mi coś innego, ale Tajlandczycy są dzisiaj cholernie podejrzliwi wobec Amerykanów przechodzących przez odprawę paszportową. Nie chcemy żadnych... kłopotliwych sytuacji. Ale kiedy przekroczysz granicę, pogramy szybciej i z mniejszym respektem dla przepisów. - Murdock uśmiechnął się, jakby oczekiwał, że ten etap operacji sprawi mu szczególną frajdę.

Rambo przyjrzał się zdjęciu w paszporcie. Zrobiono je niedawno. Zmarszczył brwi. Nie przypominał sobie, kiedy go fotografowali.

- Skąd to macie? Musieliście mieć dużo czasu, żeby... Byliście aż tak pewni, że się zdecyduję?

Niczego nie byliśmy pewni - odparł Murdock. Moglibyśmy je zniszczyć z taką samą łatwością, z jaką spreparowaliśmy. W Bangkoku spotkasz się z...

Rozdział 2

Siłniki samolotu Japońskich Linii Lotniczych zmniejszyły obroty i maszyna zaczęła schodzić do lądowania. Rambo poczuł, że żołądek podejżdża do góry, i że rosnące ciśnienie zatyka mu uszy. Zacisnął zęby i przełknął ślinę - usłyszał cichutkie pyknięcie i odgłosy dochodzące z zatłoczonej kabiny pasażerskiej stały się wyraźniejsze. Za oknem widział chmury, a kiedy samolot zszedł niżej, zobaczył malowniczy krajobraz Tajlandii. Tropikalna dżungla, pola uprawne, rzeki. A w oddali, pod krawędzią skrzydła, rozciągał się ruchliwy Bangkok.

Ostatnim razem oglądał tę część kuli ziemskiej z okien wojskowego samolotu transportowego, który unosił go do normalnego świata, do Białego Domu - wracał, żeby odebrać Congressional Medal of Honor. W służbowej pochwałce, jaką otrzymał z medalem, opisano jego ucieczkę z wietnamskiego obozu pracy i półtoramiesięczną, pełną udręki wędrówkę przez dżunglę, którą zakończył w bazie wojsk amerykańskich stacjonujących za strefą zdemilitaryzowaną. Ale nikt i nic nie opisze tego, co wtedy przeżył. Zaraz po tym, jak amerykańscy wartownicy omal go nie zastrzelili - nie wierzyli, że ktoś, kto wygląda jak zwierzę, może być ich rodakiem - został przewieziony śmigłowcem do szpitala w Sajgonie, a stamtąd... Trzydzieści sześć godzin później - plus przeskok przez kilka stref czasowych, szok kulturowy i temu podobne rzeczy - wylądował w bazie sił powietrznych w Edwards. W starej, dobrej Ameryce.

I wtedy, gdy zdał sobie sprawę, że wszyscy oczekują od niego, że sam pozbiera okruchy swego życia - jakby Wietnam był tylko mało znaczącym epizodem - rozpętało się prawdziwe piekło.

I trafił do tego miasteczka.

I spotkał Teasle'a.

Wstrząs wywołany przyziemieniem wrócił go terażniejszości. Spod fotela przed sobą wyciągnął torbę podrózną, swój jedyny bagaż.

I nagle przyszło mu do głowy, że może by tak na tym poprzestać. Może by tak skończyć z tym wszystkim i po prostu zniknąć.

Po tym, co przeżył, nie był nikomu nic winien, Południowo-zachodnią Azję znał równie dobrze jak Stany Zjednoczone. Tak, mógł zniknąć. Więzienia, awantury koniec z tym.

Pewnie, dlaczego nie?

Ale zaraz pomyślał o amerykańskich jeńcach, którzy siedzieli w tym piekle tak długo, że pół roku, jakie spędził w wietnamskim obozie pracy, było w porównaniu z tym jak krótki weekend.

Pomyślał też o Trautmanie, który narażał swoją karierę, żeby z więziennej celi, co noc ciałniejszej, coraz nieznośniej przytłaczającej, wyciągnąć syna, którego sam wyszkolił.

I oddychając głęboko, zastanawiając się nad ostateczną decyzją, pomyślał: Nie. Dałem słowo. Dotrzymam go.

Po raz ostatni.

Ale kiedy mijał sztucznie uśmiechniętą stewardesę (- Życzę panu miłego dnia. Dziękujemy, że zechciał pan

skorzystać z usług naszej linii.) i wychodził z samolotu, czuł w żołądku palący niepokój.

Rozdział 3

Lotnisko Don Muang w Bangkoku przypominało rozedrgane mrowisko pełne mrówek używających cuchnącej oliwy do smażenia; jej smród był przytłaczający. Nie rzucając się w oczy, wraz z tłumem innych pasażerów zmierzał labiryntem korytarzy do sali odpraw. Tak jak mówił Murdock, jego paszport był czysty niczym higieniczna chusteczka do nosa.

- Jaki jest cel pańskiej wizyty?

- Przyjechałem dla przyjemności.

Celnik spojrzał na niego z dezaprobatą, jakby przyjemność oznaczała opium albo dziwki.

Ale podstemplował paszport i mruknął:

- Dobrej zabawy.

I Rambo wyszedł z sali przylotów.

Na dworze uderzyła go znajoma fala dusznego orientalnego upału. Kropelki wilgoci przywarły mu do czoła i przemoczyły koszulę. Z torbą w rękę wszedł w ciżbę Azjatów i turystów, lustrując wzrokiem chaos ulicznego ruchu.

Zabrzmiał cichy klakson dobitego Citroena stojącego przy krawężniku; kierowca miał jaszczurą twarz. Wsiadając, Rambo kazał się wieźć do hotelu Indra.

Jak tylko skręcili za róg, odwrócił się gwałtownie, żeby sprawdzić, czy nikt za nimi nie jedzie. Czując, jak tężeją mu mięśnie, szybko kazał Tajowi stanąć.

Kierowca zahamował, obrócił głowę i zdziwiony

uniósł brwi, przez co stał się jeszcze bardziej podobny do jaszczurki.

Rambo wcisnął mu w dłoń dziesięć dolarów, chwycił torbę (- Niech pan rusza. Szybko!) i podczas gdy Tajlandczyk coś tam do siebie mamrotał odjeżdżając od krawężnika/wyskoczył z Citroena. Zdążył jeszcze pomyśleć, że podobne odczucia towarzyszą skokowi ze spadochronem, i natychmiast ogłuszyła go wrzawa ruchliwej dzielnicy handlowej. Wchłonął go tłum.

Rozdział 4

- Że co?! Chwila, czy ja cię dobrze zrozumiałem? Zgubiliście go?! Cholera jasna! - Murdock ścisnął mikrofon radionadajnika szyfrującego. Na szyi wystąpiły mu żyły. - Było was trzech i nie daliście rady go...

W głośniku zatrzeszczało, potem dobiegł ich przeproszający głos:

- Głowę daję, że w samolocie nas nie zauważył.

- Sralis-mazgalis.

- Nie mógł. Wyglądaliśmy jak turyści, jak inni. Koszule w kwiaty, luźne spodnie z madrasu, słomkowe kapelusze. Mieliśmy wszystko, co trzeba.

- Jezus... - wyszeptał Murdock.

- I siedzieliśmy oddzielnie. Kiedy wyszedł z samolotu, ruszyliśmy za nim. Dwóch chłopaków z miejscowej placówki obserwowało go na sali odpraw. Pojechaliśmy za nim samochodem no i...

- No i...?

- No i taksówka nagle się zatrzymała...

- Dość, wystarczy, Nie chcę tego słuchać. Wszystko sprowadza się do jednego: spierdoliliście robotę. Jak i dlaczego, nie ma znaczenia.

- Przez całą drogę nie wykonał żadnego podejrzanego ruchu, naprawdę. Dopiero kiedy...

Murdock trzasnął przełącznikiem i wyłączył głos. Nachmurzony wzniósł oczy, jak do Boga.

- Nowe zadanie na pewno się temu dupkowi spodoba. Wyślę go do Rejkiawiku, cholera jasna, na Islandię.

Widocznie przypomniał sobie, że nie jest sam, bo odwrócił się do Trautmana.

- A co do pana... Proszę zaprzeczyć, jeśli się mylę. Zagwarantowałem pan, że Rambo stawi się na miejscu. Powiedział pan: "Biorę na siebie odpowiedzialność". Odpowiedzialność?! Gada pan o...? No i co teraz, pułkowniku? Obetną panu te zdobne pagony, a wtedy...

- Rambo dotrzyma obietnicy. - Kusilo go, ale pohamował się i nie zaproponował Murdockowi, żeby wykonał na sobie pewien obsceniczny akt.

Murdock aż zamrugał.

- Dotrzyma obietnicy? Facet strzela, podpala, obraca w perzynę całe miasto, a pan chce, żebym uważał go za harcerzyka, który zawsze dotrzymuje słowa?

- Otóż to. Miasto.

- Panie pułkowniku, wydaje mi się, że mamy trudności w nawiązaniu kontaktu myślowego. Nie mam zielone-go pojęcia, o czym pan mówi.

- O tamtym mieście. Nie rozumie pan? To przez tego policjanta. Rambo zawsze kończy to, co zaczął.

- Kończy? Fakt tamto miasto wykończył dość skutecznie. Mówi pan tak, jakby był pan dumny, że puścił je z dymem.

Trautman pokręcił głową.

- Nie, dumny nie jestem. To nieodpowiednie słowo.

Może raczej przerażony. Niepotrzebnie się pan zamartwia. Nie wiem, dlaczego Rambo zniknął w Bangkoku, ale jestem pewien, że miał ku temu dobry powód. I powiem panu jeszcze coś: Rambo nigdy nie złamał danego słowa, nigdy nie zerwał umowy. Jeśli obiecał, że tu będzie, to na pewno będzie.

- Panie... - Głos należał do technika, który siedział za konsolą przy ścianie, ze wzrokiem wbitym w ekran.

- Nie przerywać! - warknął Murdock.

- Ale...

- Szlag by to! Co tam?!

- Na ekranie pojawił się jakiś punkcik.

- Co?!

- I zmierza w naszą stronę.

Rozdział 5

Wyrastał przed nim skąpany w słońcu złoty Budda z okrągłą, nieprzeniknioną twarzą, z której promieniowało błogosławieństwo, a może potępienie. Wisząc dziewięć metrów nad ziemią w stężonym, idealnie wyważonym bezruchu, siedzący za pleksiglasową taflą Rambo patrzył na niego jeszcze przez chwilę, potem pchnął drążek i śmigłowiec minął z rykiem posąg.

Po tym, jak zaraz za lotniskiem wyskoczył z taksówki i zniknął w tłumie, na chybił trafił przebiegł kilka ulic. Wziął inną taksówkę, z tej też prawie natychmiast wyskoczył, po czym rojącymi się od ludzi zaułkami dotarł do następnej taksówki. I tak, krok po kroku, zmierzał w stronę umówionego miejsca - do farmy położonej na przedmieściach Bangkoku. Murdock powiedział, że łącznikiem będzie pewien starzec, jej właściciel, a kiedy starzec zdjął z maszyny maskującą sieć, oczom Rambo ukazał się pamiętający wojnę Huey UH-1 D, który namoment skojarzył mu się z seriami wystrzałów i z przeraźliwym krzykiem. Nie zapomniał. Pamiętał.

Pięć minut później Bangkok został daleko w tyle.

Cień śmigłowca załamywał się na kanałach. Potem przeciął rzekę. Świątynie, pola uprawne, woły. Rambo ściągnął drążek na siebie i śmignął w niebo. Poletka ryżowe zniknęły.

Znajome urządzenia sterownicze dawały mu poczucie bezpieczeństwa, lecz wspomnienia, jakie wywoływały, uspokajające nie były; Rambo zastanawiał się, czy Murdock celowo wybrał ten typ śmigłowca. Chciał go bojowo nastroić? Jeśli tak, to taktyka odniosła pożądany skutek.

Nienawidził manipulacji.

Jednak nienawiść, a nawet wspomnienia z wojny nie miały teraz znaczenia, nie w tej chwili. Był wysoko w powietrzu, płynął, dryfował w przestworzach, a poczucie wolności rozsadzało mu pierś. I jakby zasiadał za sterami kolejki śmierci w swym prywatnym wesołym miasteczku, pchnął drążek i runął przez chmury ku ziemi czując, jak żołądek podjeżdża mu do gardła, by uspokoić się dopiero wtedy, gdy śmigłowiec wyrównał lot nad wierzchołkami drzew. Dżungla.

Uśmiechnął się i przeleciał nad górskim szczytem. Przypomniał sobie swój pierwszy własny samochód - wrak niebieskiego Forda rocznik sześćdziesiąt trzy - i odcinek czarnej, gładkiej szosy w Bowie w Arizonie, zmuszał śmigłowiec do manewrów, jakich tamten wóz nigdy by nie wykonał. Zniżył lot, przebił się przez poranną mgłę...

By otrzeźwieć na widok celu podróży.

W dole rozciągała się baza wojskowa. Łąkę położoną między porośniętymi dżunglą zboczami przecinał pas

startowy. W oddali widniały góry zwieńczone girlandami chmur - szczyt za szczytem, ginęły w coraz bledszych odcieniach szarości, niczym na orientalnej akwareli.

Baza sprawiała wrażenie opuszczonej. Hangary i baraki były przeżarte rdzą, porośnięte dzikimi pnączami, jak zaniedbane pozostałości z czasów wojny. Lecz gdy śmigłowiec zbliżył się do lądowiska, gdy zszedł jeszcze niżej, Rambo zauważył, że pas jest w znakomitym stanie i że u wejścia do hangaru tłoczy się kilkunastu mężczyzn. Dwóch z nich jeden w mundurze, drugi w koszuli z podwiniętymi rękawami i w luźno zawiązanym krawacie - wystąpiło z tłumu i ruszyło mu na spotkanie. Zniecierpliwiony cywil szedł szybciej i wkrótce jego towarzysz został daleko w tyle.

Lądowisko znajdowało się koło hangaru. Dumny, że nie zapomniał swych umiejętności, Rambo posadził maszynę miękko i delikatnie. W górę buchnęły tumany pyłu, ale gdy wyłączył zapłon, powoli osiadły. Wirniki obracały się coraz wolniej, jęczały coraz ciszej, wreszcie zamarły. Rambo zdjął słuchawki i wysiadł z kabiny. Po łopotliwym ryku silników baza wydała mu się straszliwie cicha.

Doskoczył do niego Murdock w przepoconej pod pachami koszuli. Daleko za Murdockiem szedł Trautman.

- Do kurwy nędzy, co ty sobie...?

- Melduję się zgodnie z rozkazem.

- Zgodnie z rozkazem? - Murdock podniósł głos. Z rozkazem?! Tylko nie udawaj, że.... Co to za numer wyciąłeś nam w Bangkoku?

“ Rambo sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Numer? - spytał.

- Urwałeś się moim... - Murdock nagle zamilkł. Nadszedł Trautman.

- Co się stało, Murdock? - spytał. - Nie zaprzeczysz, że kazałeś go śledzić?

- Śledzić? - powtórzył Rambo z udawanym zdziwieniem. - Nie rozumiem. Po co mielibyście mnie śledzić? Przecież stawiłem się na spotkanie. Na farmie.

Murdock jęknął.

- Oczywiście, że się stawiłeś, John - powiedział Trautman. - Ale załóżmy, że...

Murdock spoglądał to na Rambo, to na pułkownika.

- Załóżmy - powtórzył Trautman - to, rzecz jasna, założenie czysto abstrakcyjne, że wiedziałeś o śledzących cię ludziach i załóżmy, że zgubiłeś ich przed dotarciem na miejsce spotkania. Dlaczego?

- To, naturalnie, sytuacja hipotetyczna, prawda? upewnił się Rambo.

- Oczywiście, że hipotetyczna.

- No cóż, gdybym wiedział, że mnie śledzą, równie dobrze mogliby o tym wiedzieć inni. Sam pan powiedział, panie Murdock, że Tajowie są dzisiaj cholernie podejrzliwi wobec

Amerykanów. Ludzie, których bym ewentualnie zgubił, mogliby być przyjaciółmi albo wrogami. A jak by na to nie patrzeć, nie chcielibyście chyba, żeby ktoś odkrył, dokąd jadę.

Murdock spojrzał na niego spode łba.

- Sprytne. Bardzo sprytne.

- Ale, jak powiedział pan pułkownik, to rozważania czysto hipotetyczne. Nie chciałbym denerwować pańskich ludzi.

- Kontynuując naszą abstrakcyjną dyskusję - nie ustępował Trautman - czy przychodzi ci do głowy jakiś powód, dla którego mógłbyś chcieć tych ludzi zgubić?

- Nie rozumiem, panie pułkowniku.

- Na przykład, żeby udowodnić im, że nie trzeba cię śledzić? Że do niczego cię nie zmuszano? Że przyleciałeś tu z własnej woli?

- Nie, na nic takiego bym chyba nie wpadł panie pułkowniku.

- Sprytne - powtórzył Murdock. - Bardzo sprytne. Mierzyli się wzrokiem.

- No tak... - Trautman odchrząknął. - Proponuję, żebyśmy przeszli do hangaru, Murdock, Ostatecznie baza ma sprawiać wrażenie opuszczonej. Chyba że chce się pan dalej kłócić.

Najwyraźniej zadowolony, że może zmienić temat, Murdock kiwnął głową i dla potwierdzenia swego autorytetu rozkazał:

- No i skoro nasz Audie Murphy w końcu przyleciał, lepiej zabierzmy z widoku tego przekłętego Hueya. Ruszył żwawo przodem, kierując się w stronę szerokiego, mrocznego wejścia do hangaru.

- John... - Trautman pokręcił głową. Rambo uśmiechnął się.

- Panie pułkowniku, chyba sam diabeł mnie podkusił. Idąc za Murdockiem, rozglądał się wokoło. Maskujący

baldachim po prawej stronie skrywał wielki, czarny śmigłowiec wielozadaniowy Augusta 109 - złowieszczo przycupnięty, bez żadnych oznakowań, z zasłoniętymi oknami. Dwóch mechaników sprawdzało tylny wirnik. Poza tym baza wyglądała zupełnie niewinnie.

Marszcząc czoło, wszedł do mrocznego hangaru i jeszcze zanim oczy przystosowały mu się do ciemności, przystanął oniemiały.

W olbrzymiej metalowej budowli buczało i szumiało. Ściany leciutko wibrowały. Piętrzyły się przed nim zwarte sterty urządzeń elektronicznych.

W mroku, niczym zjawy, świeciły rzędy ekranów monitorowych aparatury wideo. Zielone literki na ekranach komputerowych promieniowały tajemniczą poświatą. Na siatkach małych ekranów radarowych obracały się widmowe pasma. Moduły stanowisk namiarowych, łącznościowych i koordynacji dalekosiężnej utworzyły w hangarze rodzaj odrębnego

pomieszczenia w kształcie skomplikowanego, wielowarstwowego obwarzanka. Z głębi dobiegły go głosy techników:

- Kto to... Co to jest? - spytał jeden.

- Facet, który ma tam lecieć - odrzekł drugi.

- On? Jezu, wygląda tak, jakby właśnie stamtąd wrócił. Za technikami, za rzędem jarzących się monitorów,

Rambo dostrzegł rozgestykulowanego Murdocka, przemawiającego do mężczyzny, który kiwnął głową i ruszył do wyjścia.

Był to wysoki Amerykanin o ostrych rysach twarzy. Miał na sobie dzinsy i koszulę lotniczą z rękawami oderwanymi na wysokości ramion. Głowę zdobiła mu baseballowa czapka z emblematem Dodgersów, na bicepsach widniały tatuaże.

Dotknął palcami daszka, uśmiechnął się i powiedział:

- Się ma. Nazywam się Ericson. Witaj w piekle. Rambo obserwował go, jak obserwuje się dziwny i całkowicie nieznaną gatunek zwierzęcia.

Ale Ericson zdawał się tego nie zauważać. Nie przestając szczyrzyć zębów, spytał:

- Więc to ty, he? Szczęściarz z ciebie., Mówię ci, trudniejszego zadania jak dotąd nie miałem. Może kiedyś wyślą mnie na południe Francji, co?

- Ano. Na południe Francji.

- Jesteś Rambo, tak? Dużo o tobie słyszałem. Masz niezłe konto. Podoba mi się. Dużo człowiekowi mówi.

- Tak? Comówi?

- Nieważne. Pogadamy później. Teraz muszę ściągnąć do hangaru twój wiatrak. - Minął go biegnąc w stronę

śmigłowca na lądowisku. - Aha, tak przy okazji. Jestem twoim kierowcą i towarzyszem podróży.

- Że co?

Przed hangarem Ericson odwrócił się i biegnąc tyłem, niczym rugbista oczekujący podania, krzyknął:

- Jestem twoim pilotem! Pomyśl o tym tak: to miejsce to może nie raj, ale przynajmniej wyszedłeś z pudła!

- Naprawdę? - Rambo zmarszczył brwi i patrzył, jak Ericson wskakuje do kabiny śmigłowca. Zmarszczywszy brwi jeszcze bardziej, spojrzął na Trautmana. - Pilot?

Lecz nagle wyrósł przed nim Murdock. Otworzył usta. Ale Rambo odezwał się pierwszy.

- Długo zakładaliście tę bazę?

Murdock spojrzał na niego podejrzliwie, jakby pytanie stanowiło dla niego groźbę, jakby Rambo zamierzał wyśmiać każdą odpowiedź, jakiej mu udzieli.

- Czy długo? Zaraz... Widzisz, mieliśmy kilka awarii... - Oderwał od szerokiej piersi przepoconą koszulę. Dwadzieścia cztery godziny - odpowiedział defensywnie. - Tu, na miejscu.

Rambo rozejrzał się i kiwnął głową.

- Niezła robota.

Murdock spuścił parę. Dumnym gestem wskazał małe pomieszczenie z tyłu hangaru i powiedział:

- Wejdźmy do mojej klatki.

Rozdział 6

Klitka z naprędce skleconej dykty miała trzy metry szerokości. Stało w niej metalowe biurko, a na nim, obok monitora komputerowego i klawiatury leżącej przy stercie oficjalnie wyglądających dokumentów, paliła się niewielka lampka. Poza tym stały tu trzy metalowe krzesła, rząd metalowych szafek na segregatory i saturator z Coca-colą. Na ścianie wisiała zwichrowana od wilgoci mapa, pod sufitem wirowały dwa wentylatory i świeciła lampa.

Gdy wchodzili, w pomieszczeniu zadudniło echo ich kroków. Wewnątrz cuchnęło pleśnią. Murdock wskazał mapę na ścianie, zaczął coś objaśniać, lecz po namyśle przerwał.

- Zanim zaczniemy odprawę, chyba powinniśmy coś ustalić, Rambo. Przyznaję, mieliśmy, że tak powiem, kiepski start, ty i ja. W więzieniu. I w Bragg. - Kiwnął głową w stronę drzwi. - Tam też. Nie lubisz szpicli, jak nas nazywasz. I dobrze. Nie wątpię, że masz ku temu swoje powody. Ale nie wyciągaj pochopnych wniosków, bo na pewno nie znasz mnie tak dobrze jak ja ciebie. Chyba o tym nie wiesz, ale w sześćdziesiątym szóstym walczyłem pod Qon Thien jako oficer drugiego batalionu trzeciej brygady piechoty morskiej. I nie byłem jednym z tych zaszarych cykorów, którzy pędzą ludzi w ogień, a sami czają się z tyłu. Nawąchałem się prochu. Od cholery. Mam kilka medali. A w nocy wciąż słyszę krzyki tych, którzy ze mną służyli i zginęli. Dlatego wierz mi, dobrze wiem, co czujesz ty i wszyscy kombatanci. Był czas, kiedy wyglądało na to, że rząd ma was gdzieś. Niektóre sektory publiczne również. Ale to się zmieniło. Kraj się zmienił. Ludzie nie są już obojętni, Kongres też nie, i wierz mi, że tym, którzy mnie tu przysłali, również na was zależy. Patrząc wstecz, można pomyśleć, że to była zła wojna. Ale ci ludzie, ci żołnierze, nie byli źli. I tylko to ma znaczenie. - Pod wpływem emocji mówił coraz szybciej. - Dlatego proponuję, żebyśmy zapomnieli o dzielących

nas poglądach i zrobili wszystko, co możliwe, żeby uwolnić tych chłopców. Żeby sprowadzić ich tutaj, do domu, bo tu przynależą - zakończył drżącym głosem. Wzruszony Rambo skinął głową.

- Dobrze. Myślę, że teraz obaj poczujemy się o wiele lepiej - podsumował Murdock. - Cieszę się, że mamy to z głowy, i jeszcze jedno. Chciałbym coś podkreślić. Czuję, że dzięki twoim unikalnym kwalifikacjom, dzięki twoim wyjątkowym umiejętnościom istnieją ponadprzeciętne... Źle, wróc. Istnieją bardzo duże szanse, że ta misja zakończy się sukcesem, że uda ci się to, co nie udało się innym. Rambo, cieszę się, że jesteś z nami.

Z uśmiechem wyciągnął rękę.

- Kiedy zrobiłem to ostatnim razem, miałeś, hmm, pewne trudności z uściśnięciem mi dłoni. Rambo też musiał się uśmiechnąć. Spojrzał na wyciągniętą rękę.

I podał Murdockowi swoją.

- A teraz do rzeczy. - Murdock odwrócił się do szczegółowej mapy Azji południowo-wschodniej i nazywając poszczególne rejony, dźgał w nią palcem, który przesuwiał pod lekkim kątem z dołu do góry, od strony lewej ku prawej.

- Tajlandia. Rzeka Mekong. Laos. Wietnam. Polecicie na północny wschód. Najpierw szybki przelot nad laotańską kiszka, potem nad górami Annamese, dalej prosto, aż do rejonu zrzutu. Spędzicie osiemnaście minut w kambodżańskiej przestrzeni powietrznej. - Uniósł brwi... - Czy przewidujesz w związku z tym jakieś trudności?

- Osiemnaście minut? Nie, zdążę. Ale domyślam się, że będziemy musieli lecieć nisko, żeby uciec im z radarów.

- Nisko to mało powiedziane. Będziecie lecieć tuż nad ziemią, trawę im przy okazji skosicie.

- Tak myślałem. Trzeba będzie orać.

- Nawet nad strefą zrzutu - podkreślił Murdock. Chcę, żebyś to sobie w pełni uzmysłowił. Nawet nad strefą zrzutu maksymalny pułap lotu nie może przekroczyć siedemdziesięciu pięciu metrów. Dasz radę skoczyć z tej wysokości?

Rambo wzruszył ramionami.

- To zależy.

- Od czego.

- Dacie mi spadochron?

Murdock się zmieszał i nic nie rozumiejącym wzrokiem spojrzał na Trautmana, który parsknął śmiechem.

- Czy damy ci...? - powtórzył Murdock. - A niech mnie!

W drzwiach stanął jeden z techników.

- Co jest? - warknął Murdock. - Nie widzisz, że...

- Tak, ale mamy problem.

- Wszyscy mamy problemy. Radźcie sobie sami.

- Bez pańskiej pomocy nic z tego nie będzie. Musi pan...

- Nie można z tym poczekać?

- Nie, o ile chce pan zacząć zgodnie z harmonogramem. Komputer bełkocze. Zainstalował pan w programach tyle zabezpieczeń, że musi pan jeszcze raz sprawdzić kody wejściowe.

- Nie ma sprawy, niech pan idzie - powiedział Trautman. - Dokończę.

Murdock podziękował mu skinieniem głowy i wyszedł.

Przez chwilę ciszę, jaka zapanowała w klitce, zakłócał tylko szum wentylatorów.

- No i jak się czujesz? - spytał pułkownik.

Rambo wyciągnął przed siebie rękę. Otwarta dłoń ani drgnęła.

- Powinienem był się domyślić - mruknął Trautman.

- Lecimy dalej?

- Napowietrzna grupa zrzutowa i ewakuacyjna ma kryptonim "Ważka". Baza główna to "Wilcza Nora". Ty jesteś "Samotnik". Ponieważ działasz w pojedynkę, będziesz musiał korzystać z takiej ilości sprzętu, z jakiej nigdy dotąd nie korzystałeś. I będziesz musiał na nim całkowicie polegać, Rambo. Podkreślam, całkowicie. Żadnych jatek. Tym razem sobie odpuść, tak dla odmiany. Niech technika to za ciebie załatwi. Jeśli będziesz potrzebował pomocy, wystarczy tylko o nią poprosić,

- Jak w reklamie. "Niech twój proszek pierze za ciebie". Trautman uśmiechnął się.

- Otóż to. Chodź. Chcę ci coś pokazać.

Rozdział 7

Wyszli z biura i mijając po drodze techników oraz rzędy rozjarzonych monitorów, skierowali się na drugi koniec mrocznego hangaru.

Trautman zatoczył ręką szeroki łuk i spytał:

- No i co ty na to? Oto twoja bryczka.

Stał przed nimi lśniący - aż niepokojąco gładki i całkowicie czarny odrzutowiec, zmodyfikowana wersja dyrektorskiego modelu jednosilnikowego Gulfstream Peregrine'a. Usunięto z niego wszystkie oznakowania oraz numery identyfikacyjne. Maszyna wyglądała jak rakieta ze skrzydłami.

- Robi wrażenie, co? - spytał zmierzający ku nim Murdock.

Rambo obrócił głowę i popatrzył w jego stronę.

- Peregrine i urządzenia monitorujące, które widziałeś koło wejścia, to jeszcze nie wszystko - mówił dalej Murdock. - Żeby zapewnić ci bezpieczeństwo, wyposażymy cię w każdy dostępny rodzaj sprzętu, sprzętu ultranowoczesnego. Zdaję sobie sprawę, że wiele z tych urządzeń to dla ciebie nowość. Od chwili kiedy poszedłeś siedzieć, przemysł zbrojeniowy zrobił olbrzymi krok naprzód. Ale w dobrą stronę, Rambo. Możesz czuć się zupełnie bezpieczny, bo dzisiaj dysponujemy tak zaawansowanymi rodzajami broni, że to, czego używałeś w Wietnamie, wygląda przy nich jak włócznie i proce.

- Jasne - odpowiedział Rambo. Nie lubił, jak ktoś stawiał go poza kręgiem wtajemniczonych. - Tak to już z bronią jest. Z dnia na dzień staje się coraz bardziej zaawansowana technicznie. Ale założmy, że... Widzi pan, sprzęt czasami się psuje, można go też zgubić. I co wtedy? - Wskazał na Trautmana. - Pułkownik uczył mnie w Bragg, że w każdych okolicznościach najlepszą bronią jest ludzki umysł.

- Czasy się zmieniają - zauważył Murdock.

- Dla niektórych.

- Też prawda. Ale nie chciałbym panu przerywać, panie pułkowniku. - Murdock skrzyżował ramiona.

- Po zrzucie - kontynuował Trautman - skontaktujesz się z bazą główną. Za pomocą tego.

Podszedł do brązowooliwkowego pudełka stojącego na drewnianej skrzyni. Przypominało małą przenośną radiostację polową, jedną z tych, jakich Rambo używał podczas wojny, z tą różnicą, że w jego górnej części zamontowano skomplikowaną i nie znaną mu konsolę.

- To jest transponder satelitarny - wyjaśnił pułkownik. - W skrócie TRANSAT, urządzenie radiolokacyjnoodzewowe. Żeby działało, trzeba najpierw podłączyć to.

Rozłożył małą antenę talerzową zamocowaną na trójnogu i zwisający z niej kabel podłączył do skrzyneczki TRANSAT-u.

- Nadana przez ciebie wiadomość wyjdzie stąd w postaci wiązki radiowej. Trwa to ułamek sekundy, dokładnie mówiąc jedną milisekundę. Sygnał zostanie przetworzony na impuls promieniowania podczerwonego, odebrany przez naszego satelitę szpiegowskiego, przekazany stacji naziemnej na Okinawie, a stamtąd trafi tutaj. My go wyhamujemy i rozszyfrujemy.

- Zmyślne - przyznał Rambo. - Brak źródła sygnałów radiowych. Nieprzyjaciel nie ma czego namierzać.

- Jak tylko przekażesz nam wiadomość, że wylądowałeś i że jesteś bezpieczny, przedrzesz się przez dżunglę do punktu Tango November. - Trautman wyjął mapę polową. - Punkt jest wyraźnie zaznaczony. Spotkasz się tam z łącznikiem. To nasz miejscowy agent nazwiskiem CoPhuongBao.

Strapiony Rambo zerknął na samolot. Cały czas dręczyło go coś, czego nie potrafił dokładnie określić, coś, co, jak by powiedział Murdock, nie całkiem mu się zgadzało.

- Czy on słucha? - spytał Murdock.

- Miejscowy agent nazwiskiem Co Phuong Bao - powtórzył Rambo. - Niech pan mówi dalej, panie pułkowniku.

- Przewodnik zaprowadzi cię do Bań Kia Na, dwanaście kilometrów w górę rzeki. Tam jest twój cel.

Wtedy Rambo sobie przypomniał i poczuł, że kurczy mu się żołądek.

- Obóz... - wyszeptał.

- Gdzie zrobisz zdjęcia - przerwał mu ponownie Murdock. - Powtarzam, tylko zdjęcia. Faza numer jeden

przewiduje wyłącznie rozpoznanie, a nie ewakuację jeńców. Jeśli jeńcy tam są, wydostaniemy ich. To nie twoje zadanie. Zrobisz zdjęcia i z biegiem rzeki dotrzesz do punktu ewakuacyjnego Echo Delta. Jest zaznaczony na mapie. Ericson zabierze cię stamtąd śmigłowcem, który widziałeś pod maską przed hangarem.

- I będziemy żyli długo i szczęśliwie - podsumował

Rambo.

- Właśnie, długo i szczęśliwie. Wszystko jasne? Na pewno zrozumiałeś, w czym rzecz?

- A co tu jest do rozumienia?

- Teraz porozmawiamy o twojej broni - zapowiedział dumnie Murdock. Sięgnął do drewnianej skrzyni i wydobył z niej olbrzymi, podobny do przenośnego lasera karabin z wielkimi

cyndrami pod i nad lufą, co w połączeniu z dziwnym celownikiem optycznym powodowało, że broń wyglądała...

- Jak z Wojen gwiazdnych - stwierdził Rambo. - Nie mogę tego wziąć. Jest wielkie jak Chrysler.

- Bo zastępuje kilka rodzajów broni. To zmodyfikowana wersja karabinu M-16 A2 z dwoma granatnikami typu M-79. Jest wyposażona w tłumik Sionics, w noktowizor Tracora, w celownik laserowy model LAC/R-100 oraz w uchwyt dla aparatu fotograficznego wysokiej rozdzielczości.

- Wydajecie toto z bateriami? Niech pan posłucha, panie Murdock. To wszystko jest bardzo imponujące i jestem pewien, że ten karabin świetnie się sprawuje w warunkach laboratoryjnych. Ale ja wolalbym zwyczajnego kałasznikowa.

- Do diabła, przecież w Wietnamie taką giwerę ma każdy dwunastolatek.

I o to właśnie chodzi. Podczas walki odgłos wystrzałów z mojej broni zniknie wśród huku innych AK-47. Nie odróżnią go i nie będą mogli stwierdzić, czy strzelają do mnie, czy do swoich. Może się nawet nawzajem powystrzelają. Poza tym nie będę miał kłopotów ze zdobyciem amunicji.

Murdock spojrzał na wielki, kanciasty karabin wzrokiem dziecka, rozczarowanego, że skrytykowano jego zabawkę.

- No dobrze. Skoro nalegasz... W takim razie mam tu coś w sam raz dla ciebie. Dokładnie to, co lubisz. Będziesz miał z zachwyty. Pamiętasz, wspomniałem, że w porównaniu z bronią taką jak ta sprzęt, którego używałeś w Wietnamie, jest jak włócznia i proca. Pamiętasz? No to lepiej weź sobie to.

Murdock wyciągnął ze skrzyni aluminiowy cylinder długości sześćdziesięciu i średnicy piętnastu centymetrów. Rzucił go w ich stronę.

Rambo schwytał cylinder, zważył go w dłoni - aluminiowy pojemnik nie był ciężki - i zmarszczył czoło.

- Co to jest?

- Łuk, cholera. Łuk i strzały.

- No, nareszcie mówi pan do rzeczy.

Rozdział 8

Kiedy wyszedł z ciemnego hangaru, by w słońcu podkreślającym muskularną budowę jego ciała otworzyć aluminiowy pojemnik i przygotować się do strzelania, Murdock spojrzął na Trautmana i z powątpiewaniem pokręcił głową.

- Pułkowniku, jest pan pewien, że on się po tej wojnie całkowicie odreagował? Ten jego żart ze spadochronem. Przecież jego naprawdę... Nie do wiary. Mam poważne wątpliwości, mówię szczerze. Jego bardziej interesuje łuk i strzały niż to dzieło sztuki. - Wskazał granatnik. - Nie możemy sobie pozwolić na zaangażowanie kogoś, kto mógłby nie wytrzymać i załamać się na terytorium nieprzyjacielskim.

- Rambo? - Trautman był zdumiony. - Przecież mówił pan, że wie pan o nim wszystko, że przestudiował pan jego akta. To najlepszy żołnierz, jakiego kiedykolwiek widziałem. Już w Bragg, podczas szkolenia, było oczywiste, że on się po prostu z tym urodził. To geniusz. Ma instynkt do walki, a teraz pragnie tylko jednego: wygrać wojnę, którą przegrał, bo ktoś go do tego zmusił.

- Daj pan spokój, pułkowniku. Rozczarowuje mnie pan. Znowu to samo? Że niby rząd uniemożliwia wojsku wykorzystanie potencjału militarnego, przez co stale przegrywamy? Ten kawał ma długą brodę.

- Kłamano. Zginęło przez to wielu dzielnych żołnierzy. Inni, równie dzielni chłopcy siedzą do dzisiaj w nieprzyjacielskich obozach jenieckich. Z tego samego powodu. Co do Rambo... Cóż, jeśli okaże się, że będzie musiał umrzeć, żeby zwyciężyć, to umrze. Bez strachu. Bez żalu. I właśnie to, bardziej niż cokolwiek innego, sprawia, że jest wyjątkowym człowiekiem. Załamię się? Wykluczone. Ponieważ to, co pan nazywa terytorium nieprzyjacielskim...

- No, no, ciekawe...

- On nazywa swoim domem.

III - ŚWIĄTYNIA

Rozdział 1

Przed hangarem narastający jęk silników przeszedł w jednostajny ryk. Cienkie drewniane ściany wąskiej klitki - przypominały mu więzienną celę - zadrżały. To Peregrine. Przygotowywali go do lotu.

Na blacie metalowego stołu, oświetlony promieniami małej lampki, leżał rozłożony sprzęt.

Rambo - nagi, ze skurczoną pod brzuchem moszną uważnie mu się przyglądał.

Włożył pręgowaną panterkę, zawiązał spadochronowe buty, na twarzy i na rękach rozsmarował dwa odcienie farby maskującej.

Wyjął nóż i raz jeszcze go naostrzył, posługując się maleńką diamentową oselką tkwiącą w pętelce na pochwie. Ten nóż był dla niego bronią równie piękną, jak zmodyfikowany karabin M-16 A2 dla Murdocka. Kształtem przypominał nóż myśliwski typu Bowie. Ostrze miało dwadzieścia pięć centymetrów długości, pięć centymetrów szerokości i sześć i dwie dziesiąte milimetra grubości. Było zrobione z nierdzewnej stali węglowej, tak twardej, że praktycznie nie do złamania. Nóż ważył ponad trzysta czterdzieści gramów. Po przeciwległej stronie krawędzi tnącej znajdowały się wysokie i grube zęby, podobne do zębów piły, którymi można było przeciąć poszycie kadłuba samolotu albo przerdzewiałe ściany tego hangaru. Trzon rękojeści z nierdzewnej stali - rękojeść miała dwanaście i pół centymetra długości, co zwiększało całkowitą długość noża do trzydziestu siedmiu i pół centymetra - był owinięty żyłką mogącą wytrzymać ciężar ponad sześćdziesięciu kilogramów. Nóż sięgał od koniuszków palców do łokcia ręki przeciętnie zbudowanego dorosłego mężczyzny. Jelec wystawał na dwa i pół centymetra z obu stron. W otworze w jednym ramieniu jelca tkwiło ostrze śrubokrętu krzyżowego, w drugim - zwykłego. Otwory przewiercono na wylot, dzięki czemu posługując się rzemieniami do mocowania pochwy można było przywiązać nóż do kija i używać go jako włóczni. Głowica wieńcząca wydrążony trzon rękojeści dawała się odkręcać. W jej wnętrzu zamontowano kompas, natomiast w trzonie mieścił się maleńki, ostry jak brzytwa scyzoryk, zapalki w wodoodpornym pojemniczku, haczyki na ryby oraz igła, której - wykorzystując żyłkę nawiniętą na trzon rękojeści - mógł użyć do zszywania swych ran, W przeszłości robił to wiele razy. Ostatnia okazja nadarzyła mu się podczas ucieczki przez góry, w trakcie pościgu zorganizowanego przez Teasle'a, o czym nieustannie przypominała mu blizna na lewym ramieniu. Sposępniały, zagryzł wargi.

Skończywszy ostrzenie, zwykle zapalał zapalkę, przesuwając płomień wzdłuż lśniącego ostrza i wprawnie okopcał je sadzą, żeby podczas walki, zwłaszcza nocnej, refleks odbitego światła nie naraził go na niebezpieczeństwo. Lecz w tym wypadku nie musiał tego robić - ostrze noża było matowoczarne, co uzyskano poddając je specjalnej obróbce elektrochemicznej.

Załadował i sprawdził kałasznikowa, szczególną uwagę zwracając na celownik. Następnie załadował magazynek nabojami kalibru 7.62 mm z wgłębieniem na czubku,

wepchnął magazynek do rękojeści wojskowego Colta, przeładował broń wprowadzając nabój do komory, ostrożnie zwolnił kurek i trzasnął skrzydełkiem bezpiecznika. Wsunął pistolet do kabury przy pasie, załadował dwa zapasowe magazynki i przymocował je do ramion taśmą samoprzylepną.

Na zewnątrz, z głośnika zamontowanego w hangarze, rozległ się wzmocniony metalicznym echem głos: - Dziesięć minut do startu.

Obrócił głowę w stronę źródła dźwięku, myślał przez chwilę, po czym usiadł w rogu i skrzyżował nogi, przyjmując pozycję Buddy. Patrzył do góry, na fragment mrocznego sufitu, i skupił wzrok na wiszącej tam pajęczynie. Wyobraziwszy sobie, że jest pająkiem na tejże pajęczynie, skoncentrował uwagę na pasemku cieniuteńkiej jedwabistej nici, a później, wyobraziwszy sobie, że jest siedzącą na niej bakterią, oczyścił umysł, by medytować o nieskończoności. Wycofawszy się w siebie, stał się czarną dziurą. Z kontemplacji wyrwał go jakiś dźwięk. Zamrugał. Dusza wróciła do ciała. Puk, puk. Stukanie do drzwi.

Gdy skrzypnęły, zmarszczył czoło. Dostrzegł czerwone i niebieskie światła migające w prześwicie, W progu ujrzał sylwetkę człowieka.

Nie chciał, żeby mu przerywano. Tam, gdzie przebywał - w organizmie bakterii na pasemku jedwabistej nici zawieszanej pod sufitem - panował niezwykle spokój.

Lecz wówczas zdał sobie sprawę, kto przed nim stoi. Trautman. Pułkownik skinął głową.

I prawie się do niego uśmiechnął. Z uczuciem. Z miłością.

- Już czas, John.

- Wiem.

Rambo wstał. Założył spadochron, który oczywiście sam uprzednio składał. Na ramię zarzucił karabin i spojrzał na dwa skórzane kołczany leżące na stole. Oba miały pięćdziesiąt pięć centymetrów długości, oba były zamknięte skórzanymi pokrywkami. Jeden zawierał łuk, drugi strzały. Przywiązał je do ud, przez co wyglądał jak rewolwerowiec z westernu.

- Daj, pomogę ci - rzekł Trautman. Zawiesił mu na piersi brązowooliwkową skrzynkę transpondera satelitarnego i przyjrzał mu się z komicznym błyskiem w oku. Murdock tak cię wyekwipował, że wyglądasz, jakbyś jechał na weekend do Vegas. Tylko nie zapomnijmy o aparacie.

- Tak spędzałem letnie wakacje.

- Jak pstrykniesz zdjęcie jakiejś dziewczynie, dasz mi je obejrzeć pierwszemu. Zastrzegam to sobie.

- Zgoda.

Lekko uśmiechnięci, wyszli z drewnianej klitki. W miarę jak zbliżali się do samolotu, niebieskie i czerwone światła błyskały coraz intensywniej i wyraźniej. Po prawej stronie czekał Murdock wraz z technikami

i wojskowym personelem bazy.

Trautman przystanął.

- John... - Patrzył mu w oczy. Chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie. Zdławił w sobie emocje, znów stał się zawodowcem. - Masz na to tylko trzydzieści sześć godzin, więc nie trać czasu na wążanie kwiatków, dobra?

Rambo kiwnął głową.

- Gdybyś miał kłopoty, choćby najmniejsze, daj nam znać i natychmiast spieprzaj do zapasowego punktu ewakuacyjnego Hawk September. Masz go na mapie. Zgoda?

Rambo znów kiwnął głową.

Światła błyskały coraz natarczywiej. Krzyk niewidocznego za nimi Ericsona ginął w ryku silników.

- Panie pułkowniku, możemy kołować! Trautman machnął ręką w stronę samolotu.

- Powodzenia... synu.

- Pamięta pan, co powiedział Murdock? - odezwał się Rambo niskim i twardym głosem. - Powiedział, że w sześćdziesiątym szóstym walczył pod Con Thien, w drugim batalionie trzeciej brygady piechoty morskiej.

- No i co z tego?

- Drugi batalion walczył pod Kud Sank.

- Może już dokładnie nie pamięta...

- Pewnych rzeczy się nie zapomina. Nie można ich zapomnieć. Nigdy.

- Chcesz powiedzieć, że ty ich nie zapominasz.

- Pan też nie.

Trautman poklepał go po ramieniu. Wystarczyło. Bo sposób ich życia nie pozwalał na większą demonstrację uczuć. Rambo skinął głową. I ruszył w stronę samolotu.

Rozdział 2

Trautman obserwował ze ściśniętym gardłem, jak Rambo wsiada do Peregrine'a.

Zamknięto drzwi. Silnik ryknął jeszcze głośniejsze, z dysz trysnął płomień i maszyna zaczęła kołować na start. Nagle, z nieoczekiwaną gwałtownością, runęła naprzód, ogłuszając patrzących, nabierając szybkości. Poderwała

nos. Minęła koniec pasa, potem linię drzew, a przynajmniej to, co w ciemności na linię drzew wyglądało.

I raptem... zniknęła.

Noc stała się dziwnie cicha.

Czując pustkę w żołądku, Trautman odwrócił się w stronę hangaru.

I zobaczył przed sobą Murdocka.

- Myśli pan, że kogoś tam znajdzie? - Teraz, kiedy silniki Peregrine'a już nie ryczały, głos pułkownika brzmiał nienaturalnie.

- Jeńców? - Murdock wzruszył ramionami. - Wątpię. Ale trzeba usatysfakcjonować niektórych ludzi. Znaleźć odpowiedź na parę pytań.

- Chyba nie podchodzi pan do tego zbyt emocjonalnie - zauważył Trautman.

- To nie była moja wojna, panie pułkowniku. Jestem tu tylko po to, żeby po niej posprzątać.

Rozdział 3

Ryk odrzutowego silnika brzmiał jak monotonne buczenie. Mrok panujący w kabinie pasażerskiej rozświetlało pojedyncze czerwone światełko palące się nad drzwiami którymi miał wyskoczyć. Znow siedział w pozycji Buddy i patrzył na pogrążoną w poświacie przednią część kabiny.

Obok czuwającego nad sterami Ericsona siedział Doyle; kiedy mu go przedstawiono, Rambo doszedł do wniosku, że jego rozbiegane oczy to skutek zbyt wielu zaprawionych prochami weekendów. Doyle sprawdzał wskaźnik HUD, który wyświetlał na szybie kabiny odczyty z pulpitu sterowniczego, dzięki czemu załoga mogła je obserwować bez spoglądania na położoną niżej deskę rozdzielczą.

Silniki odrzutowca buczały monotownie.

Rambo nie zwracał na to uwagi. Znow przebywał na swojej pajęczynie.

Rozdział 4

Spięty Trautman pochylał się nad konsolę i zapomniawszy o obecności stojącego tuż obok Murdocka, wbijał wzrok w ekran radaru.

- Jest namiar z AWACS-a dwa pięć - zameldował technik w słuchawkach. - Współrzędne obiektu ustalone. Harmonogram lotu utrzymany. - I powiedział do mikrofonu: - Potwierdzam, Samotniku, Odbiór.

Trautman wpatrzył się w ekran jeszcze intensywniej...

Obserwował małą świetlistą kropeczkę, która prawie niedostrzegalnie pełzła przez komputerowo generowaną mapę środkowego Laosu.

Kropeczka paliła go w oczy niczym laser.

Rozdział 5

Wyczuwając w kabinie ruch, przywołał świadomość z nici wyimaginowanej pajęczyny. Zamazany obraz nagle się wyostrzył i Rambo wrócił do kabiny Peregrine'a.

Na tle nikłej poświaty bijącej z deski rozdzielczej stał Ericson. Oddawszy stery Doyle'owi, przecisnął się między fotelami i podszedł bliżej. Jego sylwetka rozmywała się w mroku.

- Musisz to zobaczyć. Chodź.

Rambo ruszył za nim i stanął między fotelami pierwszego i drugiego pilota. W fotelu na prawo siedział Doyle, pochylony do przodu tak mocno, że niemal dotykał nosem przedniej szyby. Ericson usiadł w fotelu po lewo. Zapiął pasy i przejął stery.

Przez jakiś czas Rambo nie widział za szybą nic oprócz ciemności, lecz wkrótce oczy przywykły do nowych warunków i w dole ujrzał tonącą w księżycowej poświacie dżunglę. Połyskiwała tajemniczo, a obficie porośnięte liśćmi drzewa, stłoczonej zbite w gęstą masę, zdawały się przemykać pod nimi z zadziwiającą szybkością.

- Teraz będzie coś seksownego - zapowiedział Ericson i wyłączył podświetlenie panelu.

W kabinie zapadła aksamitna ciemność.

A przed nimi, postrzępiony, wypełniający horyzont od końca do końca, wyrastał masyw Annamese'ów, pogrążony w księżycowym światłocieniu.

Przez krótką chwilę zdawało się, że jest daleko. Nie minęło kilka sekund i był tuż tuż, a wtedy Ericson pchnął stery, kierując maszynę w dół. Prowadził ją wzdłuż falistych konturów podgórze, przemykał krętymi kanionami. Wokół nich nagle wyrosły góry, a Peregrine prześlizgiwał się między nimi jak śliski wąż.

Siedzący obok Ericsona Doyle zachichotał, włączył małą latarkę i jej cieniutkim promyczkiem oświetlił panel, żeby kolega mógł widzieć wskaźniki.

Lecz Ericson nie musiał tego robić. On i Peregrine zespolili się w jeden organizm, w jedno ciało. Ryk powietrza omywającego kadłub samolotu był przerażający.

Ericson wydał z siebie waleczny okrzyk:

- Juhuuu! Uwielbiam to! - I podniecony wił się w fotelu, chociaż krępowwały go pasy.

Doyle znów zachichotał.

- Daj po garach! Więcej czadu!

Rambo poczuł, jak siła przeciążenia wgniata mu żołądek.

Góry zniknęły równie szybko, jak się pojawiły, a ich miejsce znów zajęła gęsta, tajemnicza dżungla, śmigająca pod brzuchem samolotu. Chociaż wydawało się to nieprawdopodobne, Ericson zniżył lot jeszcze bardziej, tak że maszyna niemal muskała wierzchołki drzew.

- Witaj w krainie zła - powiedział.

Rambo czuł, jak tężeją mu mięśnie. Dżungla wyglądała tak samo jak ta w Laosie czy w Tajlandii, ale wiedział, że już przekroczyli granicę, że lecą nad Wietnamem. A to wielka różnica.

- Pora ruszać w tango - stwierdził Doyle, Ericson kiwnął głową.

- Przejmij stery. - Rozpiął pasy, wstał i poprawił słuchawki. - Przygotuj się, Rambo. Za minutę będziemy nad strefą zrzutu.

Serce zabiło mu szybciej. Natychmiast skoncentrował się i zmusił je do normalnej pracy: czterdzieści dwa uderzenia na minutę. Odwrócił się i wszedł do kabiny pasażerskiej.

Ericson otworzył drzwi. Ryk pędzącego, rozedrganego powietrza był ogłuszający.

Rambo zmrużył oczy i po raz ostatni sprawdził sprzęt. Chwycił linkę uwalniającą spadochron i przypiął ją do pręta pod sufitem kabiny.

Dżungla pędziła tuż pod brzuchem samolotu, tak nisko, że w księżycowej poświacie rozróżniał liście drzew.

Czerwone światelko nad drzwiami zmieniło się na żółte. Rambo wciągnął powietrze.

- Pięć sekund - liczył Ericson. - Cztery. Trzy. Dwa... Dobranoc. Baw się dobrze.

Zielone światło.

- Skok! - krzyknął Ericson.

Rambo zrobił potężny krok w przód i jednym susem wyskoczył za drzwi. I zniknął.

Rozdział 6

Trautman usłyszał głos spanikowanego Ericsona:

- Chryste Panie! Murdock wyprostował się.

- Co jest, do diabła? Co się dzieje?

Z głośnika dobiegał ich pulsujący jęk alarmowego bucza.

- Kurwa mać! Szlag by to trafił! - wrzeszczał przez radio pilot

- Co się stało?! - powtórzył Murdock. Chwycił mikrofon. -Ważka! Zgłoś się, Ważka!

- Linka! Kurwa mać, zawisł na lince! - krzyknął Ericson.

- Gdzie?!

- Alarm! Alarm! Linka nie oddzieliła się od spadochronu! Wleczone go!

Trautman wbił paznokcie w dłonie.

- Zwolnij ją! - wrzasnął Murdock.

- Nie mogę! Nie mogę...

- No to ją przetnij, do ciężkiej cholery!

- Kiedy nie mogę, nie mam noża! O żesz kurwa! Rozerwie go na strzępy!

Trautman poczuł, że ma lepkie ręce. Zerknął w dół. Z obu dłoni sączyła się krew.

- Alarm! Alarm!

Rozdział 7

Skoczył w rozwartą otchłań. Gwałtowna nieważkość, znajoma lekkość i pustka w żołądku i raptem... Nieoczekiwane, brutalne szarpnięcie. Z bólu wykrzywił twarz. Szarpnęło nim tak mocno, że bał się o ramiona - myślał, że wyrwało je ze stawów. Ból był straszliwy. Grzmotnął o kadłub, stęknął i ciągnąc za sobą dyndający sprzęt, odbił się od poszycia. I kiedy obracając się i wyginając tuż pod brzuchem samolotu, mknął nad wierzchołkami drzew tak nisko, że mogły mu w każdej chwili wypruć flaki, zrozumiał, co się stało. Linka. Wisiał na lince. Nie oddzieliła się. Nie wyciągnęła czaszy spadochronu.

Rozdzierał go potworny huragan. Zerwał mu z głowy kask. Wpychał do gardła dławiące strumienie powietrza. Powietrze zatykało go, nie mógł go usunąć z płuc. Nie mógł oddychać.

Siła przeciążenia przycisnęła mu ramiona do boków. Sprzęt ważył tyle, że w każdej chwili mógł zmiażdżyć mu pierś.

Uchwyt, myślał rozpaczliwie, wyrwij uchwyt uwalniający czaszę. W tym samym momencie zdał sobie sprawę, że otwierając spadochron - nie odciawszy przedtem linki - tylko pogorszy swoją sytuację, bo tym razem zaczepi o samolot czaszą.

Ryk silnika, wymieszany z rykiem napierającego huraganu, rozrywał mu uszy. Pęd powietrza zmiotł mu z ramienia karabin. Broń ześlizgnęła się po bezwładnej ręce i runęła w otchłań niewidocznej dżungli. Puściły zatrzaski taśmy mocującej radionadajnika. Wichura zerwała go jednym szarpnięciem i pokoziołkował w dół, znikając między czarnymi drzewami.

Powietrza. Boże, muszę zacząć oddychać.

Rozdział 8

Porażony ochrypłym, pulsującym rykiem alarmowego bucza, Doyle wykrzywił twarz i rozdziawiwszy usta, wbił wzrok w szybę kabiny. Pędził ku nim następny łańcuch gór,

- Muszę ściągnąć stery! - wrzasnął do mikrofonu. Ericson, musimy spieprzać do góry!

<- Jeszcze nie!

- Ale te przeklęte skały....!

- Jeszcze nie, na miłość boską! On chce coś zrobić!

Rozdział 9

Mięśnie stawiały opór. Wytężył ramię i zdołał nim poruszyć. W ciemności, przez którą włókł go samolot, nie widział nic, a siła wichury dodatkowo go oślepiła. Musiał to zrobić na wycucie. W śmiertelnej udręce przesuwiał boleśnie odrętwiałą rękę w stronę noża przy pasie.

Powietrza. Gdyby tylko mógł...

Miesiące podnoszenia ciężkiego młota, miesiące grzmocenia nim i roztrzaskiwania tak niezwykle, tak przejrzyście pięknych głazów nadały jego mięśniom kształt twardych jak skała pagórków. Zebrawszy wszystkie siły, jakie tylko mógł zebrać, chwycił palcami rękojeść, zacisnął je niczym imadło, rozpiął pochwę i powoli wyciągnął nóż.

Bolała go pierś, paliło go w płucach, które domagały się powietrza.

Lecz wyciągnięcie noża to dopiero początek, w dodatku łatwy. Był kombatantem wojny wietnamskiej, przeżył wietnamskie więzienie, przeżył piekło, jakie rozpętało się w tamtym mieście, i piekło więzienia amerykańskiego, a teraz czuł, że stoi przed nim zadanie niewykonalne.

Musiał unieść rękę nad głowę.

I wtedy się wściekł.

Rozdział 10

Trautman przestał oddychać. Zapominając o hangarze, o instrumentach namiarowych i o stojącym tuż obok Murdocku, skoncentrował całą uwagę na radiostacji, na głośnikach, na rozkrzyczanych głosach, jakie z nich płynęły - przeniósł się duchem na pokład Peregrine'a; stanął w otwartych drzwiach i jak sparaliżowany patrzył na wleczonego przez noc Rambo.

- Wyciągnął nóż! - krzyknął Ericson.
- W górę! Musimy wiać w górę! - odwrzasnął Doyle.
- Nie! Przecina ją! Chryste, naprawdę ją przecina! Przecina linkę!
- Nie mogę dłużej czekać! Te kurewskie góry są...
- Odpadł!
- Co?
- Poleciał!
- Dokąd? Otworzył spadochron?
- A skąd mam wiedzieć, do diabła?

Trautman przesunął językiem po spieczonych wargach. Spięty czekał. No dalej. Wyrwij uchwyt Wyrwij go.

Głośniki milczały.

Siedemdziesiąt pięć metrów do wierzchołków drzew, myślał rozpaczliwie. Od ziemi dzieli go ledwie kilka sekund. Jeśli przeżył, zaraz nada meldunek. Góra za pół minuty

Ale trzydzieści sekund przeciągnęło się do sześćdziesięciu.

Odezwij się wreszcie!

Murdock zmarszczył czoło i spojrzał na technika.

Ten pokręcił głową.

- Wciąż milczy - powiedział. - W słuchawkach mam tylko trzaski.

- Na co czekasz?!

- Nic, Częstotliwość zdechła. Trautman wyrwał mu mikrofon.

- Ważka, tu Wilcza Nora. Jak mnie słyszysz? Odbiór. Przez falę trzasków przebił się głos Ericsona:

- Słyszę cię dobrze. Tu Ważka. Odbiór.

- Odebraliście od niego jakiś sygnał? Wystrzelił race? Macie zamiar wizualny?

- Nie, panie pułkowniku - odrzekł Ericson. - Poza tym jesteśmy już daleko za rejonem zrzutu. Nic nie widziałem. Mamy nawrócić i zrobić drugi przelot?

Stojący obok Trautmana Murdock gwałtownie pokręcił głową.

- Nie możemy się narażać. Jeśli komuniści ich zestrzelą, wpadniemy w prawdziwe gówno. I to po samą szyję.

Trautman rozważał to ze zmarszczonymi brwiami. Górę wzięła dusza zawodowca.

- Nie, Ważka. Kontynuujcie lot. Powtarzam, kontynuujcie lot i wracajcie do bazy. Odbiór.

- Zrozumiałem. Koniec odbioru.

Trautman odłożył mikrofon. Mimo szumu instrumentów zdawało się, że w olbrzymim hangarze zaległa martwa cisza. Wokół nich zebrali się technicy i personel wojskowy Wilczej Nory. Wszyscy pogrążeni w straszliwym milczeniu.

Zamyślony Murdock zasłonił ręką usta. Czoło miał zryte głębokimi zmarszczkami. Po chwili opuścił rękę.

- Sam nie wiem - powiedział. - Najrozsądniejszym rozwiązaniem byłoby chyba zakończyć misję już teraz, zanim wynikną dalsze komplikacje. Spakować się i spieszyć stąd w diabły.

- Nie - odrzekł Trautman.

- Ale kto by takie coś przeżył?

- Jeśli ktoś by przeżył, to tylko...

- On? Panie pułkowniku, doceniam pańską lojalność. Lecz mimo całej wiary, jaką pan w nim pokłada, Rambo jest tylko człowiekiem. Musimy być praktyczni.

Trautman podniósł głos:

- Musimy go obdarzyć przywilejem wątpliwości. Nie wiadomo, co się tam stało. Radionadajnik mógł ulec zniszczeniu. Zawarliśmy z nim układ i dotrzemy go, żeby nie wiem co. Rambo ma trzydzieści sześć godzin na wykonanie zadania i dotarcie do punktu ewakuacyjnego. Jeśli żyje, ale nie może nawiązać z nami kontaktu, wykona je mimo to. I będzie liczył, że my wykonamy swoje. Jesteśmy mu to winni.

Murdock spojrzął na niego i rysy powoli mu złagodniały.

- Naturalnie, panie pułkowniku. Ale żebyśmy się dobrze zrozumieli. Trzydzieści sześć godzin. Po tym czasie układ przestaje obowiązywać i pakujemy manatki.

- Oczywiście. On nie oczekuje niczego innego.

Rozdział 11

Kiedy eksplodowała nad nim czasza spadochronu, odrzutowiec błysnął w ciemności płomieniem z dopalacza i nagle zniknął; płomień rozmył się w mroku jak ognek robaczka świętojańskiego. Ryk silnika też ucichł, ucichło wycie wichury Gwałtowne szarpnięcie uprzęży. Żołądek wrócił na swoje miejsce, szybkość opadania raptownie zmaląła. Rambo żeglował w przestworzach.

Kojące wrażenie go nie zwiodło. Chociaż z oczu płynęły mu wyciśnięte przez wiatr łzy, chociaż nie widział dżungli, czuł, że moment lądowania jest alarmująco bliski. Teraz cała sztuka sprowadzała się do tego, żeby z muskularnych ud wykrzesać wszystkie siły i jak najmocniej zewrzeć nogi. Bo największe ryzyko, jakie grozi podczas skoku na teren gęsto zadrzewiony, zwłaszcza nocą, polega na tym, że nogi mogą się rozdzielić: skoczek spada okrakiem na gałąź, a-siła uderzenia jest tak wielka, że gałąź może go rozplatać na pół. Bucha krew, jedna połowa ciała koziółkuje w dół po tej stronie drzewa, druga po tamtej...

Odpędził od siebie ten obraz i jeszcze mocniej zacisnął uda. Musnął go ciężki konar. Zadrapał sobie ramię na gałęzi. I nagle spadochron o coś się zahaczył. Wstrząs, gwałtowne szarpnięcie - ale przynajmniej wytracił szybkość opadania - i raptem czasza uwolniła się, zrzucając go półtora, trzy metry w dół. Rambo napiął mięśnie przygotowując się do lądowania na terenie, którego nie widział, i, zaskoczony, aż stęknął, gdy buty dotknęły ziemi.

Kolana miał już ugięte, co zneutralizowało siłę uderzenia. Automatyczny skręt tułowia, upadek na bok i... potoczył się w dół. Tylko dokąd? Grzmotnął ramieniem w jakąś kłodę. Nie przestając się toczyć, runął w paprocie, wpadł na inną kłodę, by wreszcie huknąć boleśnie o pień drzewa i znieruchomieć.

Był tak oszołomiony siłą uderzenia, że musiał przez chwilę poleżeć, żeby odprężyć mięśnie i dostroić zmysły do nowych warunków. Wstrząsnął nim silny dreszcz.

Mimo bólu w plecach, poczuł, że jest gotowy. Przykucnął zwinnie i rozglądając się czujnie wokoło, wyteżając oczy, by przebić wzrokiem mrok dżungli, zaczął zwijać spadochron. Między gałęziami przemykały płochliwe zwierzęta. Gdzieś krzyczały małpy. Po chwili noc ucichła.

Zgarnął i zgniótł czaszę w zwarty kłęb, po czym wraz z uprzężą wepchnął ją pod kłodę i zamaskował paprociami. Ogarnęła go duszna wilgoć. Panterka przywarła mu do spoconej piersi i ramion, spodnie do nóg. Czuł się tak, jakby oddychał przez parującą myjkę do kąpieli.

Kontrola sprzętu.

Stracił karabin, aparat fotograficzny i radionadajnik.

Nie mógł nawiązać łączności z bazą. W żaden sposób. Nie mógł... Jak im przekazać, że z tego wyszedł? Jak się dowiedzą, że mimo wszystko za trzydzieści sześć godzin muszą go stąd wyciągnąć?

Nie. Nie może tak myśleć. Wiedział, że gdyby jedynym reżyserem tego przedstawienia był Murdock, miałby powód do zmartwień.

Ale jest jeszcze Trautman. Trautman też tam był. Na

Trautmana mógł liczyć. Grupa ewakuacyjna przybędzie na miejsce, jak mu obiecano.

A on wypełni zadanie, jak obiecał Trautmanowi.

Chwilowe wątpliwości zniknęły.

Dobra. Wiedział już, co stracił. Ale co mu zostało? Nóż. Pistolet.

I dwa kołczany przywiązane do ud. Przypomniał sobie zdumienie Murdocka i mimo okoliczności musiał się uśmiechnąć. Zrezygnował z podwójnego granatnika M16, bo nad supernowoczesną broń przedkładał...

Jak on to powiedział? "Chcesz odpowiednik włóczni i proc? Masz. To coś w sam raz dla ciebie."

Łuk i strzały.

Rambo wstał. Oczy przywykły już do ciemności. Poprzez kapiący od wilgoci baldachim sączyło się światło księżyca. W tumanach kłębiącej się nocnej mgły jego rozproszone promienie wyglądały jak tajemniczo rozjarzone strzały.

Ta dżungla, prawdziwa kipiela rozbuchanej roślinności pełnej śmiercionośnych cieni, należała do najpradawniejszych w świecie. Korzenie gigantycznych drzew wgrzyzały się w ziemię, jakby chciały ją udusić. Poskręcane pnącza pięły się chwiejnie w stronę zwartego stropu zieleni na górze. Nieustannie kapła woda.

I wszędzie wyczuwał obecność życia. Życia płochliwego. Prehistorycznego. Kłębiło się w płytkich sadzawkach, pod zwalonymi kłodami, nawet w samej ich korze, w oblepionych sokiem owocach migających pośród zmatowiałych liści.

Wyciągnął nóż, odkręcił głowicę rękojeści i osłonił dłonią fosforyzującą tarczę kompasu. Nie śmiał zapalić zapalniczki, żeby zerknąć na wodoodporną mapę schowaną w tylnej kieszeni. Ale w bazie dobrze zapamiętał współrzędne punktu kontaktowego, więc po chwili, przypatrzawszy się świetlistej igle, doszedł do wniosku, że nie zabłądzi, jeśli tymczasem obierze kierunek ogólny.

Północny wschód.

W głąb terytorium Wietnamu.

Zdecydowany, skinął głową i niczym zjawą pośród gęstego poszycia, ruszył przed siebie.

Rozdział 12

Świt zastał go na stoku stromego wzgórza, jednego

z wielu w tym paśmie. Najeżony przeszkodami labirynt dżungli był już wyraźniej widoczny, więc Rambo parł naprzód, czepiając się pnączy i korzeni drzew, by w końcu dać potężnego susa i stanąć na szczycie. Łowiąc oddech, jeszcze raz, rzucił okiem na kompas. Słońce świeciło już dość wysoko i w jego blasku widział stąd zieloną, zwodniczo piękną dolinę rozciągającą się u podnóża. Porównując jej topografię z topografią terenu na mapie, okręcił swoją pozycję, dokonał niewielkiej korekty kierunku marszu i zaczął schodzić po stoku, zmierzając dokładnie w stronę miejsca, gdzie miał czekać łącznik.

Przeciawszy pasmo klaustrofobicznie gęstego poszycia, dotarł do leniwego strumienia. Zszedł z mulistego brzegu i brodząc po kolana w brudnej, ciepławej wodzie, ruszył przed siebie. Jego twarz atakowały chmary komarów. Łaskotały go w powieki, brzęczały koło nozdrzy, drażniły. Ale zdążył już do nich przywyknąć. Poza tym w nocy wsunął sobie do odbytu czopek z lekarstwem przeciwko malarii. Wiedząc, że oganianie się od insektów nie ma żadnego sensu, nie oganiał: się od nich wcale.

Na drugim brzegu strumienia przystanął i podwinął

nogawki spodni. Do goleni przywarło kilka tłustych pijawek w kolorze świeżej wątroby. Z kieszeni na piersi wyjął małą plastikową torebkę z solą. Szczyptę soli zjadł, nie czując gorzkawego smaku - co oznaczało, że jej potrzebował - a szczyptą posypał każdą pijawkę z osobna. Biel soli na ich pulsujących grzbietach sprawiała dziwne wrażenie. Z satysfakcją patrzył, jak obrzydlistwa zaczynają się wić.

Jedna odpadła. Pozostałe wiły się jeszcze chwilę i wkrótce też odpadły. Rozgniółł je butem, czując, jak napęczniałe krwią strzykają pod podeszwą.

Z innej kieszeni wyjął paczkę owocowego suszu i wsunął do ust kilka płatków. Łamliwe i kruche, szybko miękły, uwalniając nieświeży, lecz niezbyt przykry smak. Brzoskwinie albo morele, to albo to - nie umiał powiedzieć na pewno. Lecz jeśli ssać je cierpliwie, mogły utrzymać się w ustach nawet pół godziny. Przypomniawszy sobie dezynterie, na którą cierpiał podczas półtoramiesięcznej wędrówki do strefy zdemilitaryzowanej po ucieczce z wietnamskiego obozu pracy, nie ufał już owocom, choć wokół było ich prawdziwe zatrzęsienie:

Wciąż parł naprzód. Z porannej mgły co chwila wyłaniały się groźne, poskręcane kształty. Zaniepokojony, podchodził bliżej i dopiero wówczas rozpoznawał w nich niewinne pnącza albo gałęzie.

Usłyszawszy za plecami szelest, zadał błyskawiczny cios nożem w tył. Ostrze zaśpiewało w powietrzu, jednym płynnym i śmiertelnym uderzeniem ugodziło cel i weszło weń jak w masło.

Bezgłowe cielsko zwisającej z gałęzi żmii owinęło się wokół siebie, potem sflaczało, wreszcie zsunęło się i z obrzydliwym plaśnięciem spadło na ziemię.

Rambo popatrzył na jej zneruchomiałe ślepie, schował nóż do pochwy i spiesznie ruszył dalej.

Rozdział 13

Pięć godzin później, zlany potem, wdrapał się bez tchu na szczyt innego wzniesienia, lecz tym razem, zamiast zejść do kotliny u podnóża, poszedł równym szlakiem przecinającym coraz niższe poszycie, Szlak doprowadził go z czasem do polany na płaskowzgórzu.

Tu na chwilę przystanął, ciężko dysząc. Widział jak przez mgłę. Ssąc wymieszany z piaskiem pot, który zalewał mu usta, otarł mokre czoło i oczy. Jednak gdy odzyskał ostrość wzroku, wciąż widział przed sobą tylko zarys niewyraźnych kształtów - nocne opary ustąpiły miejsca fali gorącego, rozedrganego powietrza, bo słońce stało prawie w zenicie.

Zlustrował wzrokiem wysoką, skłębioną dżunglę, która otaczała polanę.

I przepełniony religijnym lękiem, aż zamrugał z wrażenia - z mgły wyłaniała się olbrzymia, kamienna twarz, opleciona dzikimi pnączami.

Powoli, z szacunkiem ruszył naprzód i dostrzegając w gąszczu inne przedmioty, zrozumiał, dokąd trafił.

Zdziwiło go to i poruszyło - był w atrium, w otwartym przedsionku dawno opuszczonej świątyni. W ruinach tysiącletniej świątyni buddyjskiej. Idąc przez mgłę, wyławiał Wzrokiem coraz to nowe szczegóły.

Mocno zniszczonych schodów wiodących do pokonanej przez klimat świątyni strzegły po obu stronach dwa masywne - miały po dziewięć metrów wysokości - kamienne posągi Buddy ze spokojną - mimo niszczącego upływu wieków - twarzą. Drzewa i pnącza prawie całkowicie zasłaniały bogato rzeźbiony mur, powalony i splekany.

Tu są duchy, pomyślał.

Przystanąwszy pośrodku dziedzińca, odczuł majestat nieba. W tumanach mgły za dziedzińcem majaczyły sylwetki strzelistych wieżyc.

Z szacunkiem pochylił głowę. Przeszedł dość skomplikowaną edukację religijną. Jego ojciec był Włochem, matka zaś Indianką z plemienia Navajo. Jako mały chłopiec służył do mszy w katolickim kościele w Bowie w Arizonie, a jednocześnie matka wprowadziła go dogłębnie w indiańskie rytuały swego plemienia, koczującego w wiosce na skraju miasta. Chociaż modły Navajów i katolików bardzo na niego oddziaływały, dopiero w Wietnamie wybrał dla siebie religię, którą przedkładał nad wyznania narzucone przez okoliczności związane z jego pochodzeniem.

Gdyby spytać go o przekonania religijne, opisałby siebie jako buddystę, wyznawcę zen. Na buddyzm nawrócił go pewien wietnamski góral, z którym brał udział w swej pierwszej misji bojowej w głębi kraju. Zaliczywszy rygorystyczne szkolenie w jednostkach sił specjalnych, dostawszy się do elity, do grupy najlepszych, nie przeszedł jeszcze chrztu ogniowego. I chociaż nie wybierał tej wojny, chociaż się dobrowolnie nie zaciągnął i trafił do wojska z poboru - siły

specjalne, które nie przyjmowały poborowych. Zrobiły dla niego wyjątek i właśnie to było miarą jego wrodzonych umiejętności - wypełniał patriotyczny obowiązek z determinacją i żarliwością. Bo czyż nie tego się po nim spodziewano?

Szkolenie to jedno. Prawdziwa walka to zupełnie coś innego. Zapamiętał pewne zdanie z książki, którą podziwiał w młodości, z Paragrafu 22. Opisywało moment kiedy główny bohater doznaje nagłego olśnienia i pojmuje całą tajemnicę wojny: Kurwa mać! Oni próbują, mnie zabić! Kiedy doszło do pierwszej potyczki z Wietkongiem, strach sparaliżował go pośród kul szatkujących

liście, pośród kolegów z oddziału A, którzy krzyczeli i umierali. I gdy tak stał w zmoczonych uryną spodniach, nagle poczuł, że ów wietnamski góral chwyta go za ramię i wlecze w bezpieczne miejsce.

Góralowi nie pozostawało nic innego jak zaakceptować z honorem głębie łączącej ich więzi duchowej - przecież uratował mu życie. I tak ów tubylec, który nigdy nie okazywał po sobie strachu, zdradził mu tajemnicę wiecznej odwagi. Nie okazywał strachu, bo go nie odczuwał. Zen. Broń ostateczna. Dlaczego miałby się bać śmierci, skoro wiedział, że śmierć nie istnieje? Skoro wiedział, że nie istnieje nic. Że życie jako takie - to drzewo, ten głąz, ten motyl - jest tylko iluzją. Welonem. Czarodziejską sztuczką Wszechmogącego. Bo gdy zrozumiesz, na czym ta sztuczka polega, gdy wychwycisz podstawową różnicę między iluzją a rzeczywistością którą jest On - wtedy, poprzez doświadczenie zwane przez niewtajemniczonych śmiercią, wkroczysz w prawdziwą rzeczywistość: połączysz się z Wszechmogącym.

I twoje przeznaczenie się spełni.

Lecz jeśli przesadzisz, jeśli będziesz zbyt pewny siebie i nie uszanujesz wyzwania iluzji, które On ci rzucił, jeśli będziesz napraszał się o dostęp do tajemnicy zwanej śmiercią, zamiast połączyć się z Nim, możesz wrócić na ziemię jako pijawka.

Ta potężna wizja, zrozumienie nieistotności tego, co tak głupio nazywamy życiem, dawało mu siłę. I niekiedy czuł, że to właśnie religia zeń - bardziej niż żarliwe oddanie sprawie, jak to interpretował rząd ~ przyczyniła się do zwycięstwa Wietkongu. Bo ci z Wietkongu już dawno pojęli, że lata, nawet całe stulecia, nie mają żadnego znaczenia. Że dżungla, rzeki, że kule przeszywające im gardła i roztrzaskujące czaszki tak naprawdę nie istnieją. Lecz zrozumieli również i to, że podczas obecnej fazy swej

egzystencji muszą spełnić życzenie Najwyższego i udawać, że to, co materialne, jest rzeczywiste. Natomiast dla Amerykanina, dla którego przykładami tego, co rzeczywiste, jest Disneyland i Coca-cola, dżungla, pociski i śmiertcionośny Orange Agent z komiksów, wystarczyły/ by doprowadzić go do szaleństwa. "Chryste, zabierzcie mnie stąd!" Dlatego Amerykanie przegrali,

dlatego wyjechał stąd - z echem piosenek Jima Morrisona i Doorsów pobrzmiewającym w narodowej świadomości.

Ale Rambo przetrwał.

Lustrował wzrokiem świątynię i czuł, że serce rozsadza mu przytłaczający szacunek i cześć.

Zen. Religia, którą uważał za najpotężniejszą.

I za najpraktyczniejszą.

Ze względu na to, co robił.

Kim był.

Na polu walki katolik może stracić ducha. Stracić go może nawet Indianin Navajo.

Ale nie buddysta. «

Zmierzając w stronę cienistej, porośniętej roślinnością świątyni, skradając się doń bezszelestnie, nagle zamarł. Usłyszał jakiś hałas. Ktoś nadchodził.

Zaalarmowany i czujny, skoczył między krzewy, wydobyl pistolet i przykucnął w pozycji strzeleckiej.

Po lewej stronie dostrzegł sylwetkę człowieka skradającego się przez dżunglę. Człowiek szedł ostrożnie, bo liście prawie się nie poruszały. Rambo wycelował. Teraźniejszość zastygła w bezruchu. Tak samo jak ręka ściskająca uchwyt broni.

Już dostrzegał jego ubranie. Czarny, luźny mundur. Jak pizama. Wietkong. Żołnierz szedł naprzód. Rambo nie spuszczał go z muszki i powoli zaciskał palec na spuście potężnego pistoletu.

A jeśli żołnierz nie jest sam? Wystrzał przyciągnie tu innych.

Nie. Znał lepszy sposób.

Płynnym, wdzięcznym ruchem zanurzył się bezszelestnie w zarośla. Nie musnął ani jednego listka.

Jego ofiara wykonała identyczny manewr.

Ale teraz Rambo dostrzegał już wyraźną sylwetkę broni na jej ramieniu. Niewidoczny na tle krzewów, był coraz bliżej, coraz bliżej, wreszcie skoczył, chwycił wroga za podbródek, wziął zamach nożem, jeszcze chwila i rozplątałby mu gardło, gdy wtem... Na ziemię spadł słomkowy kapelusz, duży, z szerokim rondem, i uwolnił kaskadę długich, bujnych, czarnych i lśniących włosów.

Ostrze noża zastygło o kilka milimetrów od gładkiego łuku gardła.

- Puszczaj! - usłyszał.

Niedoszła ofiara mówiła po wietnamsku.

I była kobietą.

Kobietą, tubylcem przed trzydziestką. Drobnią. Złudnie delikatną. Piękną jak każda młoda Wietnamka. Miała w sobie coś z elegancji orientального flakonu. Oczy otwarte, pełne wyrazu. Usta mocno zarysowane, zmysłowe. Wargi rozchylone pod wpływem nagłego strachu.

- Puść mnie! - powtórzyła po wietnamsku. I spuściwszy pokornie oczy, dodała ciszej: - Proszę. - Podniosła wzrok. Mimo farby kamuflującej na jego twarzy, najwyraźniej zdała sobie sprawę, że Rambo jest Amerykaninem, bo zaskoczyła go przechodząc na angielski. - Przepraszam. Nie spodziewałam się. Jest pan pierwszym turystą, jakiego tu widzę od lat. Nie chciałam panu przeszkadzać.

Rambo wbijał w nią wzrok. Ostrze noża ani drgnęło,

- Przybył pan, żeby zobaczyć Buddę? Żeby prosić o prawdę? - spytała.

Wciąż milczał.

- A może pan po prostu zablądził? Jeśli tak, to wskażę drogę.

- Nie, nie zablądziłem - odrzekł po wietnamsku. Szukam tu kogoś.

Uśmiechnęła się słysząc płynny, idiomatyczny zwrot i również przeszła na wietnamski.

- Może kogoś imieniem Nocna Orchidea?

- To jedno z imion, jakie mi podano - odparł w tym samym języku.

- Czy drugie brzmi Co Phuong Bao?

Poczuł się głupio. Nie dlatego, że omal jej nie zabił. Nie, bo w tym przypadku zachował się roztropnie.

Poczuł się głupio, bo kiedy po raz pierwszy usłyszał, że łącznik ma na imię Co, automatycznie przetłumaczył je na angielski.

A "Co" znaczy po wietnamsku "dziewica".

- Wiesz, co oznacza moje imię? - zapytała. Kiwnął głową.

- Moja matka miała zwirowane poczucie humoru. Zmarszczyła brwi...- Czy to ciebie mieli tu przysłać? To ty jesteś Rambo?

Znów skinął głową. - Jeszcze chwila i byś nie żyła... - Ukrywałam się. Nie przyszedłeś na czas. Myślałam,

że jesteś jednym z najemników. Dlaczego przychodzisz tak późno?

- Miałem kłopoty. Coś mnie zatrzymało. Patrzyli na siebie z zażenowaniem.

- Widzę to po twoich oczach - powiedziała. - Nie spodziewałeś się kobiety.

Wzruszył ramionami.

- Czy to robi jakąś różnicę? - spytała.

Pokręcił głową.

- W Ameryce mają coś, co nazywają ruchem wyzwolenia kobiet.

- To brzmi jak nazwa wymyślona przez komunistów. Uśmiechnął się.

- To trochę skomplikowane - wyjaśnił - ale sprowadza się do jednego: nie płeć jest istotna, tylko to, co robisz, i jak dobrze to robisz.

- W takim razie o nic się nie martw. - Przeszła na angielski. - Muszę ćwiczyć. Żeby lepiej mówić w twoim języku, tak?

Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Tak. Nieźle ci idzie.

- No pewnie.

- Gdzie się uczyłaś?

- Na Uniwersytecie Sajgońskim. Dawno temu.

Co oznaczało, że nie ma lat dwudziestu ośmiu, tylko trzydzieści parę.

Dumnie zadarła podbródek.

- Mam magisterium z ekonomii. - I z rozczarowaniem na twarzy dodała: - Co na niewiele się dzisiaj przydaje. Dziś rządzą komuniści. Hej, masz czas? Chcesz coś zjeść?

Zachichotał. £ - No jasne. Co tam dźwigasz?

Co sięgnęła za siebie i zdjęła z pleców płócienną torbę na żywność. Torba miała kształt cylindra i natychmiast ją rozpoznał. Widywał podobne na trupach żołnierzy Wietkongu.

Otworzyła ją z dumą.

- Co tutaj mam? Mam Nuac nam.

Zaburczało mu w żołądku.

Rozwinęła kilka liści z drzewa gumowego, odsłaniając

zbitą masę ryżu nasączonego sosem tak aromatycznym i pikantnym, że aż zaszczypało go w nosie.

Podawała mu otwarty liść i pałeczki. I choć nie korzystał z tej umiejętności od lat, chwycił je i wepchnął/do ust porcję ryżu.

- Naprawdę masz dyplom z ekonomii? ~ spytał po angielsku, żując i przelękając jedzenie.

- No pewnie. - Uśmiechnęła się. - Mówię językiem czterolatki, ja wiem, ale tylko po angielsku.

Roześmiał się i zapchał sobie usta następną porcją ryżu.

- Mmmm... Co to za sos?

- Sfermentowana ryba.

- Tak, teraz sobie przypominam. - Ostry smak utrzymywał się na języku jak smak lepkiej oliwy. I nie wiedząc dlaczego, Rambo roześmiał się znowu, napychając sobie usta smakowitą potrawą.

Z naprzeciwka obserwował go wielki Budda.

Rozdział 14

Kiedy przedzierali się przez gęstwinę, krążąc, omijając przeszkody, Rambo obserwował ją uważnie. Szczupła, o głowę niższa od niego, odziana w czarny, luźny mundur, przemykała między drzewami i krzewami zwinnie i z wdziękiem. Podziwiał rozwagę, z jaką omijała utarte szlaki, spostrzegawczość, dzięki której odnajdywała w chaszczach pozornie nie istniejące ścieżki.

Spytała, czy przeszkadza mu fakt, że jest kobietą, i odpowiedział zgodnie z prawdą. Nie. O ile tylko dobrze wykonywała swoją robotę, było mu obojętne, jakiej jest płci.

I rzeczywiście: pociąg seksualny nie stanowił dla niego problemu.

Kiedy przywieźli go do Stanów, zaszokowała go postawa wielu ludzi - zwłaszcza demonstrujących przeciwko wojnie studentów - w stosunku do powracających z Wietnamu kombatantów. Zbrodniarze. Dzieciobójcy, Szczególnie często używano określenia "gwałciciele". Był zбитy z tropu i przerażony. Pod tym oskarżeniem kryła się teza, że zabijanie wywołuje u człowieka tak silną żądzę krwi, że zdolny jest do wszelkich okrucieństw.

Gwałciciel? Gwałt budził w nim odrazę. To prawda, słyszał o żołnierzach, którzy po ataku na wioskę gwałcili wietnamskie kobiety. Lecz koledzy z oddziału takimi ludźmi pogardzali. Ci ludzie to męty, zwierzęta, które żyły takim życiem już wcześniej i nie zmieniły się po przybyciu do Wietnamu. Natomiast jeśli chodzi o żołnierzy, których Rambo znał i szanował...

Czy cywile nie rozumieją, że walka zniechęca do seksu? Nie tylko do gwałtu, o którym brzydził się nawet myśleć. Walka zniechęca do normalnego seksu, do seksu z przyzwoleniem.

W Bowie w Arizonie, jako dorastający nastolatek interesował się dziewczętami tak samo jak wszyscy inni pobudzeni hormonami koledzy, z którymi chodził do szkoły. To prawda, w tamtych czasach do tak zwanej "rewolucji seksualnej" jeszcze nie doszło i stracił dziewictwo dopiero w wieku dwudziestu jeden lat, i to z dziewczyną, którą zamierzał poślubić. Wciąż pamiętał jej piękne lniane włosy. Ale później poszedł do wojska i kiedy wrócił z wojny okazało się, że dziewczyna wyszła za innego, miała dwóch synów i córkę i rozmawiała z nim tak, jak gdyby łączyła ich kiedyś tylko przyjaźń, nic więcej. Mało tego, sprawiała wrażenie zażenowanej, jakby nie chciała go wcale pamiętać.

Nie miał jej za złe, że wyszła za męża. Przecież długo nie było go w kraju, a przez jakiś czas sądzono, że poległ. Nie miał prawa oczekiwać, że będzie mu wierna.

Ale prawdę mówiąc, ulżyło mu.

Ponieważ po Wietnamie małżeństwo wydawało mu się czymś niemożliwym.

Dzieci?

Nie do pomyślenia.

Dlatego, że po koszmarze jaki przeżył, seks przestał być naturalną potrzebą. Nie mógł znieść nawet myśli o tym, że miałby się do kogoś tak bardzo zbliżyć. Nie tylko w sferze emocjonalnej, ale i dosłownie - w fizycznej. W żołądku poczułby nieznośny ucisk, skóra zrobiłaby się wilgotna i lepka.

Nie, nie był impotentem. Przeciwnie. Miewał erotyczne sny i polucje. Czasami, bardzo rzadko, uprawiał onanizm.

Lecz stosunek seksualny był wykluczony.

Bo tego rodzaju bliskość czyni człowieka bezbronny, niezdolnym do odparcia ataku.

Bo w trakcie stosunku nie panuje się nad sobą.

Bo nawet środki zapobiegania ciąży nie dają stuprocentowej pewności i zawsze istnieje ryzyko, że zostanie poczęte dziecko.

A dziecko nie zasługuje na udrękę związaną z przyjściem na świat tak straszny, na świat, gdzie wojny i karne obozy pracy są chlebem powszednim dla tylu ludzi.

Dla niego też.

I wędrując przez gęstwiny, widząc, jak z wprawą prowadzi go do celu, jeszcze raz przemyślał odpowiedź, jakiej jej wtedy udzielił. Czy sprawiało mu różnicę, że Co jest kobietą?

Nie.

Rozdział 15

Wyszli z gęstwiny na stromy brzeg wąskiej, błotnistej rzeki. Odszukał na mapie jej nazwę: Ca. Przystanąwszy, obserwował leniwy nurt.

- Jak przedostaniemy się stąd na północ? - spytał po angielsku, bo pamiętał, że Co chce trochę poćwiczyć.

- Zorganizowałam... - Przez chwilę szukała odpowiedniego słowa. - Zorganizowałam transport. Stare szlaki niebezpieczne. - W jej oczach pojawił się wyraz zakłopotania i niepokoju. - Pójdziemy w górę rzeki, ale kiedy dotrzemy na miejsce, będziesz rozczarowany.

- Tak? A to dlaczego? Pokręciła głową.

- Byłam w tym obozie dwa miesiące temu. Nikogo tam nie ma. Stoi pusty od lat.

- Ale... - Zmarszczył czoło. - Po co miałiby nas wysłać do opuszczonego obozu?

- Minęły dwa miesiące. Może żołnierze wrócili.

- Może. Oby tylko przyprowadzili ze sobą więźniów.

- Tędy. - Wyciągnęła rękę W lewo, w górę biegu rzeki. -Transport niedaleko.

Rozdział 16

Usłyszał ich, jak tylko wychynęli z dżungli. W niewielkiej zatoczce wypełnionej słonawą wodą zobaczył prymitywną chatę, której ściany sklecono z przerdzewiałej blachy i z bambusowych prętów. Stała na rzece, na palach, podtrzymywana przez szkieletowate korzenie drzewa, sterczące z brzegu. Tuż nad powierzchnią wody

biegł pomost, a na nim dwóch pijanych, brudnych i groteskowo ubranych Azjatów - jeden miał w uchu kolczyki, a na głowie przepocony kowbojski kapelusz, podczas gdy drugi nosił przetartą na łokciach marynarkę od smokingu, na którą założył pas z amunicją - obrzucali się bełkotliwymi przekleństwami walcząc o butelkę piwa.

Gdy Rambo podszedł bliżej, rozpoznał nalepkę.

Budweiser.

- W drogę! - krzyknęła do nich po wietnamsku Co. Tubylcy odwrócili się gwałtownie i zaskoczeni chwycili

karabiny, nie dbając o to, że upuścili przy tym butelkę, która stoczyła się z pomostu i plusnęła do wody.

Rozsierzeni wycelowali broń.

I wtedy, patrząc na przybyłych przekrwionymi, kaprawymi oczkami, najwyraźniej rozpoznali Co. Jeden zamamrotał coś do drugiego. Ten drugi prychnął.

Opuścili broń, Rambo odetchnął. Lecz nagle usłyszał za plecami szmer liści. Zaniepokojony odwrócił się i zobaczył, jak z leśnej kryjówki wypływają jeszcze dwa szczury rzeczne.

- Ci faceci wyglądają na takich, co to sprzedaliby własną matkę - mruknął po angielsku.

- Czasami sprzedają - odrzekła Co. - To pirapi. Przemycnicy opium. - Spróbowała wykrzesać z siebie trochę optymizmu. - Ale to najlepsza droga w górę rzeki. Wojsko nie będzie nic podejrzewać.

- Wtej chwili nie wojsko mnie martwi.

Na wodzie zakołysał się zdezelowany sampan z nadbudówką wykonaną z przerdzewiałej blachy i bambusa, podobnie jak chata. Z kabiny wyszedł jeszcze bardziej groteskowo wyglądający Azjata; zeskoczył na brzeg i lekko się zataczając, ruszył ku nim. Miał długie, tłuste włosy, na piersi dyndała mu cała kolekcja tanich naszyjników, na ręku dźwigał cztery zegarki, a zza pasa amerykańskich, poplamionych

smarem i o wiele na niego za dużych dzinsów wystawała rękojeść rewolweru wykładana masą perłową. Uśmiechnął się, odsłaniając bezzębne dziąsła górnej szczęki.

- Co, mów do mnie tylko po angielsku - zdążył szepnąć Rambo, zanim pirat podszedł bliżej.

Trochę się zmieszała, ale posłuchała go i wskazując Azjatę, ukłoniła się grzecznie, mówiąc:

- To jest kapitan Trong Kinh. Rambo również się skłonił.

- Miło mi, panie kapitanie. Kinh znów pokazał dziąsła.

- Numer jeden! - powiedział po angielsku, klepiąc się w pierś. - Ty płynąć sampan numer jeden!

- Tak, widzę - odrzekł Rambo. - I dziękuję, że zechciał mi pan pomóc.

- Bardzo wielka przyjemność po mojej stronie. - Kinh był zafascynowany dwoma kołczanami na plecach Rambo.

- Dobrze pan mówi w moim języku.

- A ty mówisz w moim? - spytał Kinh, przechodząc na Wietnamski.

Rambo udał zmieszanie i spojrzał na Co. Pirat również na nią popatrzył i mówiąc wciąż po wietnamsku, spytał: - On nie rozumie? Co pokręciła głowę. Bezzębny uśmiech pirata zgasł.

- Przyniosłaś pieniądze?

- Tak. - Sięgnęła za pazuchę i podała mu zwitek zmiętych dolarów.

Kinh zachłannie je przeliczył i zmrużył ślepią. - A gdzie reszta?

- Połowa teraz, połowa potem.

- Nie tak się umawialiśmy.

Co milczała świdrując go wzrokiem.

Kinh wykrzywił szyderczo wargi. Nagle się odwrócił i warknął na swoich ludzi.

Choć pijani, spiesznie wykonali rozkaz i wywrzaskując do siebie sprzeczne komendy, niezdarnie odcumowali łódź i wskoczyli na pokład. Jeden z nich omal nie stracił przy tym równowagi i żeby nie wpaść do wody, zaczął młócić rękami powietrze. Pozostali szydzili z niego, zasympując Azjatę stekiem obscenicznych epitetów.

Jakby za naciśnięciem guzika, na wargi Kinh powrócił szkaradny bezzębny uśmiech. Zaprosił ich gestem do łodzi.

Bez pośpiechu, idąc ramię w ramię z Co, Rambo wszedł na pokład.

Rozdział 17

Gdy przekroczył próg kabiny, z drogi usunęła mu się pomarszczona Wietnamka z niemowlakiem na rękach. Kabina była ciemna, zakopcona i tak niska, że musiał pochylić głowę.

Była również klaustrofobicznie zagracona. We wszystkich dostępnych zakamarkach piętrzyły się sterty znalezionych albo zrabowanych rupieci: puste skrzynki po Coca-coli, przeżarte rdzą kołpaki samochodowe, stary radioodbiornik Victrola, aparat telewizyjny z pękniętym ekranem, pokryte pleśnią książki, martwe kurczaki, tacka na lód, rowerowe koło bez opony, dwa silniki do motorówki. Nie było w tym wszystkim żadnego ładu, żadnej logiki.

Lecz za skrzyniami z amunicją Rambo dostrzegł lufy kilku strzelb i karabinów.

Do kabiny weszło chwiejnie trzech członków załogi, przez co w cuchnącym wnętrzu zrobiło się jeszcze tłoczniej. Jeden z nich wyciągnął dumnie butelkę Jima Beama. Ledwo zdążył pociągnąć łyk, gdy ktoś mu ją wyszarpnął. Pomarszczona kobieta z dzieckiem na ręku zapaliła długą glinianą fajkę. Rambo pociągnął nosem i aż mu (nozdrza zadrgały - doszedł go mdląco-słodki zapach opium.

Odplywający od brzegu sampan przechylił się na burtę i skręcił w górę rzeki. Cicho gdał silnik.

W progu otwartych drzwi wykwitł cień Kinha. Pirat otarł usta - zza bezzębnych dziąseł nieustannie ciekła mu ślina - i wskazując butelkę whisky, z której pociągał jeden z jego ludzi, spytał po angielsku:

- Chcesz łyk? Rambo pokręcił głową.

- Szkoda. - Twarz mu pojaśniała. - Nie, nie szkoda! Dobrze! Więcej dla mnie! - Bluznąwszy przekleństwem, wyszarpnął kamratowi butelkę.

- Tu będziesz spał - powiedziała Co. - Dopóki płyniemy w górę rzeki, to bezpieczne.

- Spać? - Rambo rozejrzał się po zagraconej kabinie. - Gdzie? I co z łodziami patrolowymi?

Kinh pokiwał palcem.

- Łodzie? Ty nie martwić się o łodzie. - Podniósł wieko drewnianej, uwalanej smarem skrzyni i jak dziecko rozwijające bożonarodzeniowy prezent, z radosnym uśmiechem na twarzy zajrzał do środka.

Rambo zrozumiał jego radość, gdy zobaczył, co pirat wyjmuje ze skrzyni.

To była duma jego arsenału: RPG-7, rosyjska przenośna wyrzutnia raketowa, broń wielka i groźna.

Oczy Kinha zaśniły złym blaskiem.

- Nie będzie żadnych problemów.

- Nie - powtórzył Rambo. - Nie będzie żadnych problemów.

IV - OBÓZ

Rozdział 1

Trautman wyglądał przez wielkie drzwi hangaru. Z napiętymi aż do bólu mięśniami obserwował słońce. A słońce nieubłaganie pełzło ku linii horyzontu. Trautman obserwował je i czekał. Od kilkunastu godzin. Przedtem chodził nerwowo po hangarze. Jeszcze przedtem stał za radiooperatorem, wbijając wzrok w konsolę, jakby maksymalne skupienie mogło przerwać ciszę i wywołać z eteru głos Rambo.

Tak, czekał.

Tylko to mu pozostało.

To i modlitwa.

Ale miał jeszcze nikłą nadzieję. Bo jeśli ktokolwiek mógł przeżyć ten nieszczęsny skok, to tylko on, Rambo.

Przeżył, Na pewno.

W takim razie, myślał, dlaczego się, do cholery, nie odzywa? Nigdy nie przypuszczałem, że dożyję dnia, kiedy będę miał nadzieję, że jednemu z moich chłopców wykonujących zadanie specjalne na terytorium wroga zepsuł się radionadajnik.

Szedł ku niemu Murdock. Trautman odwrócił się, wyprostował i spojrzał na niego wyczekująco.

- Jest coś?

Murdock pokręcił głową.

- To wbrew mojej naturze - mruknął pułkownik.

- Co?

- Być piątym kołem u wozu. Chcę tam z nimi lecieć. Z grupą ewakuacyjną.

- Nie sądzę, żeby to było konieczne.

- Możliwe. Rzecz w tym, że ja chcę lecieć.

- Nie udzielam pozwolenia. Trautman się najeżył.

- Nie udzielam pozwolenia?!

- To zbyt niebezpieczne. Lot będzie koszmarny. Oficerowie w stopniu pułkownika nie mogą ryzykować. Przeżył pan swoje. Zasłużył pan sobie na prawo dowodzenia z drugiej linii.

- Ryzyko to moje zmartwienie. Powiedziałem, chcę tam...

Murdock nie pozwolił mu dokończyć.

- Nie, panie pułkowniku, to nasze zmartwienie. Nasze, moje też. Nie mogę pozwolić, żeby nad terytorium północnego Wietnamu zestrzelono śmigłowiec z pułkownikiem Armii Stanów Zjednoczonych na pokładzie. Proszę zaprzeczyć, jeśli nie mam racji, ale jest pan tu nieoficjalnie, prawda? - Uniósł ręce. - Tak, oczywiście, przyznaję. Jest pan tu również i po to, żeby okiełznać

swego "chłopaka", jak go pan nazywa. Ale dopóki pan tu przebywa, jest pan członkiem mojego zespołu. Zważywszy to wszystko, jeszcze raz powtarzam: nie chcę, żeby pan niepotrzebnie ryzykował. Prawdę powiedziawszy, nie jestem nawet pewien, czy powinienem wysłać tam Ericsona.

- Chwileczkę. Chyba nie chce pan...? Chce pan przerwać misję?

- Kusi mnie to, niech mi pan wierzy. Stąpamy po piekielnie kruchym lodzie. Sytuacja jest o wiele delikatniejsza, niż zakładałem.

- Przecież dał pan słowo. Powiedział pan, że śmigłowiec poleci, więc poleci, do cholery. Musi pan się trzymać planu działania.

- Dałem słowo? Komu? Jemu? Przecież nawet nie wiemy, czy on żyje. Chyba nie ma na to żadnych szans.

- Nie - odrzekł Trautman. - Dał pan słowo mnie. I dotrzyma go pan. Jak mi Bóg miły, zmuszę pana do tego.

Murdock przyjrzał mu się uważnie.

- A więc to tak, he?

- Dokładnie tak.

- Dobrze. Rozumiem pański punkt widzenia. A zresztą, do diabła z tym. Jeszcze mi tego brakowało, żeby po zakończeniu operacji powstały dwa rozbieżne raporty. Chce pan to ciągnąć do samego końca i posłać tam Ericsona? Proszę bardzo. Chce pan z nim lecieć i nadstawiać tyłek? Świetnie. To nie ze mnie zedrą skórę. Ale pułkownikowi...

- Słucham?

- Muszę oddać panu sprawiedliwość. Jest pan naprawdę lojalny.

Rozdział 2

Rambo stał za płócienną zasłoną w drzwiach kabiny i spoglądał przez szparę na zachodzące słońce, którego promienie zamieniały rzekę w płynną miedź. Z tyłu uparcie gdakał wiekowy silnik. Sampan płynął powoli w górę rzeki, a Rambo obserwował mijane po drodze łodzie. Były różne. Mniejsze, sterowane wiosłami i drągami przez ukrytych pod szerokimi, stożkowatymi kapeluszami przewoźników. I duże, napędzane silnikiem, jak ta,

którą płynął. Minęli spokojną wioskę - rzędy chat na szczydłowatych palach wbitych w stok wzgórza, nagie, brązowe dzieci pluskające się radośnie w wodzie, niesione echem wybuchy wesołego śmiechu. Później powróciła bezkresna dżungla i zdał sobie sprawę, że gdyby nie gdakanie silnika, taką samą scenerię można by tu zobaczyć sto lat temu. Albo nawet pięćset.

Wojny zaczynały się i kończyły. Zmieniały się ideologie i ustroje. Tylko ziemia i ludzie pozostali tacy sami.

I jeśli spojrzeć na to trzeźwym okiem, okazywało się, że ludzie wcale nie chcą polityki. Chcieli tylko jednego - żeby zostawiono ich w spokoju.

Zasłonił szparę i popatrzył na Co. Skulona, spała wspierając się o skrzynię z amunicją.

Twarz miała spokojną.

Dziecięcą,

I piękną.

Zatrzepotała powiekami. Budząc się powoli, zauważyła go i posłała mu uśmiech.

- Nie jesteś śpiący? - spytała po angielsku.

- Spać będę później. Kiedy to wszystko się skończy.

- To chyba nie ma końca.

- Masz rację.

Dwóch członków załogi wciąż przebywało w kabynie. Rozciągnięci pijacko na skrzyniach, usłyszeli dziwny język i wymienili zdumione spojrzenia.

- Teraz znowu będziemy jeść, tak? - spytała.

- Jeśli chcesz, możemy. Rozwinęła liść i podała mu pałeczki.

Sięgając po resztki ryżu nasączonego sosem ze sfermentowanej ryby, czasami się nimi tręcali.

- Nie szkodzi - powiedziała. Poczzerwieniał.

- Przepraszam. Człowiek zapomina tu o manierach.

- Wiem. Powiedziałam żart.

Uśmiechnął się.

- Jak się w to wplątałeś? - spytała.

- To długa historia.

- To długa wyprawa. Pokręcił głową, przeżuując ryż.

- Za krótka, żeby wszystko wytłumaczyć. - Przełknął jedzenie. - A ty? Jak cię zmusili do pracy dla szpicli?

- Dla szpicli?

- Dla tych z wywiadu. To, co w tej chwili robisz, to działalność wywiadowcza.

- Ach tak, dla szpicli! Rozumiem. Bardzo dobrze. Zamyśliła się, ssąc pałeczki. - Rozmawiali ze mną na uniwersytecie, jeszcze przed upadkiem Sajgonu. Zawarliśmy umowę.

- Tak, w tym to oni są dobrzy - odrzekł Rambo, przypominając sobie kamieniołom, bolące mięśnie i zlany potem kark. - W zawieraniu umów.

- Mój brat był kapitanem w komunistycznym wojsku. Musiał mieć papiery, żeby wyjechać do Ameryki, bo inaczej egzekucja. Szpicle powiedzieli: on wyjedzie, ja zostanę tutaj i będę dla nich pracowała. Wyjechał. Mój synek też wyjechał. Do Stanów Zjednoczonych.

Zaskoczony Rambo przestał jeść.

- Twój synek? Spuściła oczy,

- Nguyen. Ma teraz dwanaście lat. Nie widziałam go długo, od ośmiu lat. Myślę, że jest duży. Może nie tak duży jak amerykański chłopiec. Ale silny.

Rambo z trudem przełknął ryżową gulę.

- Na pewno. W Ameryce ma dużo jedzenia, na pewno jest silny. A jego ojciec?

Wzruszyła ramionami i ze stoickim spokojem i akceptacją, której nauczył się oczekiwać u Wietnamczyków, odrzekła:

- Nie żyje. Zginął na wojnie.

No jasne, pomyślał. Widziała każdy możliwy rodzaj śmierci i traktuje ją jak nieodłączny element życia codziennego.

- Bardzo mi przykro.

- Tak...

Zamilkła i wtedy coś sobie przypomniał. Fanatyczni Amerykanie utrzymywali, że zabicie żółtka to nie to samo co zabicie Amerykanina. ("Widzisz, ci pierdoleni Azjaci nie szanują życia, jak my. Spójrz tylko na te śmierdzące nory, w których się tłoczą. Życie nie jest dla nich warte funta kłaków". Amerykanie, pomyślał. Wiecznie zakładają, że reszta świata żyje na takim samym poziomie jak oni.)

- Tak - powtórzyła spięta Co. - Mnie też było przykro. Myślę o nim. Wiele nocy.

Żeby nie musiała okazywać poniżającego smutku, umożliwił jej godne wyjście z sytuacji i zmienił temat rozmowy.

- A twój syn? Nguyen? Tak ma na imię, prawda? Dokąd wyjechał? Do jakiego miasta?

- Do Huntington Beach w Kalifornii - odrzekła z dumą.

- Tak... - Myślał przez chwilę. - Ładnie tam. Pewnie ma nawet deskę surfingową.

- Deskę surfingową?

- Taki kawałek drewna. Staje się na nim i pływa na fali.

- Pływa na...?

- To trudno opisać. Trzeba to zobaczyć na własne

oczy. Chciałem przez to powiedzieć, że twój syn... Hmm, założę się, że pewnie... pewnie łamie serca dziewczętom. Rozgniewała się.

- Nguyen jest dobrym dzieckiem. Roześmiał się.

- No jasne, oczywiście.

- Tam jest bezpieczny. Tylko to jest ważne. Nie tak jak tutaj. Nie tak jak jego ojciec. -

Odłożyła pałeczki. W jej oczach dostrzegł smutek. - Tu jest za dużo śmierci. Wszędzie. Ja po prostu...

- Tak?

- Chcę żyć.

Weszłaś w układ ze szpiclami, pomyślał, ryzykujesz życiem, żeby zapewnić bezpieczeństwo synkowi. Wspaniała z ciebie kobieta. Naprawdę wspaniała.

- A ty? - spytała.

- Nie wiem, o co...

- Czego pragniesz?

- Ja? - Wzruszył ramionami. - Przetrwać.

- Przetrwać? To co innego niż żyć.

- Chyba tak. Ostatni raz cieszyłem się życiem...

- Tutaj to nie takie łatwe. Nawet przetrwać. Tu trwa wojna.

- No cóż - odrzekł. - Żeby przeżyć wojnę, trzeba...

- Tak?

- ... odpowiedzieć na nią wojną. Zaskoczona uniosła brwi.

- Dlatego szpicle cię wybrali? Bo lubisz walczyć? Pokręcił głową.

- Bo jestem w tym dobry. Bo mają do mnie, że tak powiem, indyferentny stosunek.

- In-dy-fe..., tny?

- Nie rozumiesz?

- Czekaj, nie mów... To znaczy, że jeśli jedziesz autobusem, a w autobusie jest tłok, jeśli jest wypadek, jeśli w tym wypadku zginiesz tylko ty, to nikogo to nie obchodzi. Tak?

- Otóż to.

Zerknął na rzemyk oplatający jej szyję. Gdy Co pochyliła się, zza wycięcia w bluzie munduru wypadł przywiązany do rzemyka medalion. Wypadł i zawisł na jej piersi. Rambo dotknął go palcem.

Małeńki złoty Budda.

- Przynosi mi szczęście - wyjaśniła, przenosząc wzrok z jego palców na twarz. - A co tobie przynosi szczęście?

Zamyślony cofnął rękę...

...zacisnął ją na rękojeści noża i spojrzał na rozwalonych pijacko piratów. Co zrozumiała.

Rozdział 3

Zmroziły go szaleńcze krzyki dobiegające z zewnątrz.

Wyszarpnął nóż i odwrócił się błyskawicznie w stronę zasłony w drzwiach. Usłyszał ryk potężnego silnika z każdą sekundą głośniejszy - który zagłuszał gdakanie motoru sampana. Pędziła ku nim obca łódź.

Co rzuciła się do zasłony, wyrzała przez szparę i odwróciwszy się do niego, krzyknęła:

- Wojsko! Rzeczny patrol!

W brzuchu poczuł straszliwe zimno. Skurczył mu się żołądek.

Pijani piraci próbowali wstać. Wstali i mamrocząc pod nosem, skoczyli do drzwi.

A Rambo już dał nura za skrzynię. Wcisnął się za nią, naciągnął na siebie leżący na niej brezent i czując, jak spada na niego grad rupieci - dopiero po chwili zrozumiał, że to Co próbuje zagrzebać go pod warstwą szpargałów - wdychając ostry zapach pleśni...

Ścisnął mocniej nóż.

I wyciągnął pistolet, przesuając skrzydełko bezpiecznika.

Oddychał tak cicho, jak tylko mógł. W głowie kłębiła mu się tylko jedna myśl: znieruchomieć, nie poruszyć brezentem.

Rozdział 4

Co zwała na niego ostatnią stertę rupieci; rowerowa pompka wylądowała na pozbawionej strun gitarze i na wyżymacze od pralki. Poprzez łomot serca słyszała potężny ryk silnika łodzi patrolowej, która pędziła tak blisko sampana, że blaszane ściany kabiny zaczęły drżeć. Zdawało się, że łódź jest tuż tuż.

Zerknęła na karabin, ale zanim zdążyła po niego sięgnąć, ktoś szarpnął płócienną zasłoną w drzwiach.

Do kabiny wpadł Kinh.

Z dzikimi, nabiegłymi krwią oczami otworzył uwalaną smarem skrzynię, wydzwignął z niej przenośną wyrzutnię raketową i wsunął do lufy pocisk.

Co powstrzymała go.

- Spróbuj tylko tego użyć, a wyceluję tę rurę w twój korzeń - zagroziła po wietnamsku.

Kinh wbił w nią płonące ślepie.

- Bo tego właśnie używasz zamiast mózgu - dodała. Świdrując ją spojrzeniem, na jednej szali złożył swoją

dumę, na drugiej jej mądrość.

- Znasz lepszy sposób?

- Znam: chciwość. - Wyszarpnęła zza pazuchy zwitek północnowietnamskich banknotów i wcisnęła mu je do ręki. - Ruszaj. Zrób to, w czym jesteś dobry.

Myśli Kinh krążyły wolno i ospale, jak muchy brodzące po kisielu. Lecz komplement usłyszany z jej ust nagle go rozbawił. Znow pokazał bezzębne dziąsła.

- Czemu nie?

I pochylił się, żeby wyjść z kabiny.

Co poszła za nim.

Stała na pokładzie i osłoniwszy ręką oczy - od powierzchni wody bił blask zachodzącego słońca - ujrzała wielką łódź patrolową, która przybijała łukiem do burty sampana. Wzbijała przy tym tak wielką falę, że sampan omal się nie wywrócił. Żeby nie stracić równowagi na rozkołysanym pokładzie, Co przyciskała rękę do blaszanej ściany i z udawaną niewinnością spoglądała na górującą nad sampanem łódź.

Potężne silniki nagle umilkły, a denerwująca cisza, jaka zapadła, była gorsza niż ich przeraźliwy ryk. O dziób zachlupotały gasnące fale. Na pokładzie stało sześciu żołnierzy w mundurach północnowietnamskiej marynarki wojennej. Wszyscy mieli srogie miny. Strzelec pokładowy obsługujący karabin maszynowy na dziobie szcęknął zamkiem, obrócił lufę broni, skierował ją w dół, na sampana, i gotów do otwarcia ognia, wycelował. Pozostali, czujni i ostrożni,

ściskali w rękach karabiny AK-47. Kapitan łodzi, mężczyzna szeroki w barach i arogancki, przytknął do ust tubę.

- Nie ruszać się! - zadudnił po wietnamsku głosem ostrym i metalicznym. - Ani kroku! Wchodzimy na pokład!

Piraci Kinha przesunęli się niezdarnie, robiąc miejsce. Wyglądali - o ile to w ogóle możliwe - jeszcze bardziej głupkowato niż przedtem. Kobieta o kościstej, pomarszczonej twarzy przytknęła dziecko do obwisłej piersi.

Kinh skłonił się dworsko, podzwaniając naszyjnikami.

- Ależ oczywiście, zapraszamy. Nie mamy nic do ukrycia. A może by się pan czegoś napił? Mam dobrą gorzałkę.

Kapitan zmarszczył nos. Stojąc między dwoma żołnierzami celującymi w ludzi Kinha z pistoletów maszynowych, wyciągnął z kabury pistolet, poklepał lufą w otwartą dłoń i zeskoczył na pokład sampana. Wylądował na ugiętych kolanach, szybko się wyprostował i odzyskując równowagę, z zażenowaniem próbował zachować godność.

Rozejrzał się podejrzliwie.

Co stała przed drzwiami kabiny i udawała, że zaimponował jej swoim mundurem.

Kapitan wymamrotał coś pod nosem, odepchnął ją i wszedł do środka.

Kinh ruszył za nim.

- W takim razie może zegareczek? Dobry. Amerykański.

Połowa słonecznej tarczy skryła się już za horyzontem. Co zmrużyła oczy, próbując przebić wzrokiem mrok panujący w kabinie.

Kapitan grzebał nogą i kopał w stertach rupieci.

- Jaki zegarek?

- Bulova.

- Dawaj. - Zaczął szperać w śmieciach leżących na brezencie, pod którym ukrył się Rambo.

- Wspominałeś o gorzałce.

- Dobra whisky. - Kinh otworzył skrzynię i wręczył kapitanowi pełną butelkę Cutty Sark.

- Skąd wytrzasnąłeś te wszystkie śmieci?

- Ludzie gubią je na rzece.

- Mówiłeś, że nie masz nic do ukrycia.

- Czy ja tu coś ukrywam? Wszystko leży na wierzchu.

- A tamte karabiny?

- Jakie karabiny? Ach tamte! Potrzebujemy ich do obrony własnej. Nie uwierzyłby pan, ilu złodziei kręci się po rzece.

- Akurat w to wierzę.

- Oczywiście. Pewnie sami się przed nimi codziennie bronicie,

- Dla dobra naszego ludu. Ilekroć ich złapię, zawsze daję im przedsmak tego, co ich czeka.

- Na pewno jesteście przepracowani. I pensja marna. Ludzie was nie doceniają, nie wiedzą, ile marynarka wojenna dla nich robi.

Kapitan kopnął w zamek skrzyni, w której Kinh ukrył wyrzutnię raketową.

- Tak to już jest - mruknął. - W marynarce człowiek się do tego przyzwyczaja. Bronimy ludzi, a nikt nie okazuje nam wdzięczności.

- W przeciwieństwie do nas. Niechaj to będzie tego dowodem. - Kinh wyciągnął zwitek banknotów, który dostał od Co.

Kapitan naślinił palec i przeliczył pieniądze.

- Tylko tyle jest warta wasza wdzięczność - spytał.

- Właśnie sięgałem do drugiej kieszeni - odrzekł Kinh i podał mu drugi zwitek.

- Tak. Teraz widzę, że naprawdę jesteście nam wdzięczni. A w zamian za to... - Rozejrzał się dookoła. W zamian za to ostrzegę cię przed czymś. Bądź ostrożny. Doniesiono mi, że po rzece kręcą się nie tylko złodzieje, ale i przemytnicy.

- Nikczemni, występni degeneraci. - Kinh splunął na podłogę. - Ich matki przeklinają dzień, w którym przyszli na świat.

- Może się jeszcze spotkamy. - Kapitan po raz ostatni kopnął w zamek skrzyni z wyrzutnią i ruszył do drzwi.

- Nie mogę się już doczekać - zapewnił go Kinh.

Co w ostatniej chwili usunęła się kapitanowi z drogi. Na pokładzie przystanął, groźnym wzrokiem zmierzył zabijaków Kinhha i wdrapał się na łódź.

Spięta, z trudem panując nad rozdygotanymi nerwami, Co patrzyła, jak kapitan wykonuje gwałtowny gest ręką. Ryknął silnik. Łódź odpłynęła. Sampan zakołysał się na falach.

Gdy patrolowiec zniknął jej z oczu, gdy warkot silnika przeszedł w odległe, monotonne brzęczenie dochodzące zza zakrętu rzeki, Co weszła do kabiny.

- No i jak tam, Rambo?

Za skrzynią coś drgnęło, jakiś cień. Wijąc się niczym wąż, zrzucając z siebie stertę rupieci, Rambo wynurzył się spod brezentu jak zjawia. W jednej ręce trzymał nóż, w drugiej pistolet.

- Wolałbym raczej być w Filadelfii.

- Co? Nie rozumiem. Dlaczego w Filadelfii.

- Nic. To taki stary dowcip. W. C. Fieldsa.

- Stary dowcip. W.C. Fieldsa. - I chociaż wciąż nie rozumiała, w czym rzecz, uśmiechnęła się.

Rozdział 5

Zapadła noc. Wcześniej padało. Światło księżyca igrające lśniącoymi refleksami na liściach drzew sprawiało, że dżungla ożyła. Zewsząd kapłała woda. Po śliskich korzeniach wspięli się na stromy brzeg. Na szczycie skarpy pochyliłi się nisko, żeby nikt nie dostrzegł ich sylwetek, i szybko obrali kierunek marszu: w dół zbocza.

- Zaczekaj tutaj - rozkazała Co Kinhowi, gdy wyskoczywszy za burtę, stali po kolana w mulistej wodzie. Wrócimy i dostaniesz resztę pieniędzy.

Kinh nie był zadowolony. Nie chciał ryzykować spotkania z inną łodzią patrolową, lecz chciwość przeważała nad nerwami.

Rzecz w tym, czy można mu ufać, myślał Rambo idąc pogrążonym w ciemności zboczem.

A jak zmieni zdanie i dojdzie do wniosku, że forsa nie jest tego warta? Co będzie, jeśli po powrocie go nie zastaniemy?

Wtedy znajdziemy inną drogę w dół rzeki. To wszystko.

Lecz przyszło mu do głowy coś jeszcze. Jeśli Kinh zamierzał ich tu zostawić, powinien był próbować zabrać im pieniądze - wszystkie, jakie tylko mieli - a następnie ich zabić. To logiczne. Ośmiu piratów przeciwko ich dwojgu. Okoliczności mu sprzyjały, miał duże szansę i dobrze o tym wiedział. Mało tego. Przecież równie dobrze mógł ich zabić już w chacie. Po co miałby zawracać sobie głowę i ciągnąć ich aż tutaj, skoro nie zamierzał dotrzymywać warunków umowy?

Nie. Im dłużej o tym myślał, tym większego nabierał przekonania, że Kinh będzie na nich czekał.

Kiedy dotarli do podnóża stoku, zawadził butem o jakiś okrągły, pusty przedmiot. Przedmiot potoczył się z klekotem i o coś stuknął.

Idąca obok niego Co też nastąpiła na coś, co zaklekotało.

Rambo przystanął i zmarszczył brwi. Miny?

Jeśli to miny, już dawno powinno rozerwać nas na strzępy.

Puste tykwy?

Tykwy nie klekoczą tak sucho.

Zrobił krok do przodu i zamarł, gdy usłyszał trzask nagich, ułożonych w stos gałęzi. Gdy próbował je obejść, stwierdził, że to nie stos, a raczej podłużna sterta ciągnąca się na znaczną odległość. Po chwili zdał sobie sprawę, że to coś, cokolwiek to było, otacza go ze wszystkich stron.

Co to jest, do diabła?

Wyteżył wzrok, próbując wypatrzeć coś w aksamitnej ciemności panującej u podnóża stoku. Rozświetlała ją tylko delikatna księżycowa poświata i po chwili, gdy oczy przywykły do głębokiego mroku, w tej nikłej poświacie zaczął dostrzegać...

Białe okrągłe przedmioty. Oraz przedmioty podłużne, jak kły słonia; niektóre z tych ostatnich były wygięte. Wszystkie leżały bezładnie, na stercie, krzyżując się bez ładu i składu.

Nagle zrozumiał, na co patrzy, i poczuł w ustach gorzką, gorącą żołąć.

Patrzył na kości. Na ludzkie kości. Na warstwę czaszek i szkieletów, splątanych z sobą i poszczepianych, na roztrzaskane klatki piersiowe, z których wyrastały dzikie pnącza, na ich długie wici sterczące z nagich, kościstych ust i pustych oczodołów.

Ale w ustach dostrzegł zęby i to powiedziało mu wszystko. Wietnamczycy mieszkający tu, głęboko w dżungli,

ledwie egzystujący na podłej diecie, wcześniej tracili zęby, tak że większość dorosłych przeżuwała jedzenie nagimi dziąsłami.

Nie, te szkielety, te czaszki (większe niż czaszki Wietnamczyków) należały do ludzi białych.

Należały do...

Amerykanów?

Dobry Boże, pomyślał i chociaż noc była parna, duszna i wilgotna - zadrżał. Tak właśnie postępowali ze zmarłymi więźniami. Zamiast grzebać zwłoki...

Nie, to niemożliwe. Jeszcze raz przełknął ślinę wymieszaną z żołącią.

... przywlekali je tutaj i po prostu wrzucali do parowu. Dżungla szybko załatwiała za nich robotę, której unikali. Zwierzęta, owady i bakterie pożerały trupy, ogołacały je z ciała. Drapieżniki ogryzały i rozrzucały kości. Niebezpieczeństwo choroby było minimalne. A odór śmierci nie wznosił się ponad zbocza parowu. Gdy dżungla kończyła swoje dzieło, znikał zupełnie.

Rambo zerknął na Wietnamkę. W ciemności z trudem dostrzegł wyraz jej ciemnej twarzy. Co była przerażona. Zaszokowana.

Poklepał ją po ramieniu i wskazał przeciwległe zbocze.

Zawahała się. Głęboko wciągnęła powietrze i kiwnęła głową. •

Starając się robić jak najmniej hałasu, szli brodząc w cmentarzysku. Szkielety klekotały. Spłoszone szczury czmychały w głąb warstwy kości.

Po kilku sekundach, które wlokły się jak pełne udręki minuty, dotarli do porośniętego krzewami zbocza po drugiej stronie parowu.

Zaczęli się na nie wspinać, lecz zamiast ulgi, Rambo odczuwał niepokój. Nie dlatego, że obóz był blisko. I nie

dlatego, że tam, przed nimi, zapewne czyhała przemoc i śmierć. Wprost przeciwnie. Niepokoił się, bo pomyślawszy o odorze śmierci, zdał sobie sprawę, że w parowie go nie czuć.

Wcale. Dżungla oczyściła te kości dawno temu. W świątyni Co powiedziała mu, że odwiedziła to miejsce dwa miesiące temu, i że obóz był pusty.

Może w dalszym ciągu jest pusty. Może nie znajdzie tam żadnych więźniów. Może przybył tu na próżno.

Rozdział 6

Dotarli na szczyt następnego wzgórza, lecz nim zdążył dać nura w zarośla, Co go powstrzymała. Światło księżycy było tu wyraźniejsze i na jej twarzy dostrzegł napięcie. Zalękniona spojrzała przed siebie.

Zrozumiał.

Mięśnie mu stężały. Zacisnął usta, skinął głową i legł na gliniastej ziemi, pachnącej tak intensywnie, że brakło mu tchu.

Zaczął się czołgać.

Odchylił gałąź.

I zobaczył obóz.

Pogrążony w mrocznych cieniach, ciągnął się od podnóża stoku i wypełniał długi, szeroki parów. Lecz w przeciwieństwie do parowu, w którym znaleźli ludzkie kości, ten nie rozciągał się od prawej do lewej, lecz biegł prostopadle do wzgórza. I był bardzo szeroki.

Nigdy nie oglądał obozu z tej perspektywy, mimo to natychmiast to miejsce rozpoznał. Pół roku, jakie tu spędził, wypaliło mu w umyśle niezatarte piętno, a koszmar, jaki tu przeżył, jeszcze bardziej to piętno pogłębił.

Bo przeżył tu prawdziwe piekło na ziemi. Szambo, kozły, liny i krzyże, na których go torturowano, bambusowe klatki tak ciasne i małe, że nie można było w nich ani usiąść, ani stać, bolące, bo wiecznie zgięte kolana, broda wiecznie przyciśnięta do piersi, koszmarny ból wiecznie zgiętego karku... Myślał, że zwariuje. Ale wiedział, że jeśli oszaleje, to nie przetrwa. Był pewien, że lada chwila, lada sekunda coś w nim pęknie, że straciwszy wszelką nadzieję, zacznie przeraźliwie krzyczeć, wrzeszczeć i jęczeć z rozpacz i bólu. Ale nie, nie krzyczał ani nie jęczał. Utrzymywał siebie w ryzach przez następną sekundę, potem przez jeszcze jedną, a później myślał o obozowisku na pustyni w Arizonie i ruch po ruchu, czynność po czynności wyobrażał sobie, jak rozstawia namiot, jak rozpala ognisko, żeby ugotować wołowy gulasz z puszki, jak próbuje ostrego, gęstego sosu. Albo wyobrażał sobie, że pędzi swoim poobijanym, lecz podrasowanym Fordem, jak śmiga polną drogą, wzniesając za sobą tumany kurzu, jak podskakuje na wybojach, jak wciska gaz do dechy i rozpędza maszynę do stu osiemdziesięciu na godzinę.

Lecz po jakimś czasie uświadamiał sobie, że bez względu na to, jak długo tak się zabawia, to przecież wciąż siedzi w klatce albo wisi na linie, że ręce ma związane nad głową, że ramiona powoli wychodzą mu ze stawów, że stopy dyndają nad ziemią.

I wtedy przypominał mu się wietnamski przyjaciel z gór i już wiedział, że obozowanie na pustyni nie ma znaczenia. Karkołomna jazda Fordem też nie.

Że nic nie ma znaczenia.

Nic oprócz zen.

Bo tak naprawdę nic nie istnieje.

Ani klatka. Ani dół. Ani lina.

Wszystko jest złudzeniem. Bólu nie ma. Jakim cudem mogłoby go boleć, skoro ciała też nie ma?

Jest tylko umysł. I patrząc na zgrubienie bambusowego pręta w klatce (bambus nie istniał, ani zgrubienie) skupiał wzrok na siedzącym na zgrubieniu komarze (komar nie istniał, podobnie jak jego skrzydełka) i stawał się maleńkim pyłkiem w oku Boga (bo On istniał naprawdę).

I przetrwał.

Wspominając i patrząc na obóz, nagle zadrżał. Wiedział, że logicznie rzecz biorąc, powinien wyeksploatować tę regułę do samego końca i stwierdzić, że obóz też nie istnieje.

Ale nie mógł, nie umiał tego zrobić. Może dlatego, że religia zen była dla niego mechanizmem obronnym, a nie filozofią. A może dlatego, że gdyby uwierzył w nieistnienie obozu, musiałby również uwierzyć w nieistnienie przetrzymywanych w nim amerykańskich jeńców. A przeciwko tej myśli buntował się całą duszą.

Jednak w tej chwili udręka, jaką przeżywał, wydała się bezpodstawna.

Bo zgodnie z przewidywaniami Co, obóz był pogrążony w całkowitej ciemności i sprawiał wrażenie opuszczonego.

Po obu stronach, w najbardziej newralgicznych punktach, rozmieszczono wieże strażnicze. Ich projektanci wykorzystali fakt, że u podnóża stoków rosły dwa wysokie drzewa - pnie posłużyły za podstawę wież, a na rozłożystych konarach ulokowano strażnicze budki. Dobry kamuflaż. Znakomite maskowanie. I rozsądne wykorzystanie miejscowego budulca. Kolczasty drut rozciągnięty między drewnianymi słupami otaczał cały obóz, tworząc koślawy kwadrat. Drugą zaporę wykonano również z kolczastego drutu, z tym że nie umocowano go,

a po prostu rozwinięto na ziemi, przez co wyglądał jak dziecięca zabawka, jak giętki, zygzakujący gdzie popadnie wąż z nacinanego drewna.

Wejście do obozu - wielka drewniana brama z budką strażnika po prawej stronie - znajdowało się bezpośrednio pod nimi; i w tym wypadku wykorzystano miejscowy budulec - za tylną ścianę budki służył szeroki pień drzewa. Obok budki wiodła droga. Przegrodzona bramą, biegła w kierunku trzech drewnianych baraków ustawionych w kształt litery "U". Rambo i Co mieli przed sobą spód "U". Jego otwarty koniec wychodził na olbrzymi, podobny do grotty otwór w skalnej ścianie.

Prawdziwie diabelski rozkład całego kompleksu różnił się zasadniczo od rozpowszechnianych w USA opisów więziennych obozów pracy. Pod wpływem z góry

wyrobionych sądów - dużą rolę odegrały tu opisy obozów jenieckich z czasów drugiej wojny światowej - większość Amerykanów wyobrażała sobie, że są to miejsca słoneczne i otwarte, bez żadnej kryjówki w promieniu stu metrów od muru.

Lecz ten obóz otaczały zewsząd przytłaczające, porośnięte dżunglą skały i nawet za dnia było tu ponuro i ciemno.

Rambo wiedział, że czasami, gdy wyjeżdża się skądś i po licznych przeżyciach wraca, zachowane wspomnienia nie przystają do rzeczywistości. Dokładnie tak samo się czuł, gdy wrócił na krótko do Bowie w Arizonie, do miasta, które - jak wtedy sądził - było jego domem. Tu, w obozie, zapamiętane z młodości migawki rozrosły się do wspaniałych obrazów, a kiedy wreszcie wrócił, stwierdził, że Bowie to miasteczko biedne, smętne i malutkie. A może po prostu już tam nie przynależał.

Może nie przynależał już nigdzie.

Lecz kompleks więziennych zabudowań u stóp wzgórza, nawet oglądany z innej perspektywy, był dokładnie taki sam. Najwyraźniej piekło nie zmienia się nigdy. Jego koszmar - zamiast w głowie, miał go ponownie przed sobą - też nie.

Znowu zadrżał, lecz tym razem z energii, jaką wyzwoliły nerwy. Miał do wykonania zadanie.

- Mówiłam, jest chyba pusty - szepnęła Co, rozciągnięta na ziemi obok niego.

Przyjrzał się uważnie jednej wieży, potem drugiej. Ani śladu strażników.

- Podejźmy bliżej, tak?

Przykucnęła i skulona, powoli ruszyła naprzód.

Rambo chwycił ją za nogawkę spodni.

Obróciła głowę i pytająco uniosła brwi.

Wyciągnął rękę w kierunku, w jakim zmierzała. W świetle księżyca połyskiwał napięty, kąpiący wilgocią drut. Rambo wskazał w lewo, gdzie zauważył minę-pułapkę przymocowaną do drzewa. Gdyby potknęła się o drut, urwałoby jej co najmniej nogi. Albo, co bardziej prawdopodobne, dolną połowę ciała.

Co pospiesznie zawróciła.

Rambo przeniósł wzrok na obóz. W budce przy bramie dostrzegł nagły rozbłysk nikłego płomyczka. Płomyczek rozbłysnął i prawie natychmiast zgasł.

Ktoś przypalił sobie papierosa, odgadł Rambo.

Zagrały w nim pobudzone instynkty.

Co spojrzała na niego z otwartymi ze zdumienia ustami. Ona też zauważyła płomyczek.

Położył palec na jej wargach...

Bo oto ciszę przerwało terkotanie, purkanie, niemal popierdywanie silnika nadjeżdżającego motoru. Mrok dzungli pod nimi rozcięło światło reflektora.

Rambo wytężył wzrok.

Młoda kobieta, ubrana kolorowo, lecz bynajmniej nie elegancko, skierowała Lambrettę prosto do bramy. Skuter zatrzymał się, silnik donośnie strzelił gaźnikiem i zgasł.

Parów wzmacniał dźwięki. Docierały do nich przytłumione, lecz wyraźne głosy: śmiech kobiety, słowa, jakimi powitała strażnika, jego gburowata i zgryźliwa odpowiedź.

Co, najwyraźniej niepewna, czy Rambo zrozumiał, szepnęła:

- To rowerowa dziwka z wioski. Mówi, że interesy kiepsko idą.

Tu, na górze, gdzie nie było nic, co mogłoby wywołać echo, wypowiedzenie kilku ledwo słyszalnych słów nie pociągało za sobą wielkiego ryzyka.

Lecz Rambo znów przyłożył jej palec do ust. Nie musiała nic wyjaśniać. Mimo, że nie rozumiał kilku uwag, sens rozmowy między strażnikiem i prostytutką pojął doskonale.

Prostytutka złożyła strażnikowi propozycję. Bardzo dobrą propozycję.

Lecz słysząc zgryźliwy głos strażnika, można by odnieść wrażenie, że to on składał propozycję jej.

Otworzył bramę i wpuścił do środka dziewczynę ze skuterem.

- Pamiętaj - przypomniał jej po wietnamsku - za pół godziny. - I bez owijania w bawełnę powiedział dziwce,

co chce z nią robić.

Ale skuter terkotał już w stronę baraków.

Rambo poczuł, jak kurczy mu się żołądek. Gwałtownym, lecz płynnym ruchem zdjął z pleców dwa kołczany. Otworzył je, z szacunkiem, niemal z nabożeństwem wyjął ukryte w nich części i zaczął je składać.

Wyglądały tak niezwykle, że Co nie mogła się powstrzymać.

- Co to jest? - spytała szeptem.

Rozdział 7

Strzały. I łuk.

Ponieważ był półkrwi Indianinem z plemienia Navajo, już we wczesnej młodości wyszkolono go na wytrawnego łuczника. W wiosce jego matki łuk został wyparty przez strzelbę, która stała się podstawową bronią myśliwską, lecz wielu Navajów wciąż było znakomitymi łucznikami. Jego nauczycielem został najstarszy i najmądrzejszy mieszkaniec wioski. Tłumaczył mu, że owszem, siła jest ważna, ale wprawa i wytrwałość są ważniejsze, najważniejsza zaś jest umiejętność koncentracji. Żeby mu to udowodnić, starzec, który często chodził o lasce, a czasami miewał trudności z samodzielnym wstawaniem, napiął cięciwę łuku, którego Rambo, nawet później, już jako muskularny nastolatek, napiąć nie potrafił. Zwolnił strzałę i trafił bez pudła w cel odległy o trzydzieści metrów od nich. Rambo wybałuszył oczy.

- To umysł napina cięciwę, nie ciało - wyjaśnił starzec. - Jeśli umysł masz tęgi, ciało będzie mu posłuszne. Łucznik jest czarownikiem, jest jak kapłan twojego kościoła. Dobrze napiąć łuk to zagłębić się w siebie, to odciąć się od świata, od wszystkiego, co ci przeszkadza, to stawić czoło własnemu duchowi.

Oczywiście Rambo tego nie zrozumiał.

- Jesteś na to o wiele za młody - orzekł starzec. - Ale kiedyś pojdziesz, kiedyś wyczujesz, że duch jest z tobą.

Rambo próbował. Naprawdę próbował. Mimo to jego strzały rzadko trafiały w cel.

- To dlatego, że jesteś niecierpliwy - tłumaczył starzec. - Martwisz się. Za bardzo się starasz. Musisz pokochać swój łuk, a strzałę kierować siłą ducha.

I pewnego dnia, po wielu rozczarowaniach, po wielu miesiącach daremnych prób, Rambo doszedł do wniosku, że nigdy nie nauczy się strzelać. Postanowił wypuścić ostatnią strzałę i skończyć z tym raz na zawsze. Zrobił to szybko, żeby oszczędzić sobie poniżenia, instynktownie, żeby mieć to już za sobą. Po prostu odciągnął strzałę, zerknął na cel i zwolnił cięciwę. Strzała utkwiała dokładnie tam, gdzie miała utkwąć.

I coś się w nim przełamało. Bo przez ułamek sekundy łuk, pierzasty pocisk, on i cel stanowili jedną całość. Miał wrażenie, że wypuszczenie strzały to najbardziej naturalna rzecz, jaką kiedykolwiek zrobił. Gdy z sykiem przecinała powietrze, odczuwał głębokie, niemal mistyczne zadowolenie i jeszcze zanim utkwiała w celu, wiedział, że tym razem nie spudłuje.

Wtedy zaczął rozumieć, co starzec miał na myśli.

Tamtego dnia został prawdziwym łucznikiem - bo wspomagał go duch, bo strzelał odważnie, śmiało, chcąc odtworzyć ów beczasowy moment, gdy strzała odrywa się od cięciwy, a świat znów staje się jednością.

Zafascynowany, przeczytał na temat łucznictwa wszystko, co tylko mógł znaleźć. Ktoś napisał - na pewno jakiś łucznik - to wynalezienie łuku, obok umiejętności wykorzystywania ognia i posługiwania się mową, jest jednym z najważniejszych osiągnięć w historii ludzkości. To logiczne. Przecież dzięki łukowi rasa ludzka opanowała do mistrzostwa sztukę polowania, co umożliwiło jej przetrwanie.

Łuk towarzyszył człowiekowi niemal przez całą historię ludzkości: przez sto tysięcy lat. Do wieku XVI, gdy zaczął go wypierać proch i kule, był bronią najbardziej newralgiczną, bardziej newralgiczną niż miecz i włócznia. Rambo uczył się strzelać z łuku długiego, inaczej klasycznego. Łuk klasyczny ma długie proste drzewce, które trzeba wygiąć, żeby napiąć nań cięciwę. To stara broń - po raz pierwszy wykorzystano ją w roku 1066, w bitwie pod Hastings, gdzie Normanowie rozgromili wojska anglosaskie.

Lecz istniały również inne rodzaje łuków i Rambo postanowił, że dowie się o nich wszystkiego, że uczyni z łucznictwa swoje rzemiosło; w późniejszych latach znajomość tego rzemiosła musiał wykorzystywać w praktyce.

Począwszy od roku 1940, na turniejach coraz większą popularność zaczęła zdobywać nowoczesna wersja łuku, którego Asyryjczycy używali już tysiąc osiemset lat przed naszą erą. Nazywano ten łuk łukiem zagiętym, ponieważ, gdy był napięty, jego ramiona, górne i dolne, wyginały się inaczej niż ramiona łuku klasycznego: od zamiast do łuczniaka.

Od łuku klasycznego różnił się czymś jeszcze. Otóż składał się z trzech części: z majdanu, czyli rękojeści, oraz z dwóch przyśrubowywanych do majdanu ramion. Dzięki temu łuk można było rozłożyć, wygodnie przechować albo przenieść - zajmował bardzo niewiele miejsca. Z trzyczęściowej konstrukcji łuku wynikała również rzecz bardzo logiczna oraz, co ważniejsze, praktyczna: majdan, który przy napinaniu cięciwy się nie wyginał, mógł być wykonany z materiału sztywnego, jak na przykład metal, natomiast ramiona, które wyginać się musiały - z materiału giętkiego, jak choćby z drewna, włókna

szklanego lub z materiału łączonego. Wynikiem tego rodzaju rozwiązania była większa koncentracja energii w łuku jako takim, co owocowało większą celnością i szybkością strzałów.

Łuk zagięty był dla niego szczytem doskonałości konstrukcyjnej. Doskonalił na nim swoje umiejętności tak długo, aż doszedł do mistrzostwa, podobnie jak w strzelaniu z łuku klasycznego. Lecz gdy po straszliwych przeżyciach wrócił z Wietnamu, stwierdził, że świat zmienił się bardziej, niż przypuszczał. Tam, w Wilczej Norze, odpowiedział Murdockowi: "Tak to już z bronią jest. Z dnia na dzień staje się coraz bardziej zaawansowana technicznie." Najnowszy wynalazek w łucznictwie różnił się od łuku zagiętego tak zasadniczo jak łuk zagięty od klasycznego: był prawdziwą rewolucją technologiczną.

Nazwano go łukiem bloczkowym. Łuk bloczkowy składa się z trzech części, podobnie jak łuk zagięty: z metalowego majdanu oraz z dwóch ramion z włókna szklanego i drewna. W tym miejscu całe podobieństwo się kończy. Bo po pierwsze: w zakończeniach obu ramion wyginających się w stronę łuczника są wycięte szczeliny. Po drugie i najważniejsze: w szczelinach tkwią krzywki, mimośrodowe bloczki połączone stalową linką, przymocowaną do cięciwy.

W efekcie łucznik ma przed sobą coś, co wygląda jak trzy cięciwy, chociaż do wypuszczania strzały używa tylko jednej. Napinając cięciwę na łuk, nie musi go naginać, ponieważ cięciwa i stalowa linka są już przytwierdzone do bloczków. Jeśli łuk jest rozłożony na części, wystarczy tylko wcisnąć ramiona do wycięć w majdanie, dokręcić śruby mocujące (zawsze pamiętając o ich równomiernym dociskaniu: obrót śruby na ramieniu górnym, obrót śruby na ramieniu dolnym, śruba górna, śruba dolna - i tak dalej, aż do uzyskania pełnej równowagi mocowania obu ramion) i sprzęt jest przygotowany do oddania strzału; cięciwa i stalowa linka napinają się same.

Jaką rolę spełniają bloczki? Bloczki zmniejszają siłę potrzebną łucznikowi do napięcia cięciwy. Ale nie od razu. Przy standardowym, siedemdziesięciopięciocentymetrowym napięciu cięciwy, przez pierwsze sześćdziesiąt siedem i pół centymetra siła, jakiej musi użyć łucznik, nie ulega zmianie. I nagle, w chwili, gdy łucznik tego najbardziej potrzebuje, gwałtownie zmniejsza się aż o połowę. Tak więc siła dwudziestu siedmiu kilogramów niezbędna do pełnego, siedemdziesięciopięciocentymetrowego napięcia cięciwy zostaje zredukowana do trzynastu i pół kilograma, dzięki czemu łatwiej jest naprowadzić strzałę na cel.

To jeszcze nie wszystko. Gdy strzelec puszcza cięciwę, łuk uwalnia energię w sposób bardziej kontrolowany. Nie uwalnia jej natychmiast i początkowa siła pchająca, z jaką łuk wyrzuca strzałę, wynosi trzynaście i pół zamiast dwudziestu siedmiu kilogramów.

Dlaczego to takie ważne? Bo strzała wyrzucona z pełną energią (jak ma to miejsce w przypadku łuku klasycznego i zagiętego) przez mikroułamek sekundy zwalcza siłę naporu cięciwy. Przez mikroułamek sekundy tkwi

w miejscu, nawet się leciutko wygina i dopiero potem śmiga do celu. Lecz traci przy tym energię, bo siła pchająca cięciwy nie jest maksymalnie wykorzystana.

Rzecz ma się zupełnie inaczej w przypadku łuku bloczkowego: bloczki redukują i odpowiednio rozkładają siłę, z jaką cięciwa napiera na strzałę. Strzała się nie wygina, nie waha się ani przez ułamek sekundy i wchłonawszy równomiernie rozłożoną energię, mknie do celu tak szybko i po tak prostym torze lotu, jak to tylko możliwe.

Murdock stroił sobie żarty na temat proc, włócznie, łuków i strzał. Rzecz w tym, że łuk bloczkowy to naprawdę straszliwa broń. Napięcie cięciwy łuku, który dostał w Wilczej Norze,

wymagało siły czterdziestu pięciu kilogramów. Niewielu łuczników potrafiło tego dokonać, aczkolwiek Rambo potrafił. Musiał wykorzystać całą siłę przebicia, jaką tylko zdoła z łuku wykrzesać. Bo strzała wypuszczona z takiej broni szybuje z prędkością siedemdziesięciu pięciu metrów na sekundę. Zabija człowieka na miejscu. Powala niedźwiedzia.

Łuk, w który go wyposażono, został specjalnie zmodyfikowany. Podobnie jak jego nóż, był czarny (pomalowano go elektrostatycznie, żeby farba się nie zdrapała), bo refleks światła odbitego od ramienia czy majdanu mógł zwrócić uwagę nieprzyjaciela. Majdan zrobiono z stopu magnezu, z materiału równie twardego jak aluminium, lecz o wiele lżejszego, natomiast ramiona z dwóch warstw nawęglanego włókna szklanego, rozdzielonych klonowym rdzeniem.

Ponieważ majdan miał tylko pięćdziesiąt dwa i pół centymetra długości - ramiona były jeszcze krótsze i miały tylko czterdzieści pięć centymetrów długości każde rozłożony na części łuk mieścił się w jednym z dwóch

pięćdziesięciopięciocentymetrowej długości kołczanów, które przytroczył do ud przed wyjściem z hangaru.

Obserwowany przez zdumioną Co, z rękojeści noża wyjął śrubokręt z płaskim ostrzem i zaczął dokręcać śruby mocujące ramiona łuku. Dociskał je na przemian, raz jedną, raz drugą. Wreszcie łuk był złożony.

Czerń zlewająca się z czernią - nawet w nocy broń wyglądała wspaniale.

A co zawierał drugi kołczan? Strzały, również rozkładane. Mierzyły siedemdziesiąt pięć centymetrów każda, a po rozkręceniu - w połowie tak zwanej rurki - mieściły się znakomicie w kołczanie wraz z dodatkowym, niezbędnym dla nich osprzętem.

Kiedy je skręcał, przyglądając się w skupieniu ich unikalnym cechom, zdawał sobie sprawę, że Co aż mruga ze zdumienia.

W końcu uznał, że chyba powinien jej rzecz wyjaśnić i dobierając jak najprostszych słów, szepnął:

- Lepszy niż karabin. Nie ma huku.

- Ale... - Przestała mrugać i zupełnie zaszokowana, już tylko patrzyła. - I to wszystko, co masz?!

U podnóża stoku wyczuł jakiś ruch. Odwrócił się gwałtownie. I jak na filmie zrobionym spowolnioną stopklatką, który nagle puszczono z normalną szybkością przesuwu taśmy, w budce na drzewie po prawej stronie pojawił się strażnik pogrążony w rozmowie z kolegą spacerującym na dole. Trzeci strażnik wyszedł z baraku stojącego pośrodku obozu; gdy podjechała do niego prostytutka na skuterze, podrapał się sugestywnie w krocze.

Rambo doczołgał się do drutu-pułapki wiodącego do miny na drzewie.

Zaalarmowana Co szepnęła:

- Chyba tam nie pójdziesz?

Zaskoczony Rambo obrócił głowę.

- A gdzie masz aparat? - pytała.

- Zgubiłem go.

- Ale mój rozkaz... Myślałam, że... Nie miałeś tam iść. Miałeś tylko robić zdjęcia.

- Nie mogę.

- To obserwuj. Wszystko opowiesz. Szpicle uwierzą. Rambo pokręcił głową.

- Muszę mieć pewność.

- Ale co... Czekaj.

- ...z rozkazami? - dokończyła.

Rozkazy. Intensywne szkolenie dawało o sobie znać.

Podstawowa zasada, jaką mu podczas tego szkolenia wpajano, mówiła, że bez względu na okoliczności trzeba robić to, co ci każą.

Gdyby nie posłuszeństwo i dyscyplina, żadna misja nie zakończyłaby się powodzeniem.

W jego podświadomości rozbrzmiewał ostry głos Trautmana: "Tak, umysł jest najdoskonalszą bronią. Zawsze na nim polegajcie. Lecz posłuszeństwo jest absolutnym nakazem! W naszych szeregach nie potrzebujemy żadnych kozaków. Żadnych supermenów. Żadnych zwariowanych kaskaderów. Panowie, kiedy każę wam srać, to się zesracie» Natychmiast. A jeśli któryś najpierw ściągnie gacie, wlepię mu szesnaście kilometrów przebieżki i będzie ganiał, dopóki zaskoczy, że nie kazałem mu ściągać spodni. Kazałem srać. Tylko srać. Skuteczność naszych operacji opiera się na precyzji działania. Jesteście trybikami maszynierii. Zgodą, trybikami umiemy myśleć. Mimo to tylko trybikami. Dlatego w obrębie wyznaczników powierzonego wam zadania, dopuszczając możliwość stosowania inwencji własnej, będziecie robili to, co wam każą. Ponieważ od was zależy życie wielu innych utalentowanych trybików."

Ogarnął go strach (jeden rodzaj strachu, do którego się przyznawał), że może zawieść swego prawdziwego ojca. Tego, który go stworzył. Tam, w Bragg. I podczas straszliwych prób ogniowych.

Ale biorąc pod uwagę okoliczności...

Wlepiłby mu szesnaście kilometrów przebieżki, gdyby...?

Czy ktoś, kogo kochał najbardziej - jedyna osoba, którą kochał naprawdę - czy taki ktoś nie pochwaliłby tego, co zamierzał zrobić?

Jeńcy! - wrzeszczał jego umysł. Pół roku, jakie przeżyłem w tym obozie, było wiecznością.

A oni siedzą tu znacznie dłużej!

- Kiedy zgubiłem aparat.... - zaczął szeptem. Teraz z kolei ona musiała czekać.

Na czoło wystąpiły mu kropelki potu.

- ...skończyły się rozkazy. - W brzuchu narosła mu gula skręconych wnętrzności. - A zaczęli się ludzie.

Zdecydowany...

...czując, że robi rzecz nie do pomyślenia, że ściąga na siebie nienawiść ojca...

...chwycił łuk i kołczan ze strzałami i wślizgnął się w zarośla.

Rozdział 8

Wyczuwając za sobą obecność Co, ruszył w dół gęsto porośniętego dzunglą zbocza, wypatrując min i pułapek.

Posuwał się wolno. Wolno i ostrożnie.

U podnóża stoku legł na ziemi i zaczął się czołgać. Nagle od strony obozu usłyszał donośny krzyk, wzmocniony przejmującym echem. Zamarł. Stężyły mu mięśnie brzucha. Zza kępy paproci, z Co w zasięgu ramienia, w napięciu zlustrował ogrodzony teren. Pot zalewał mu oczy.

Czyżby to któryś z jeńców krzyczał? Nie sposób powiedzieć. Krzyk to prawdziwie międzynarodowy język i brzmi tak samo bez względu na to, kto krzyczy, Amerykanin czy Wietnamczyk.

Lecz czterech strażników, których obserwował, najwyraźniej uznało, że nie ma w tym nic niezwykłego. Byli nawet rozbawieni. Ten z wieży po prawej stronie obozu spojrział w dół na kolegę chodzącego pod drzewem i zachichotał.

- Często wał mnie tym swoim wińskiem własnej roboty - powiedział po wietnamsku. - Dobrze, że nie wypilem.

- Ani ja - odrzekł ze śmiechem ten z dołu. - Ostatnim razem miałem po nim gazy. Z obu końców.

Obaj uznali, że to bardzo śmieszne.

- Po tym sikaczu ma złe sny. Pewnie myśli, że znowu oblaży go te olbrzymie pająki.

- Trzeba by takiego złapać i rzucić mu na pryczę. Aż się zwijali ze śmiechu.

Krzyk się powtórzył. Dobiegał z baraku po prawej stronie i brzmiał jeszcze przeraźliwiej niż poprzednio. Po chwili przeszedł w jęk.

Gestem ręki Rambo kazał Co zostać na miejscu i spojrzawszy w stronę wieży po lewej, dostrzegł cień pochylonego do tyłu strażnika; najpewniej siedział na bambusowej ławce, opierając nogi na wysokiej do pasa ścianie budki

Popęłznął w tamtym kierunku, wijąc się między krzakami i kępami paproci, aż dotarł do rogu ogrodzenia, do miejsca, gdzie drut kolczasty skręcał w stronę skalnego urwiska. Dobrze ukryty w wysokim poszyciu, czołgał się wzdłuż drutu, dopóki nie minął posterunku. Jediną sprzyjającą okolicznością był fakt, że obie wieże stały przodem do obozu - bardziej niż interwencji z zewnątrz, obawiano się ucieczki więźniów.

W cieniu olbrzymiego drzewa, gdzie nie dochodziło światło księżyca, podpełznął do ogrodzenia, wyjął nóż, wcisnął go między słup a przerdzewiały drut i sterczącymi zębami na górnej krawędzi ostrza przeciął metal. Prześlizgnąwszy się przez dziurę, znów legł na brzuchu i po chwili dotarł do następnej bariery. Tu nie musiał już nic przecinać - uważając, by nie zahaczyć ubraniem o

sterczące kolce, zdołał przecisnąć się przez zaporę, bo tego drutu do słupów nie przybito, rozwijając go tylko w sprężyste pętle.

Kiedy go tu więziono, barak jeńców stał po lewej stronie. Ściskając w rękę łuk, ruszył przez ciemność w tym kierunku. Ale jeszcze zanim dotarł na miejsce, wiedział, że coś jest nie tak. Budynek był w opłakanym stanie. Ściany porosły dzikimi pnączami. Okiennice zwisały smętnie na zawiasach. Kilka bambusowych segmentów odpadło, pozostawiając w ścianach ziejące dziury.

Poza tym w baraku panowała śmiertelna cisza. Nawet gdyby więźniowie spali, Rambo powinien coś słyszeć. Coś, cokolwiek. Chrapanie. Skrzypienie pryczy. Mamrotanie w reakcji na sen, a raczej na nie kończący się koszmar nocny. ,

Dotarł do dziury w ścianie, zajrzał do środka i zacisnął zęby. W baraku nie było nic oprócz pajęczyn i pnączy wyrastających spomiędzy szczelin w podłodze. Z przeciwległego rogu, gdzie panowała największa ciemność, dobiegł go tupot łapek niewidocznego zwierzęcia.

Co miała rację. Budynek był tak zrujnowany, że obóz musiano porzucić co najmniej kilka miesięcy temu. Wyglądało na to, że żołnierze wrócili dopiero niedawno.

Tylko dlaczego?

I jeśli byli tu więźniowie, gdzie ich przetrzymywano?

Przykucnął za barakiem, odczekał, aż minie go strażnik, dał mu czas na opuszczenie najbliższej okolicy, po czym ruszył ku barakowi pośrodku obozu. Przyłgnął do § tylnej ściany, powoli wstał i wysunawszy nad parapet tylko jedno oko, zajrzał przez okno do środka.

Pomieszczenie tonęło w mroku. Na osłoniętych moskitierami pryczach spało kilku strażników. Ich ustawione w kozły karabiny dostrzegł koło drzwi w przeciwległej ścianie. Któryś ze strażników ochryple zachrapał, nagle przestał i klepnął się ręką w policzek. Stęknął, obrócił się na bok i znów zaczął chrapać.

Rambo przykucnął i raptem z sąsiedniego okna usłyszał muzykę. Zaskoczony, spojrzał w tamtą stronę. Porysowana płyta gramofonowa, wietnamski rock and rolli jazgot rozstrojonych gitar i śpiew: tubylcza wersja -Twist and Shout. Zza okna sączyła się nikła poświata. Ktoś zapalił światło.

Nie śmiał zajrzeć do środka. Zleął na trawie i wpełznął w czeluść sześćdziesięciocentymetrowej wysokości szczeliny między podłogą baraku a ziemią. Błoto, pajęczyny. Może nawet węże. W podłodze - szpary. Sączyło się przez nie światło. Przewrócił się na plecy i zerknął do góry.

Chociaż nie widział całego pomieszczenia, zobaczył wystarczająco dużo. Stał nad nim północnowietnamski żołnierz, sierżant. Zwrócony do niego plecami, otworzył małą, starą lodówkę i wyjął z niej puszkę...

Coca-coli. Tak, na pewno. Na puszcze widniały chińskie

ideogramy, ale znak firmowy oraz sam wygląd zroszonej wilgocią puszki nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

Żadnych wątpliwości nie pozostawiało również coś jeszcze - twarz żołnierza. Rambo ścisnął łuk tak mocno, że zabołały go kłykcie. Wściekłość paliła go w żołądku, nienawiść kazała mu wstrzymać oddech. Szczupły, wysoki sierżant - wychudzona twarz, usta i nos szyderczo wykrzywione, szparki oczu, z których biło głębokie okrucieństwo nazywał się Tay i był tym samym żołnierzem, który uwielbiał go torturować, który próbował go obedrzeć żywcem ze skóry, który pozostawił na jego ciele trwałe pamiątki z Wietnamu: blizny na piersi i na plecach.

Rambo wiedział, że się nie myli. Wykluczone. Za często widywał tę twarz zbyt blisko swojej twarzy, za często czuł śmierdzący oddech bijący z jego ust ozdobionych paskudnymi, szerniałymi zębami. Za często widywał ją w snach, szyderczo wykrzywioną i groteskową. Czasami, gdy siła woli nie wystarczała do utrzymania dyscypliny umysłu, przez co nie mógł uciec w błogosławiony zen, zajmował się - i tu, i w amerykańskim kamieniołomie - obmyślaniem sposobów zemsty na tym człowieku.

Ale czy po tak długim czasie nie powinni go byli przenieść? Czy nie powinien stacjonować gdzieś indziej?

Zastanowiwszy się chwilę i wyciągnąwszy wnioski, poczuł zadowolenie. Dałeś dupy, Tay, he? Musiałeś zrobić coś tak haniebnego, że za karę zostawili cię tu, w tym piekle.

I jeśli tylko będę miał okazję, dołożę wszelkich starań, żeby ci to piekło umilić.

Tay przetoczył zimną puszkę po spoconym czole, otworzył ją i zaczął pić łąpczywie. Z ust pociekła mu piana. Spłynęła po puszcze na podłogę.

Szparami skapała na ziemię...

Tuż koło głowy Rambo.

Nagle w jego polu widzenia pojawiła się kobieta, prostytutka z wioski, która przyjechała do obozu skuterem.

- Hej, zostaw trochę dla mnie! - zażądała ze złością w głosie.

Tay przestał pić, przełknął ostatni łyk, beknął i rzucił jej na wpół pustą puszkę.

- Masz, reszta dla ciebie.

Pchnął kobietę na prycze i ruszył ku niej rozpinając pas i gasząc światło.

Jazgotała porysowana płyta.

Rozdział 9

W baraku po prawej stronie też nie znalazł więźniów, tylko śpiących żołnierzy, a w osobnej klatce samotnego Wietnamczyka, dowódcę, jak przypuszczał.

Ale skoro nie przetrzymują tu jeńców, po cholere im tylu żołdaków?

Skupił uwagę na skalnej ścianie w tylnej części obozu, na czeluści mrocznej groty w jej zboczu.

I wtedy zrozumiał.

Dotarł do niej ostrożnie i stwierdził, że wejście zagradzają bambusowe kraty. A za kratami, w głębokiej, wilgotnej wnęce dostrzegł...

Z trudem przełknął ślinę. Ogarnęła go furia.

Pięciu Amerykanów.

Tylko że, Chryste, wyglądali jak...

Jak rozkładające się mumie. Jak żywe trupy. Byli wychudzeni, pokryci strupami i ociekającymi ropą ranami. Na policzkach i podbródkach zostało im tak niewiele

ciała, że ich twarze wyglądały jak oblicza nagich czaszek. Natomiast oczy osadzone w kościstych oczodołach mieli wielkie i żałośnie wyłupiaste. Ale nie, ubrania - podarte chłopskie łachy - na nich nie wisały. Wprost przeciwnie. Były za małe, za ciasne, z groteskowo przykrótkimi nogawkami i rękawami.

Jeden z nich jęknął i zlany potem, wstrząsany malarycznymi drgawkami, przetoczył się po kamieniach. Inny zwinął się w kłębek i ukrył twarz między kolanami.

Chodziły między nimi szczury.

Nie, pomyślał Rambo. Wiedziałem, że będą kiepsko wyglądali.

Ale nigdy bym nie przypuszczał, że...

Bo on nie wyglądał tak koszmarnie nawet po ucieczce, po półtoramiesięcznej udręce w dżungli, gdy próbował dotrzeć do strefy zdemilitaryzowanej.

I nagle szok ustąpił miejsca triumfowi. Jeńcy. Teraz mógł udowodnić, że naprawdę istnieją. Znalazł ich.

Odruchowo wyciągnął nóż, żeby przeciąć sznury, którymi związane bambusowe kraty. Szybko! - myślał. Chodźcie! Wyprowadzę was stąd!

Lecz chociaż patrzyli na niego pełnymi obłędu oczami, to go nie widzieli.

Albo, co gorsza - o czym sam dobrze wiedział ich rozmyta świadomość wzięła go za strażnika, za jeszcze jednego oprawcę, który pewnie przyszedł ich torturować. I nawet ten fakt przyjmowali z biernością.

Nie, nie mógł ryzykować. Jeden zacząłby gadać. Inny by jęknął. Jeszcze inny potknąłby się, upadł i nie dałby rady wstać.

Nie, myślał, to pewna śmierć. Dla nas wszystkich.

Albo druga tura obozu dla mnie.

A tego by nie wytrzymał.

Ale przecież musiał coś zrobić! Musiał!

Tak.

Zrobię to, co mi kazano. Rozkazano mi sprawdzić, gdzie przetrzymują jeńców. Trzeba stąd spieprzać. Do punktu ewakuacyjnego. A potem złożyć meldunek Murdockowi.

Chłopcy z oddziału Delta ich stąd wyciągną.

Bo amerykańscy jeńcy wojenni istnieją! Widziałem ich na własne oczy! Mogę to udowodnić!

Nagle zmarszczył czoło. Udowodnić? Jak? Nie mam aparatu.

No to opiszę, co tu widziałem.

I uwierzą ci? Trautman oczywiście uwierzy.

Ale Murdock? Albo członkowie komisji, która poleciła zorganizować tę operację?

Od razu pomyślał, że mi odbiło. Nie. Powiedzą, że mój raport - raport skazańca, człowieka, który rozpirzył tamto miasto - jest niewiarygodny.

Dziękujemy, ale nie skorzystamy. Był pan bardzo blisko celu. Trudno, nie udało się.

Muszę coś zrobić. Muszę dostarczyć im jakiś dowód.

I wtedy to usłyszał.

Jęk.

Gdzieś obok.

Bardzo blisko.

W ciemności przed grotą.

Rozdział 10

Gotów do obrony, wykonał błyskawiczny obrót z uniesionym nożem. Ale to, co zobaczył, kazało mu

opuścić broń. Koło zagrody dla świń, na bambusowym krzyżu wisiał jeden z więźniów z ramionami wysoko nad głową. Związano mu je w kształt litery "V". Zrobiono to celowo, z wyrachowaniem, bo gdyby rozciągnięto mu ramiona w poziomie, ułożenie mięśni - w połączeniu z ciężarem ciała - uniemożliwiłoby oddychanie i w kilka godzin po zawieszeniu na krzyżu nieszczęśnik by się udusił.

Natomiast w tej pozycji, z ramionami nad głową, nacisk na pierś był odpowiednio mniejszy. Skazaniec cierpiał.

Ale umierał długo.

Człowiek wiszący na krzyżu był trupioblady i wyglądał jak żywy szkielet. Rzemienie, którymi skrępowano mu nadgarstki, wrzynały się w skórę i po ramionach spływała mu krew. Zostaną blizny. Rambo doskonale o tym wiedział, ponieważ i na jego nadgarstkach widniały blizny od rzemieni takiego samego krzyża.

Jeszcze jeden powód, żeby odplącić sierżantowi Tay.

Mężczyzna nie ruszał się. Lecz gdy Rambo dotknął jego kościstej szyi, chcąc wyczuć puls, więzień zatrzepotał powiekami i otworzył oczy.

Otworzył je, znów zatrzepotał powiekami, wreszcie skupił na nim wzrok. Wargi miał spękane. Lewe oko sine i straszliwie zapuchnięte.

- Co...? - wyszeptał głosem chrapliwym i zduszonym.

Rambo zatkał mu dłonią usta i przeciął rzemienie. Więzień opadł mu w ramiona. Rambo potrzebował obu rąk, żeby go podtrzymać.

- Jesteś... - Choć szeptał mu do ucha, głos miał tak słaby, że Rambo z trudem go rozumiał. - Jesteś... Amerykaninem?

- Ciii! - Rambo zaryzykował trzy słowa: - Nic nie mów.

Przerzucił go sobie przez ramię - zrobił to bez wysiłku, bo więzień był lekki jak piórko - i przygięty do ziemi, ruszył biegiem w mrok.

- Tam są... inni - wymamrotał niewyraźny głos, cichszy od najcichszego szeptu.

Nic się nie martw, pomyślał Rambo przemykając chyłkiem pośród ruin tego, co było niegdyś barakami. Uratują ich. Masz moje słowo.

Nagle... Poczuł, jak kurczy mu się moszna. Zapłonęło światło silnego reflektora i omiatając teren obozu, sunęło w jego stronę. Zaskoczony na otwartej przestrzeni nie miał wyboru - z bijącym

sercem ułożył więźnia na ziemi, spiesznie wyciągnął strzałę, oparł ją o majdan i napiął cięciwę łuku.

Strzała była równie wyrafinowana jak łuk. Jej rurkę wykonano nie z drewna, które w wilgotnej dżungli szybko by się wypaczyło, i nie z włókna szklanego, które mogłoby pęknąć, lecz z aluminium ery kosmicznej, z materiału mocnego i lekkiego; podobnie jak łuk, była aksamitnie czarna, elektrostatycznie barwiona w celu uniknięcia zdradliwych refleksów światła. Czarny był również jej czteroramienny, zębaty i ostry jak brzytwa grot, który miał dwa i pół centymetra szerokości i sześć centymetrów długości; zębate nacięcia na jego ramionach miały zapobiegać ześlizgnięciu się strzały po kości. Nazwano ją Copperheaji Ripper, Rozpruwaczem w Miedzianej Koszulce, bo jej grot wbijał się w prawie każdy materiał i miał siłę rażenia pocisku karabinowego.

Bez najmniejszego szmeru ułożył strzałę w gumowym wyżłobieniu w majdanie.

Zen. W zen najbardziej skomplikowaną, najbardziej

niepokojącą i jednocześnie najpotężniejszą postacią jest łucznik. Kruchy, pozornie bezradny mnich potrafi oddać strzał z łuku, którego nie jest w stanie napiąć nawet najsilniejszy mężczyzna. Dzięki medytacji, pokonując opór materii siłą umysłu i odnajdując pocieszenie w przekonaniu, że świat realny - łącznie z łukiem - nie istnieje, mnich napina cięciwę, skupiając całą wyobraźnię na celu, którego tak naprawdę nie ma. Zwalnia ją i z wywołującym dreszcze świstem, z jęklwym sieknięciem strzała trafia tam, gdzie ma trafić. Nigdy nie chybia i zawsze, ale to zawsze niesie ze sobą to samo religijne przesłanie- nie istnieje nic. Przemoc też nie.

Zakończona paskudnym, zębatym grotem strzała utkwiała w piersi strażnika czuwającego w budce pośród konarów drzewa. Utkwiła w niej aż po czarne nylonowe lotki (w przeciwieństwie do lotek z piór, lotki z miękkiego nylonu nie wchrują się pod wpływem wilgoci). Siła uderzenia była tak olbrzymia, że Wietnamczyk nie zdążył krzyknąć, nawet odruchowo. Runął do tyłu i zniknął.

Świetlista smuga bijąca z reflektora zastygła na owadzie siedzącym na liściu paproci.

Gnany szaleńczym pośpiechem, Rambo znów przerzucił więźnia przez ramię i popędził w ciemność, w stronę kolczastego ogrodzenia.

Lecz strażnik, który nie tak dawno przechodził koło zrujnowanego baraku, nagle przystanął, bo zauważył, że smuga reflektora raptem znieruchomiła. Rambo widział, jak odrywa wzrok od oświetlonego liścia paproci, jak spogląda podejrzliwie w lewo, a potem w prawo w jego stronę.

Rambo rzucił nożem. Nie trwało to dłużej niż mrugnięcie oka. Musiał dobrze mierzyć, w tym wypadku

w gardło. Wiedział, że siła uderzenia nie zdławi krzyku, chyba że...

Nóż trafił w gardło. Trafił. Strażnik wywrócił oczami i trzymając się za szyję - ostrze przecięło struny głosowe - upadł na plecy.

Rambo podbiegł do niego, odzyskał swój nóż - wyciągnięty z ciała spływał krwią - i skoczył do luźnych zwojów drutu kolczastego. Jedno ciecie wystarczyło. Spiesznie ruszył dalej.

W tym samym momencie z wieży po przeciwległej stronie obozu buchnął snop światła. Światło zmierzało w jego kierunku.

Jezus Maria!

O Chryste!

Zrzuciwszy więźnia na ziemię - Amerykanin zakaszłał i jęknął - Rambo założył na łuk drugą strzałę, z siłą czterdziestu pięciu i pół kilograma napiął cięciwę i posłał śmiertelny pocisk do celu. Zębaty grot zaświszczał w powietrzu.

Gdy jaskrawa smuga strzeliła w niebo oszalałym łukiem, domyślił się, że trafił.

Wiedział też, że nienormalna pozycja reflektora ostrzeże innych żołnierzy. Musiał stamtąd spieprzać, ile sił w nogach. Zostało mu pięć sekund. Najwyżej.

Rozdział 11

Co wyglądając zza paproci, z sercem walącym o dyszącą ostrym zapachem ziemię, obserwowała obóz. Czekala. Wydawało się jej, że czeka tak co najmniej od dwóch godzin, chociaż wiedziała, że mógł upłynąć najwyżej

kwadrans. Wszystko wyglądało tak samo jak wówczas, gdy do baraku położonego pośrodku obozu weszła prostytutka z wioski - widok był spokojny i leniwy. Lecz przerażona zdawała sobie sprawę, że on tam gdzieś jest, że szuka. Aż drgnęła, gdy po lewej rozbłysło światło reflektora, gdy zaczęło omiatać baraki. Wstrzymała oddech, kiedy jaskrawa smuga utknęła w ziemi. Gdy nagle zapłonął reflektor po prawej, gdy oświetlił przeciwną część obozu, by zaraz nie wiadomo dlaczego strzelić w niebo, drgnęła po raz drugi.

Ciszę przerwał krzyk na alarm.

I nagle jej ramię przygwoździł do ziemi ciężki buciór.

Szarpnęła się, zdławiła w sobie jęk, przerażona poderwała głowę i ujrzała...

Zaskoczonego, lecz nader rozsierzonego żołnierza w wietnamskim mundurze, który celował jej w twarz z kałasznikowa.

Poruszył prawym ramieniem, zacisnął mocniej dłoń na rękojeści karabinu, żeby zwolnić spust, gdy wtem...

Usłyszała upiorny świst i głuchy odgłos straszliwego uderzenia. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, w szyi żołnierza zmaterializowała się strzała. Żołnierz stał w miejscu, bo grot przygwoździł go do drzewa. Karabin upadł ze szczękiem na ziemię. Wietnamczyk zadrżał. Z arterii buchnęła krew.

I raptem tuż obok zjawił się Rambo z bezwładnym mężczyzną na ramieniu. W ręku kurczowo ścisnął swój łuk.

Gwałtownym ruchem głowy wskazał jej szczyt wzgórza, z którego tu zeszli. Niepotrzebnie. Co była już na nogach, już biegła.

Za ich plecami, w obozie, rozległ się przeraźliwy gwizd. Zaraz potem drugi, i krzyki żołnierzy.

Czuła, jak zaciska jej się zwieracz. Chwyciwszy się wystającego z ziemi korzenia, rozpoczęła desperacką wspinaczkę na stok.

Lecz mimo strachu i ciemności, mimo straszliwego pulsowania krwi w uszach, zdołała coś zauważyć - nawet dźwigając nieprzytomnego mężczyznę, Rambo ją wyprzedzał.

Rozdział 12

Ale niech pan pamięta, pułkowniku - rzekł stojący za nim Murdock. - Sam pan o to prosił. Ja panu odradzałem. Przepraszam za wyrażenie, ale to pański pogrzeb.

Trautman nawet się nie odwrócił. Zły i zniecierpliwiony, do kabury u pasa wepchnął czterdziestkę piątkę i nie zwalniając kroku, szedł w stronę wyjścia. Między poświatą bijącą z przyrządów zgromadzonych w hangarze a poświatą księżycy nie było prawie żadnej różnicy.

Na lądowisku po lewej stronie hangaru Ericson i Doyle zdejmowali siatkę ze śmigłowca Augusta 109. Pierwszy wdrapał się na pokład Ericson, za nim Doyle, Zawirowały potężne turbiny. Najpierw jękliwie, potem coraz głośniejszy, coraz przenikliwiej, by wreszcie ryknąć pełną mocą.

Trautman wspiął się na pokład maszyny i oznajmił:

- Koniec czekania, kowboje. Do ewakuacji zostało tylko sześćdziesiąt minut.

Doyle żół gumę, mimo to w jego oddechu czuć było lekki zapaszek marihuany.

- Pułkowniku, musi pan spojrzeć prawdzie w oczy odrzekł. - Wie pan co? Ten pana chłopak to świetny facet, naprawdę. Ale trzeba by go zbierać kawałek po

kawałku, bo pewnie rozniosło człowieka po całej dżungli. Ta miła przejażdżka to tylko przysługa. Dla pana. Wie pan o tym?

- Daj se siana, Doyle, dobra? - Ericson przeniósł wzrok na Trautmana. - Mój kumpel nie umie gadać dyplomatycznie. On próbuje panu powiedzieć, że tylko marnujemy paliwo.

- Marnujemy czas - odwarknął Trautman. - Startujcie tym pudłem albo sam siadę za sterami.

- Ohoho! - mruknął Doyle. - Cierpliwości, panie pułkowniku, cierpliwości.

Ericson oderwał śmigłowiec od ziemi i Trautman poczuł, jak siła przeciążenia wgniata go w fotel. Maszyna pięła się w górę niczym winda, która przebiła sklepienie budynku.

- Stary, dobry Wietnam - westchnął Doyle. - Dar po tysiącokroć darowany...

Rozdział 13

Rambo - był kwalifikowanym sanitariuszem - zbadał więźnia. Wylupiaсте oczy Amerykanina, osadzone w głębokich oczodołach, spoglądały to na niego, to na Co.

Gdy krzyki rozmyły się w bezpiecznej odległości, na chwilę przystanęli, żeby złapać oddech i sprawdzić, jak daleko zawędrowali.

- Wy... - zaczął Amerykanin żałośnie słabym głosem istniejecie naprawdę. Tak?

- Naprawdę - odrzekł Rambo, rozciągając bolące mięśnie pleców; za chwilę miał znowu dźwigać jeńca.

- Przepraszam. Ale zrozumcie.... - Brakło mu tchu.

Zwilżył językiem wargi. - Cały czas gadam z różnymi ludźmi. Z moją dziewczyną. Z mamą. z... tatą.

- Spokojnie. Nic nie mów.

Nagle Amerykanin zaczął mówić całkiem do rzeczy.

- Jezu, ile oni muszą mieć teraz lat? Wiem, że wielu z nich już nie ma, ale... Ale wy jesteście, prawda? Prawda? Zabieracie mnie do domu, tak?

Dom, pomyślał Rambo. Co to jest dom?

- Tak, do domu.

- Dzięki Bogu.

- Kim jesteś?

- Porucznik Banks. Siły Powietrzne.

Przez chwilę siedział w bezruchu i z niedowierzaniem trzepotał powiekami. W oczach miał łzy.

- Dziękuję. Chryste. To chyba cud.

Rozdział 14

Z trudem łowiąc oddech, przedarli się przez dżunglę i tratując zarośla, zeszli chwiejnie na brzeg rzeki, gdzie cumował sampan.

Kinh sprawiał wrażenie zdziwionego ich widokiem.

- Na co czekasz? - warknął chrapliwie Rambo. Odpalaj silnik. Niech ta krypa wreszcie stąd odpłynie.

- Forsa - zażądał pirat. Co dała mu pieniądze.

- No, to już lepiej. - Odwrócił się na pięcie i wydał załodze szczekliwe rozkazy.

Zagdał silnik. Przechylona łódź odbiła od brzegu, wyprostowała się i zanurzyła w mroku. Płynęli z prądem. W dół rzeki.

Zdumieni piraci - ledwo trzymali się na nogach, bo byli jeszcze bardziej pijani niż przedtem - wlepiali ślepią w Banksa, który oparłszy głowę o skrzynię, zaczął mówić.

- Muszę wam coś powiedzieć. To fart, nic więcej. Rambo nie zrozumiał.

- Co?

- Że przyszlście akurat teraz. Oni... - Banks jęknął. Widzisz, oni często nas przenoszą z miejsca na miejsce. Budujemy drogi, pomagamy przy zniwach. Jesteśmy tu dopiero od tygodnia...

- Gdzie?

Silnik gdakał, łódź płynęła coraz szybciej, rozcinając księżycowe cienie drzew kładące się na rzece.

- W obozie - odrzekł Banks. - Co się stało?

- Dopiero od tygodnia?

- Tak. Boże, jak ja tego miejsca nienawidzę.

- Kiedy byliście tu ostatni raz? - wtrąciła Co. Banks zmarszczył brwi, a obkurczona na czaszce skóra

jeszcze bardziej podkreśliła wyraz jego twarzy.

- Może z rok temu. - I nagle go olśniło. - Zaraz, a jaki dzisiaj mamy rok?

Rambo mu powiedział.

- Nie... To niemożliwe. Tak długo? Nie.

- I od tamtego czasu w obozie nikogo nie było? spytała Co.

Banks pokręcił głową. Zaniepokojona Co zerknęła na Rambo.

- Tak, wiem, o czym myślisz - mruknął.

- Co? Coś nie tak? - spytał Banks i zacharczał.

- Nie, nic takiego. O nic się nie martw. Jasne.

Ty nie musisz. Martwić się będziemy tylko my, pomyślał Rambo.

- Masz fajkę?

- Nie palę - odrzekł i żeby odpędzić natrętne myśli, spytał: - Dlaczego cię powiesili na krzyżu?

- Za kobrę. Widzisz, złapałem tę kobrę i...

- Kobrę? Węża? - spytała zaniepokojona Co.

- Czemu nie? Węża. - Banks odkaslnął. - Kiedy się nabierze wprawy, to nic trudnego. Nadgarstek. - Chyba majaczył. - Cały sekret to nadgarstek... Tak czy siak, jak już tę kobrę złapałem, zrobiłem to, co zawsze robię.

Rambo zmarszczył czoło.

- To znaczy? Banks zachichotał.

- Wpuściłem ją do baraku żołnierzy. Rambo wytrzeszczył oczy.

- Jezu... - Porucznik zachichotał jeszcze głośniej i jeszcze chrapliwiej. - Chryste, wkurwili się, że aż strach. Stłukli mnie jak psa. Ale...

Rambo zerknął nerwowo w stronę mrocznego brzegu.

- ...to coś w rodzaju tradycji. Rozumiesz? Szkoda, że nie widziałeś, jak wtedy ganiali.

- Ci z wierchuszki pewnie stwierdzili, że wykazujesz, jak mówią, niewłaściwą postawę.

Banks zarechotał.

- Zgadza się! Jezu, naprawdę nie mogę w to uwierzyć... - Z nabożeństwem w oczach spojrział na Co. Dziękuję pani. Wie pani co? Proszę mi nie brać tego za złe, ale milutka z pani dziewczyna. Nie widziałem kobiety od...

Co ostrożnie dotknęła jego skurczonego, poharatanego policzka.

- Proszę, nic nie mów. Odpoczywaj.

- Ale... Co robisz w sobotę?

Rambo zauważył, że z trudem przełknęła ślinę. Spojrzała na niego i wstrząsnął nią tak silny dreszcz, że zadrzała jej bluza od munduru.

- Przyniosę ci jedzenie, Banks. - Wyraźnie poruszona, wstała. - Dobre jedzenie. - Zacisnęła wargi udając, że jest zła. - Tylko jedz powoli. - Pogroziła mu palcem. - Bo zachorujesz.

Rambo podziwiał ją. Omal się nie uśmiechnął...

Ale uniemożliwił mu to narastający ryk potężnego silnika. Sięgnął po pistolet. Ściśnięte serce waliło coraz szybciej, mimo że ciśnienie krwi gwałtownie skoczyło. Zapłonął reflektor.

V - KLOAKA

Rozdział 1

Nie wiedział, co tam płynie, ale na pewno nie była to

nieprzyjacielska łódź patrolowa. Już sama łódź by wystarczyła. Tymczasem to... Sądząc po ryku silnika, musiało być wielkie. I ten cień. Cień za potężnym reflektorem zdawał się nie mieć końca. Słyszając, że piraci zaczynają mamrotać, Rambo chwycił łuk, dźwignął Banksa z pokładu, przerzucił go sobie przez ramię i pognął w stronę wejścia do kabiny. Przemykająca po wodzie smuga reflektora jeszcze ich nie odnalazła. Gdyby zdążył tam dotrzeć, zanim ich w końcu wymaca, mieliby szansę mogliby się z Banksem ukryć, a Kinh spróbowałby numeru z łapówką, jak przedtem.

Rozchyliwszy płócienną zasłonę w drzwiach, wpadł do kabiny i natychmiast zerknął za siebie. Dudniąca silnikami łódź podpłynęła już tak blisko, że mógł ją wreszcie rozpoznać. Nie, to nie był zwykły patrolowiec. Absolutnie. Tylko na nią zerknął, ale to wystarczyło. Dobry Boże, mieli przed sobą prawdziwą amerykańską kanonierkę, masywną, potężną, z sylwetkami działek i karabinów maszynowych na pokładzie zalany księżycową poświatą. Lecz to nie amerykańska flota była jej właścicielem. Już nie - kanonierka należała teraz do komunistów. Musieli ją zdobyć na wojnie i doskonale wiedzieli, jak się taką kryptą pływa.

W cuchnącym mroku kabiny przystanął obok Co, która przysła tu po jedzenie dla Banksa. Wytrzeszczonymi z przerażenia oczami spoglądała przez szparę w zasłonie, próbując wypatrzeć coś w mroku.

- Co się...? - zaczęła, ale nie zdążyła dokończyć.

Bo w tym samym momencie Rambo poczuł, jak w plecy wbija mu się lufa karabinu. Skonsternowany i osaczony przez ciemność, nie miał czasu, by zareagować, tymczasem czyjaś ręka wyrwała mu z kabury pistolet. Ktoś pchnął Co na skrzynię, ktoś inny cisnął Banksa na zasłaną rupieciami podłogę. Porucznik stęknął i znieruchomiał.

- Chciałaś wiedzieć, co się dzieje? - spytał Rambo głosem ochryłym z wściekłości. - Kinh nas sprzedał.

I rzeczywiście. Z pokładu dobiegł ich krzyk pirata. Krzyczał do załogi wietnamskiej kanonierki.

- Tutaj! Tutaj! - Potem warknął do jednego ze swoich: - Stań za kołem!

I wszedł do kabiny. Gdy światło reflektora wymacało sampana, Rambo zobaczył, że tym razem Kinh nie pokazuje w uśmiechu swych bezzębnych dziąseł. •

- Amerykańska świnią!

Kinh splunął mu w twarz. Lepka ślina cuchnęła. Niewiele brakowało i doprowadzony do furii Rambo zmiażdżyłby sukinsynowi gardło, lecz w tej samej chwili poczuł, że w potylicę

wwierca mu się lufa kalibru znacznie większego niż ta, która uwierała go w plecy. Była to strzelba typu pump-action.

- Dlaczego tak długo zwlekaliście?

- Znaleźli nas. Zrobiłem z nimi interes. Lepszy niż z wami.

- Jaki?

- Dobry. Wy dajecie pieniądze. Oni dają życie. Moje

życie. Amerykańska świnią! - wrzasnął, najwyraźniej z nadzieją, że usłyszą go ci z kanonierki. - Interes to interes. - Wzruszył ramionami i złośliwie trzasnął go na odlew w twarz.

Popenił błąd. Nie dlatego, że doprowadził do furii już i tak wściekłego Rambo, nie. Dlatego, że dzięki temu Rambo mógł odchylić się po ciosie, udając, że stracił równowagę. Równowagi oczywiście nie stracił i okręciwszy się na pięcie niczym wytrawny tancerz, odtrącił łokciem obie lufy, tym samym łokciem zmiażdżył piratowi żebra, wyszarpnął ręką nóż, a nóż był wystarczająco ostry, by Rambo - nie przerywając obrotu - mógł nim obciąć głowę drugiemu rzezimieszkowi. Głowa potoczyła się głucho po deskach pokładu, krew trysnęła z szyi jak z uszkodzonego hydrantu, na podłodze zaklekotała strzelba i Rambo błyskawicznie się po nią schylił. Widząc kątem oka, że Co sięga po kałasznikowa, spojrzął na Kinha, który uciekał do drzwi, i pociągnął za spust. Ciasne wewnątrz wzmocniło ogłuszającą detonację, a wystrzelony z tak niewielkiej odległości pocisk rozerwał Kinha na pół. W fontannie krwi górna część jego ciała spadła do kabiny. Dolna zrobiła jeszcze dwa kroki naprzód i runęła koło relingu.

Rambo przeskoczył krwawe szczątki i wypadł na pokład. Przeładował strzelbę i jednemu z piratów odstrzelił twarz. Znów przeładował broń, znów pociągnął za spust i kolejny załogant Kinha pokoziołkował do wody. Przeładował strzelbę po raz trzeci i jednym strzałem zdmuchnął jaskrawe światło reflektora.

Trzasnęło szkło, reflektor eksplodował, powróciła ciemność. Usłyszał oszalałe krzyki żołnierzy - krzyki i coś jeszcze: z tyłu, tuż za jego plecami, zagrzmiała długa seria z AK-47. Przykucnął, błyskawicznie się odwrócił, żeby

odpowiedzieć ogniem na ogień i zobaczył, jak z bambusowej ścianki kabiny tryskają fontanny drzazg wyszarpanych pociskami od wewnątrz. Trafiły pirata, który chwyciwszy siekiere, próbował przebić się w jego stronę, i cisnęły go do wody. W drzwiach kabiny stanęła Co z kałasznikowem gotowym do strzału.

Raptem dziób sampana eksplodował z taką siłą, że Rambo zachwiał się pośród fruujących szczątków drewna. Kanonierka otworzyła ogień. W uszach dzwoniło mu od potężnego huku.

- Banks! - krzyknął do Co. - Bierz Banksa i za burtę z nim!

Wpadł do kabiny i podczas gdy Co wlokła Banksa na pokład, otworzył uwalaną smarem skrzynię, wyjął z niej przenośną wyrzutnię raketową, wsunął do lufy pocisk i trzasnął bezpiecznikiem.

Usłyszawszy strzały, wybiegł na pokład. To Co - tym razem mierzyła do kanonierki.

- Zepchnij go i skacz! - wrzasnął.

Ruszyła chyłkiem na rufę i w tej samej chwili pocisk z działka rozwalił w drzazgi to, co zostało z dziobu. Trysnęła fontanna wody. Sampan szedł na dno.

Co zarzuciła karabin na ramię, dźwignęła Banksa i wyskoczyli za burtę. Rozległ się plusk i pochłonęła ich mulista woda,

Rambo ułożył wyrzutnię na ramieniu. Potężna kanonierka hurkotała tak blisko, że mimo ciemności nie mógł spudłować. Zwolnił spust, poczuł szarpnięcie, kątem oka zobaczył błysk ognia rzygającego z tylnego otworu lufy i usłyszał straszliwy huk: kanonierka eksplodowała. Noc zmieniła się w dzień, w niebo wystrzelił gejzer odłamków metalu i ludzkich szczątków. Zaraz potem nastąpiła krótka seria wybuchów - domyślił się, że to amunicja a później, z głuchym wuuump!, eksplodował zbiornik paliwa.

Mimo to skurwiel nie miał zamiaru tonąć! Niczym Latający Holender, ogarnięty morzem płomieni, wciąż płynął przed siebie. I był coraz bliżej, z każdą sekundą bliżej, jeszcze chwila i...

Rambo rzucił wyrzutnię, porwał z kabiny łuk i kołczan ze strzałami i pędził już na rufę, gdy...

Kanonierka wbiła się w dziób sampana. Dokładnie w chwili, gdy Rambo wyskakiwał za burtę i gwałtowny wstrząs cisnął go wysoko w powietrze. Uderzył twarzą w mulistą wodę, zanurzył się w niej - głębiej, jeszcze głębiej - popłynął przed siebie, lecz nawet tu, pod wodą, dobiegł go ryk następnej eksplozji. Gdy z twarzą pokrytą piaskiem i rzeczonymi brudami wychynął na powierzchnię, poczuł zapach benzyny. Jeszcze chwila i by się odwrócił, żeby spojrzeć na płonące wraki, gdy wtem... Wybałuszył oczy. Na brzegu dostrzegł żołnierzy. Stali tam w blasku płomieni i zaszokowani gapili się na rzekę. Jedni coś sobie pokazywali, inni wbiegli do wody, jakby mieli nadzieję, że znajdą w niej ocalałych rozbitków.

Rambo dał się nieść prądowi. Spięty i zdenerwowany, z głową ledwo wystającą nad powierzchnię wody, dryfował lustrując brzeg w poszukiwaniu...

Co. Dostrzegł ją nieco dalej. Przycupnęła przy ujściu strumienia, za stertą mokrego chrustu naniesionego prądem rzeki. Obok niej leżał Banks - zza krzaków wystawały mu nogi. Co ciężko dyszała, brakowało jej tchu. Była przerażona i wyczerpana.

Płynął zębą, cicho odgarniając wodę silnymi ruchami ramion. Czując, jak mokre ubranie i buty ciągną go w dół, dotknął stopami grząskiego dna, wypełznął z rzeki i dotarł do kryjówki przy ujściu strumienia.

Nawet tutaj syk płomieni trawiących sampana i kanonierkę był tak głośny, że mogli zaryzykować kilka cichych słów.

- W porządku? - spytał.

Co osunęła się na ziemię, jakby nagle uszła z niej życiodajna energia. Była zaszokowana.

- Pytałem...

- Nie. Jest bardzo źle - odrzekła. - Co się...?

- Zabiłam. W następnym życiu stracę wiele zasług. To bardzo źle.

- Nie, to zależy, kogo się zabija. W tym wypadku nawet nie "kogo", a "co". Bo zabiłaś zwierzę.

Rozciągnięty za krzakami Banks wymamrotał:

- Co się dzieje, do diabła?

- Nic. Fajerwerki na czwartego lipca. Zakaszłał cicho.

- Tak, czwartego lipca. Chyba pamiętam. Dzisiaj zbiera się fanty. Daj jajeczko, bo przyłożę ci pałeczką.

- Musimy ruszać - powiedział Rambo i dźwignął go z ziemi.

- Nie, chyba nie - mamrotał Banks. - Dzisiaj nosi się białe brody i czerwone płaszcze. \

Z Banksem przerzuconym przez ramię, z łukiem i kołczanem w ręku, Rambo ruszył ciężko w stronę mrocznej dżungli. Aby dalej od migotliwego blasku rzeki. Co szła obok.

Do punktu ewakuacyjnego, myślał. Bolały go mięśnie, nogi miał Sztywne, płuca rozpaczliwie domagały się powietrza. Musimy. Musimy tam dotrzeć.

Z tyłu dobiegł ich odległy krzyk. Potem następny. Ten zabrzmiał trochę bliżej.

Rambo przyspieszył kroku.

Rozdział 2

Spięty Trautman zacisnął usta. Siedział za Ericsonem i obserwował, jak pilot manipuluje drążkiem śmigłowca. Łump-łump-łump-łump - lecieli z hurgotem tuż nad wierzchołkami drzew czarnej dżungli porastającej dolinę, to wznosząc się, to opadając zgodnie z ukształtowaniem terenu. Oświetlenie tablicy urządzeń pokładowych było wygaszone.

- Nie można szybciej? - spytał pułkownik.

- Hej, przecież wyciskam z naszej dziecinki prawie dwieście pięćdziesiąt na godzinę.

Nikła poświata wyłowiła z mroku sylwetki gór na odległym horyzoncie.

- Poza tym sam pan powiedział, że musimy trzymać się planu - dodał Ericson. - Dolecimy tam wcześniej i co? Zakładając nawet, że pański chłopak żyje i że dotarł do punktu ewakuacyjnego, co by mu to dało? Nic. Nam też nie. Przeciwnie. Każdy żółtek w okolicy pomyśli sobie, co się tam, do diabła, dzieje i przyjdzie sprawdzić.

Prawie krzyczał, bo ryk powietrza wpadającego przez otwarte drzwi w tylnej części kabiny uniemożliwiał prowadzenie normalnej rozmowy.

Trautman obrócił głowę. Obwiązany liną asekuracyjną Doyle siedział w drzwiach z nogami dyndającymi nad otchłanią; nogawki spodni łopotwały na wietrze; Pod nim i przed nim śmigało niewyraźne pasmo dżungli. Z rozwianymi włosami pochylił się w stronę karabinu maszynowego M-60 zamontowanego w progu i odciągnął zamek. Musiał wyczuć, że zwrócił tym uwagę Trautmana, bo zmierzył go wzrokiem i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Przed chwilą przekroczyliśmy granicę. Nad horyzontem powoli wstawał świt.

Rozdział 3

Słońce wędrowało coraz wyżej i wyżej. Dźwigając Banksa, Rambo wdrapywał się na szczyt wzgórza- Bolało go ramię, był zlany potem.

Co rozchyliła krzaki, zlustrowała teren, skinęła głową i spiesznie ruszyła przodem.

Widok był oszałamiający - dotarli do wysokiej skarpy. Po prawej trzydziestometrowej wysokości skała opadała stromo do rzeki. Ze skały na jej drugim brzegu spływał kaskadą strumień. Błyszcząc w słońcu, rozpylając w powietrzu wodną mgiełkę, spadał do malowniczej laguny.

A dokładnie przed nimi była polana - widok jeszcze piękniejszy niż wodospad.

Bo polana była punktem ewakuacyjnym.

Rambo przystanął za porośniętą pnączami skałą, ostrożnie ułożył Banksa na ziemi i wyprostował się, rozmasowując sobie ramię, próbując złagodzić ból sparaliżowanych skurczem mięśni. Potem zrobił kilka głębokich wdechów.

Ale przez cały czas patrzył w kierunku, z którego przyszli - w dół stromego zbocza schodzącego do kotliny, gdzie...

Widział maleńkie, niewyraźne kropeczki sunące przez wysokie poszycie. Żołnierze. Dżungla rozbrzmiewała echem ich okrzyków.

No cóż, pomyślał. Kapelusze z głów. Ktokolwiek ich prowadzi, może jakiś wieśniak, może żołnierz, tropiciel z niego doskonały. Jeszcze kwadrans, najwyżej kwadrans, i tu będą.

Powoli obrócił się wokół własnej osi, omiatając wzrokiem horyzont.

Tylko gdzie jest ten śmigłowiec, do diabła?

Spojrzał na łuk i na kołczan wypełniony strzałami, a potem na kałasznikowa Wietnamki.

- Nie będę go już potrzebował. Wiesz co? Zamieńmy się. ,

- Śmigłowiec zaraz przyleci.

- Na pewno. - Wzruszył ramionami. - Tak na wszelki wypadek.

Podawała mu karabin. On podał jej łuk.

- W kołczanie jest paczka ładunków C-4. Ale nie bój się, bez zapalnika nie wybuchną.

- Wiem. Szpicle nauczyli mnie, jak ich używać.

- Świetnie. ---

Krzyki w kotlinie były trochę głośniejsze, dochodziły z trochę mniejszej odległości.

- No i tak - powiedział Rambo. - Lepiej już idź. Leżący na ziemi Banks wymamrotał:

- Co? Ty chcesz tu zostać?

- Takie mam rozkazy. Ale może... Rambo uniósł pytająco brwi.

- Może lepiej zaczekam do końca. Może pomogę. Zerknął na kropeczki miotające się w leśnym poszyciu.

Wciąż nie słyszał choćby najodleglejszego brzęczenia silników śmigłowca.

- Do końca? To właśnie jest koniec.

- Ale ja chcę zostać. - Machnęła niecierpliwie ręką. Co tam rozkazy. Teraz mam okazję. Zabierzesz mnie?

Nie zrozumiał.

- Dokąd?

- Do Ameryki. Możesz to zrobić, wystarczy tylko chcieć. Zabierz mnie, Jako żonę.

Oniemiał słysząc to słowo. Nie mógł ogarnąć ogromu jego znaczenia. To słowo mu groziło. To słowo...

- Nie rozumiesz - wyjaśniła. - Nie po to, żeby ze mną żyć. Po to, żeby pomóc mi się stąd wydostać. Do Huntington Beach. Żeby zobaczyć brata. - Głos jej zadrżał. Co ważniejsze, żeby zobaczyć mojego synka. Weźmiemy rozwód. Powiesz, że ze mnie niedobra żona. Ale będę już amerykańską obywatelką. I zostanę.

- Ale przysłali mnie tu po... po jeńców. - Sam wiedział, że zabrzmiało to beznadziejnie. - To znaczy... Co by

o mnie pomyśleli, gdybym wrócił z żoną?

Co wyprostowała się dumnie.

- Co by pomyśleli? Pomyśleliby, że mężczyzna z ciebie, jakich mało.

Poczuł się jeszcze bardziej zagrożony. Pokręcił głową.

- Co się stało? Nie możesz sobie pozwolić na uczucia? Może już w środku umarłeś? Bo zaraz i tak umrzemy, to dlatego? - Wskazała skupisko szkarłatnych orchidei rosnących na bagnistym skraju dżungli. - Widzisz? Orchidea, mój kryptonim. Taki kwiat potrzebuje dobrej gleby.

I w wielu miejscach znajduje pod ziemią kości zwierzęcia albo... człowieka. W dżungli giną ludzie. Wzbogacają glebę. A orchidee są coraz piękniejsze. W dżungli jest śmierć. Dużo śmierci. Wietnamczycy. Ci z Wietkongu. Amerykanie. W dżungli jest dużo pięknych kwiatów. Ale ja mam nadzieję przeżyć. Może nie jestem tak piękna jak orchidea, ale... chcę żyć. Nie chcę umierać.

Rambo poderwał głowę i spojrzał w kotłnię, skąd dobiegały coraz głośniejsze okrzyki:

- Możemy umrzeć wcześniej, niż myślisz - mruknął. Spuściła wzrok. Jak dziecko ze złamanym sercem.

- Tak tylko pytałam - szepnęła.

I nagle ogarnęło go uczucie, które jeszcze poprzedniego dnia uznałby za nierealne. Bo on też miał złamane serce.

Zaskoczyła go podchodząc bliżej i całując go w policzek.

Co bardziej zaskakujące, pozwolił, żeby to zrobiła. Tak blisko kobiety nie stał od czternastu lat. Dotyk jej warg podziałał na niego jak kopnięcie prądu. Jej delikatny oddech wywoływał gęsią skórkę.

Wzięła łuk, kołczan ze strzałami i przez zalaną słońcem polanę ruszyła w kierunku cienistej dżungli po drugiej stronie. Jej drobna, czarna sylwetka malała w oczach.

- Co jest, stary? - spytał Banks. - Co cię, kurwa, napadło? Zabierzmy ją.

Rambo stał jak sparaliżowany. Instynkt obronny walczył z...

- Dobra - powiedział nagle. - Zostań. Pobierzemy się. Weźmiemy rozwód. Zamieszkaż w Huntington Beach.

Odwróciła się. Było widać, że płakała. Lecz teraz promieniała przez łzy.

- Dobry z ciebie człowiek, Rambo.

- Ale dopóki nie przyleci śmigłowiec, zostań w ukryciu. - O ile, pomyślał, o ile w ogóle przyleci. Bo wciąż nie słyszał nawet najsłabszego, najodleglejszego pomruku zwiastującego jego przybycie.

Kiwnęła głową, zrozumiała. Dawał jej szansę. Jeśli żołnierze dotrą tu, zanim przyleci śmigłowiec, będzie mogła ocalić życie.

- Rambo, nie jesteś... in-dy-fe-rentny, tak? Dla nikogo.

- Zaraz się o tym przekonamy.

I wtedy to usłyszał. Odgłos był niewyraźny i odległy, lecz nie znał piękniejszego dźwięku. Serce zabiło mu żywiej. Śmigłowiec. Nadlatywali.

Całe podniecenie prysnęło jak mydlana bańka, gdy za plecami usłyszał głośnie sapanie. Odwrócił się i zobaczył, jak na skarpę wbiega pierwszy żołnierz.

Rozdział 4

Trautman spoglądał ponad ramieniem Ericsona na skalne urwisko za szybą kabiny.

- Szybciej! -mruknął niecierpliwie.

- Trzy minuty do punktu ewakuacyjnego - oznajmił pilot, lecz, wbrew oczekiwaniom pułkownika, zamiast ściągnąć na siebie drążek i ominąć urwisko górą, oddał go lekko i śmigłowiec runął w gardziel wąwozu.

- Co ty...?

- Polecimy na skrót. Przecież chciał pan szybciej, co nie? I zanurkowali między skały. Otoczyły ich z lewej strony

i z prawej, grzmiącym echem wzmacniały ryk silników, były jak tunel, w którym śmigłowiec drżał i podskakiwał. Trautman przytrzymał się fotela.

- Im szybciej, tym lepiej. Maszyna zachybotwała.

Siedzący z tyłu kabiny Doyle - nogi wciąż dyndały mu za burtą - wydał bojowy okrzyk.

- Nadciąga kawaleria!

Rozdział 5

Rambo wymierzył i zastrzelił kolejnego żołnierza wdrapującego się na skarpe.

- Zawracaj! - krzyknął do Co.

Żołnierze niedługo na to wpadną. Albo już wpadli. Zamiast atakować z marszu na zbocze, okrążają ich, zalegną na skraju dżungli i...

Włokąc Banks'a przez zarośla otaczające polanę i rozglądając się za ułożonymi w półokrąg głazami, które

zapewniłyby im lepszą osłonę przed kulami, krzyknął znowu:

- Zawracaj! Na drugi brzeg polany! Do dżungli! Zanim nas otoczą!

- Chcę iść z tobą!

- Żołnierze będą tu przed śmigłowcem! Biegnij, do cholery! Umowa zerwana! Spieprzaj stąd, dziewczyno!

Przykucnął za niskimi głazami, twarzą do krzewów porastających skraj zbocza, i w oddali, po prawej stronie, dostrzegł gorączkowy ruch. Żołnierze. Wdrapywali się na skarpe inną trasą, by po chwili zniknąć w wysokim poszyciu dżungli i zyskać nad nim strategiczną przewagę.

No i po ptakach, pomyślał. To już prawie koniec. Słyszał coraz głośniejsze buczenie silników śmigłowca. Ale maszyna była wciąż za daleko. Nawet jej jeszcze nie widział. A magazynek kałasznikowa był prawie pusty.

Gdyby nie było tu Banksa, pomyślał, mógłbym zwać.

W tym rzecz. Bo Banks tu był.

I Rambo nie zamierzał zostawiać go samego.

Spojrzał na polanę i odszukał wzrokiem miejsce, gdzie stała Co.

Przynajmniej tym się mógł pocieszyć.

Bo Co zrobiła to, co jej kazał. Zniknęła.

Rozdział 6

Śmigłowiec wyskoczył z gardzieli wąwozu. Gdy ogłuszający, wzmocniony skalnym echem ryk silników przycichł i stał się już tylko rykiem trudnym do zniesienia, pułkownik spojrzał w wąską kotlinę śmigającą pod brzuchem maszyny. Lecieli tuż nad drzewami, nieprawdopodobnie blisko wierzchołków, i nagle wynurzyło się przed nimi następne urwisko. Tym razem Ericson ściągnął drążek na siebie i śmigłowiec przeleciał nad porośniętą drzewami krawędzią skały.

- To powinno być gdzieś... Tak, dokładnie przed nami. - Ericson wyciągnął przed siebie rękę. - Tam.

Trautman wyteżył wzrok. Serce waliło mu coraz szybciej. W oddali, za strumieniem spływającym kaskadą ze szczytu skały, której podnóże jeszcze nie widział, zobaczył polanę na stromej skarpie, graniczącą ze skalną ścianą urwiska. Z lewej strony prowadziło do niej porośnięte krzewami zbocze. Z prawej strony polany i daleko za nią rosła dżungla.

Na polanie wykwitł obłoczek pyłu.

Potem następny.

I jeszcze jeden, tym razem między krzewami.

Ericson zeszywniał.

- Co to jest, do diabła?

Śmigłowiec był coraz bliżej celu, polana rosła w oczach. Trautman zmarszczył brwi.

- Wygląda to na...

W tym samym momencie ujrzał kolejny obłoczek pyłu - obłoczek wytrysnął w górę fontanną kamieni, poszatkował krzewy.

- ...na strzelaninę, cholera!

Między krzakami dostrzegł maleńki, poruszający się punkcik, miniaturową postać mężczyzny, który dźwigając na ramieniu innego mężczyznę, machał w ich kierunku kijem - a może karabinem?

Obłoczek pyłu ściał go z nóg.

- To wybuchy min mózdzierzowych! - wrzasnął Trautman. - Atakują go! Chryste, to przecież Rambo! Udało mu się!

- W takim razie wyrównajmy szansę! - krzyknął

Doyle. Wstał i z krzywym uśmiechem na ustach skierował w dół lufę M-60. - Troszeczkę bliżej, złotko!

Z każdą sekundą polana robiła się coraz większa, z każdą sekundą widać ją było coraz wyraźniej. Trautman zobaczył, jak Rambo mierzy z kałasznikowa w stronę dżungli, jak drga mu ramię, szarpnięte siłą odrzutu broni. Odgłosy wystrzałów ginęły w ryku silnika - bezdźwięczna

walka sprawiała niesamowite wrażenie. Wśród krzewów wyłowił wzrokiem sylwetkę innego człowieka zmierzającego chyłkiem w stronę polany.

- Kto z nim jest? - spytał Ericson. - Przecież nie miało być... O żesz kurwa! Czy to nie...

- Jakiś Amerykanin! Chryste! Nadaj meldunek do bazy! Znalazł jeńca! Znalazł jednego z naszych!

Rozdział 7

Chodząc przed konsolą stanowiska łączności radiowej, Murdock znów spojrzął na zegarek. Na miłość boską, dlaczego to tak długo trwa? Śmigłowiec powinien był...

Stanął za nim jeden z techników.

Murdock odwrócił się i spojrzął na niego wyczekująco.

Technik próbował mówić głosem obojętnym, ale widać było, że jest bardzo podekscytowany.

- Odebrałem meldunek z AWACSa; Rambo. Ważka donosi, że mają go w polu widzenia.

Wygląda na to, że...

- No dalej - ponaglił go Murdock. - Dalej!

- Że jest z nim amerykański jeńiec wojenny.

- Co?! - Murdock rzucił się do konsoly.

- Naprawdę. - Technik uśmiechnął się szeroko. Mają jednego z naszych.

Murdock był zaszokowany. Twarz mu pobladła.

- ...z naszych? - powtórzył. I nagle, ogarnięty niespodziewaną furią, odwrócił się do innych techników. - Od tej chwili w bazie obowiązuje stan pogotowia Bravo! krzyknął. -- Harrison! Meyers! Goodeil! Wszyscy! Wychodzić! Ale to już! ,

Zaskoczeni technicy spojrzeli na niego nic nie rozumiejącym wzrokiem.

- Powiedziałem, wychodzić! Ruszcie dupski!

Na wpół rozeźleni, na wpół skonsternowani, zdejmowali słuchawki, odkładali je i zbiwszy się w kupki, po dwóch, po trzech, ruszyli w stronę wyjścia z hangaru, niepewnie zerkając za siebie.

- Nie, ty nie! - rozkazał Murdock technikowi, który doniósł mu o meldunku z AWACSa. - Przejdź na częstotliwość priorytetową! I dawaj mikrofon! Ważka! wrzasnął. - Tu Przywódca z Wilczej Nory! Wydaję ci rozkaz Alpha-Kilo-Victor! Rozkaz bezwzględnego pierwszeństwa!

W słuchawce zatrzeszczało. Przez trzaski przebił się głos Ericsona.

- Tu Ważka. Zrozumiałem. Nadawaj.

- Macie natychmiast przerwać operację! Powtarzam! Macie natychmiast przerwać operację i wracać do Wilczej Nory!

Rozdział 8

Śmigłowiec pędził do celu. Widząc, jak Rambo posyła krótką serię w stronę żołnierzy wypadających z dżungli, siedzący za sterami Ericson nagle zamrugał. Zaskoczony otrzymanymi przed chwilą rozkazami, poprawił słuchawki.

- Powtórz, Przywódco. Powtórz.

- Przerwij operację! - wrzeszczał poprzez trzaski natarczywy głos Murdocka. - Do kurwy nędzy, natychmiast przerwij operację!

Bardziej stanowczego potwierdzenia rozkazu Ericson nie potrzebował.

- Zrozumiałem - odrzekł i spojrzał na Trautmana. Właśnie odebrałem rozkaz, żeby ich nie zabierać.

- Żeby ich nie...? On chyba zwariował! - Twarz Trautmana, stężała i dzika, znalazła się niebezpiecznie blisko twarzy Ericsona. - Niech to potwierdzi!

- To zbędne. Proszę mi wierzyć, rozkaz jest zupełnie jasny.

- Wała! » •

Ericson poczuł, jak Trautman zrywa mu z głowy słuchawki. Zapięły go uszy.

- Murdock! - wrzasnął pułkownik do mikrofonu. Co się z tobą dzieje, do ciężkiej cholery? Mamy ich w polu widzenia! Możemy ich zdjąć, Murdock! Powtarzam, możemy ich zabrać! Zrozumiałeś?

Ericson wzruszył ramionami.

- Trochę luzu, człowieku, daj się ponieść fali. On chyba nie chce cię słuchać., Uwaga, zawracamy.

- Trzymaj kurs, sukinsynu!

- Przykro mi, nie mogę. Rozkaz to rozkaz.

- To też jest rozkaz! - warknął Trautman. - I to cholernie stanowczy!

- Spokojnie, pułkowniku, po co te nerwy? Nie jesteśmy żołnierzami. Jesteśmy niezależnymi kontrahentami. Słuchamy rozkazów tych, którzy nam płacą. A szef każe nam zawracać.

- Sprzedawczyki. - Trautman ściągnął usta, jakby chciał splunąć mu w twarz. - Tam na dole są ludzie! Nasi ludzie!

- Nie nasi. Pańscy - odrzekł Ericson. Gdy pułkownik wyszarpnął z kabury czterdziestkę piątkę, ani trochę się nie zaniepokoił.

Ponieważ tuż za nim stał Doyle z lufą M-16 przytkniętą do głowy pułkownika.

- Lepiej niech pan posłucha mego kumpla - radził. Więcej luzu, nie ma to jak płynąć z falą. Od tych nerw wyrośnie panu wrzód.

Kiedy mieli to z głowy, Ericson zawrócił maszynę byli tak blisko punktu ewakuacyjnego, że podmuch bijący od wirników przyginał krzewy do ziemi - i skierował ją na kurs powrotny do bazy, gdzie czekała na niego butelczyna chłodnego Budweissera.

Rozdział 9

Rambo patrzył i nie wierzył własnym oczom. Biegając przez polanę z Banksem przewieszonym przez ramię oszołomiony wybuchami min rozrywających się po lewej i po prawej ręce - zobaczył, że śmigłowiec zawisa w powietrzu, że pilot, Ericson, którego z tej odległości doskonale widział, wzrusza ramionami, macha mu na pożegnanie, po czym...

...zawraca maszynę...

...i z rykiem silników odlatuje.

- Co... co...? - wyjąkał Banks. - Dokąd on...? Dlaczego...?

- Sprzedali nas.

- O Chryste! Ten skurwysyn nas zostawił?

- Jesteśmy zdani na własne siły.

Zrzucił Banksa na ziemię, z półobrotu oddał jeszcze dwa rozpaczliwe strzały i nagle karabin zamilkł - magazynek był pusty. Rambo zaklął pod nosem.

Tak, sprzedali ich, bez dwóch zdań.

Strzały od strony dżungli powoli milkły. Padł jeszcze jeden, po chwili drugi, ale nie była to groźna salwa. Gdy zobaczył, jak żołnierze wychodzą z ukrycia, jak rozwścieczeni zmierzają w jego kierunku, rzucił broń i pustym wzrokiem po raz ostatni spojrzął w niebo.

Śmigłowiec wracał do bazy. Mała w oczach. Jak ciemny punkcik. Jak kropeczka.

Wietnamczycy podchodzili coraz bliżej. Wycelowane karabiny, wściekłe twarze.

A najbardziej wściekły, ogarnięty największą furją, był sierżant Tay. Bo Tay rozpoznał twarz człowieka, który sprawił mu tyle kłopotów, twarz więźnia, który na piersi i na plecach nosił blizny od jego noża, który wiele lat temu uciekł z obozu.

I zanim kolba kałasznikowa trafiła go w czoło, zanim czaszka eksplodowała mu straszliwym bólem i zanim upadł na ziemię z twarzą tak wściekłą, że musiała wyglądać jak maska, Rambo pomyślał:

Jeśli przeżyję, a mam powód, żeby się do tego zmusić, żeby przeżyć, pewien sukinsyn mi za to zapłaci.

Rozdział 10

Ukryta na przeciwległym skraju polany Co - była wystarczająco blisko, żeby dostrzec kropelki potu na czołach rozjuszonych żołnierzy - ścisnęła łuk i kołczan

tak kurczowo, że rozboleła ją ręce. Patrzyła, jak tamci otaczają jej mężczyznę.

Po ciosie kolbą zdołał podnieść się na klęczki, a wtedy sierżant kopnął go w.. /Nie mogła znaleźć angielskiego odpowiednika. W krocze, w genitalia...

...w jaja.

Gdy któryś z żołnierzy kopnął go w plecy, omal nie pękło jej serce. Potem kopali go w pierś, czuła siłę tych ciosów. Niemal jęknęła ze współczucia, lecz zacisnęła zęby i wytrzymała, bo wiedziała, że jej mężczyzna też by wytrzymał.

Tak. Jej mężczyzna. Czuła, że łączy ich silna więź i zrozumiała, dlaczego tuż przed nadejściem żołnierzy kazał jej odejść. Zrobił to nie dlatego, że nie chciał jej zabrać do Ameryki, nie. Bo na pewno by ją zabrał.

Zrobił to dlatego, że żołnierze byli bardzo blisko, a nadlatujący śmigłowiec wciąż za daleko - nie chciał, by ryzykowała życie.

Chciał ją ocalić.

I w chwili, gdy żołnierze wlekli go wraz z łkającym Banksem, coś sobie obiecała.

Więcej niż obiecała. Coś sobie przyrzekła.

Dotknęła medalionu na szyi.

Rambo, jej mężczyzna, chciał ją ocalić.

Więc, na Buddę, ona ocali jego.

Rozdział 11

Murdock trzasnął szklaneczką w blat biurka.

- Szkocka. Przepraszam, że bez lodu, ale niech pan wypije - rozkazał na tyle grzecznie, na ile greczny może być rozkaz.

Siedzieli w jego klitce, w hangarze.

- Co pan wyprawia? - wrzasnął Trautman. - Do ciężkiej cholery, czy pan wie, co pan zrobił?

- Czy wiem? Oczywiście. Ale czy ma pan pięć, może nawet dziesięć godzin czasu na wysłuchiwanie wyjaśnień? Na wysłuchiwanie gadaniny o poprzednich administracjach, o sekretarzach stanu, o sekretarzach departamentu takiego to, a takiego, o komisjach i o podkomisjach wspierających finansowo inne komisje, o stosunkach dyplomatycznych, o...

Trautmanowi zadrgały policzki.

- Mamy czas. Tam go teraz wieszają na krzyżu, ale my mamy czas.

- Pułkowniku, jesteśmy dorośli. Obaj dobrze znamy sytuację. To jest wojna. Zgoda, zimna wojna, subtelną. Mimo to wojna. I to bardzo ofensywna. A wojna... Cóż na wojnie czasami trzeba ludzi poświęcić.

- Ale nie moich ludzi!

- Pańskich, też. A Khe Sanh? Czyżby już pan o tym zapomniał? Kawał bezwartościowej ziemi, ale pan...

- Nie ja!

- No to ktoś inny! Ktoś dopuścił do tego, że podczas kretyńskiego oblężenia kupy błotnistej, tak naprawdę nikomu niepotrzebnej ziemi zginęło wielu dzielnych żołnierzy. Kupa błota! Wzgórze o tak zwanym strategicznym znaczeniu! Nic nie warte w porównaniu z osłoną, jaką dawała otaczająca je dżungla! Czy ktoś, kto planował tę operację, zapomniał o nauczce, jaką pod Dien Bien Phu dał Francuzom Ho Szi Min? Niepotrzebne poświęcenie? Tak, wojsko też ma w tym swój udział. Więc niech pan nie próbuje ocyganić Cygana, pułkowniku. I niech pan nie będzie takim niewiniątkiem, jest pan na to zbyt inteligentny. Musiał pan podejrzewać, że

ta operacja śmierdzi, mimo to nie wyraził pan sprzeciwu. Nie sądzi pan, że tym samym przyłożył pan do tego rękę?

Trautman cisnął szklanką w ścianę. Roztrzaskała się na drobne kawałki, w ciasnej klitce zapachniało alkoholem, ale Murdock - trzeba mu oddać sprawiedliwość ani drgnął.

- Niech pan nie zalicza mnie do grona swoich plugawych przyjaciół! Ta operacja to jedno wielkie kłamstwo, prawda? Jak ta cała przeklęta wojna! Kłamstwo!

- To starodawne dzieje. Decydowali o tym politycy.

Świdrując wzrokiem niewzruszoną twarz Murdocka, Trautman spróbował się uspokoić.

- No dobrze. - Odetchnął głęboko. - Dlaczego kazał pan przerwać operację?

- Ja? Nie, to nie ja. Ja też mam swoje rozkazy. Poza tym, mam hipotekę, panie pułkowniku. I żonę, tu-dzież dzieci. Myśli pan, że lubię krzywdzić ludzi? Nie,

ja po prostu robię to, co do mnie należy. Gdybym odróżniał dobro od zła, byłbym księdzem, do cholery. Mam rację? Albo rabinem i drugim Billy Grahamem na dokładkę. Nie, jestem na to zbyt praktyczny. Słucham rozkazów ludzi, których zwą mądrzejszymi. Są w tym gronie i kobiety, nie chcę być szowinistą. Robię to, co mi każą, i tego samego oczekuję od swoich podwładnych. I gdyby pański chłopak, którego uważam za kompletnego świrusa, zrobił to, co do niego należało, gdyby obfotografował obóz i wziął dupę w troki, na pewno byśmy go stamtąd wyciągnęli. Nie byłoby żadnego problemu.

- Czekam na wyjaśnienia, do diabła! Murdock popatrzył na niego...

Wypuścił powietrze... I usiadł.

- Sprawa była czysta - zaczął. - Bardzo czysta. Gdyby Rambo powiedział, że nie mógł ich znaleźć, świetnie. I niech mi pan wierzy, wcale się tego po nim nie spodziewaliśmy. Doniesienia mówiły, że tam nikogo nie ma, a na dokładkę przecież to jest ten sam obóz, z którego Rambo kiedyś uciekł. Bardzo symboliczna zagrywka: dzielny żołnierz ryzykuje życie, by zajrzeć do piekła i wrócić, po raz drugi zresztą. A gdyby go schwytali? No i co z tego? Przecież to tylko cywil, wariat działający na własną rękę. A gdyby miał szczęście i mimo wszystko znalazł jakiś dowód, gdzieś między Tajlandią i Waszyngtonem dowód by zaginął. Ścisła tajemnica, pełny hermetyk, czyste ręce. Nie ma żadnych jeńców wojennych. Kupuje to Kongres. Kupuje to Liga Rodzin Zaginionych. Może nawet kombatanci. Tylko że... Kto mógł przypuszczać, że do obozu ktoś wróci? W dodatku ten pański chłopak, ten bohater, cholera. Zdjęcia? Nie, zdjęcia mu nie wystarczyły, musiał zabrać ze sobą jakąś pamiątkę. Bohater. Nie może się od tego bohaterstwa odzwyczaić. Nie miałem wyboru. Musiałem przerwać akcję.

- Żeby perfidnie go wykończyć!

- Kłamstwo! Agencja nie wydała takiego rozkazu! Nigdy! Czy pan zdaje sobie sprawę, co by się stało, gdyby sprowadził tu tego faceta? Okup, panie pułkowniku, mówimy o okupie. W siedemdziesiątym drugim, kiedy wojna miała się ku końcowi, mieliśmy zapłacić za tych Amerykanów cztery i pół miliarda dolarów. Cztery i pół miliarda. Miliarda, nie miliona. Za kilku facetów, którym przez tyle lat uporczywie prano mózgi. Byliby jak wrzód na dupie, wszystkim zależliby za skórę. Nie. To po prostu było wykluczone. •

- Dlatego okupu nie zapłaciliście i kłamięcie dalej. Bo grupa ewakuacyjna fazy numer dwa też nie istnieje, prawda?

- A co by pan doradził politykom, gdyby jeden z tych sponiewieranych jeńców wystąpił w wieczornym dzienniku? Niby co mieliby zrobić? Rozpocząć kolejną wojnę? Przeprowadzić interwencję zbrojną? Zbombardować Hanoi? Czy pan naprawdę myśli, że któryś z senatorów wejdzie na mównicę i zażąda czterech i pół miliarda dolarów za kilka dawno zapomnianych duchów? Czytał pan ostatnio o naszym deficycie budżetowym?

- Duchów? - Trautmanowi zeszywniał kark. - Czy pan kiedykolwiek walczył, Murdock? Tylko nie pieprz mi pan o tym oddziale, którym jakoby dowodził pan w sześćdziesiątym szóstym. Wojnę to pan zna z dziennika telewizyjnego, nie z pola walki. A oni walczyli i stracili w walce wielu kolegów. Ale sami nie zginęli, nie mieli takiego szczęścia. I chociaż pewnie co dzień modlą się o śmierć, jeszcze nie są duchami. Rozumiesz, ty sukinsynu? I żeby nie wiem ile by to miało kosztować, ktoś musi ich stamtąd wyciągnąć.

Murdock pokręcił głową.

- To niemożliwe, pułkowniku.

- Niech Bóg ma pana w opiece, Murdock. Murdock wychylił swoją szklaneczkę.

> -- Nasza rozmowa jest bezsensowna. Powinienem był wiedzieć, że wyjaśnianie tych kwestii komuś z zewnątrz mija się z celem. Ale musi mi pan oddać sprawiedliwość. Próbowałem. Zapomnę, że kiedykolwiek o tym rozmawialiśmy. Radzę, żeby pan postąpił tak samo. Proszę nie wracać do tego tematu. Popęłniłby pan błąd.

- Nie, to pan popełnia błąd.

- Czyżby? Jaki?

- Życzyłem panu, żeby Bóg miał pana w opiece, Murdock. Znam go lepiej niż pan.

- Boga?

- • Nie, Nie docenia go pan. Pańska strata. Mówię o nim. O Rambo.

Rozdział 12

Zamroczone licznymi ciosami w twarz, ze wzrokiem zmętniałym z bólu, wisiał na krzyżu z rękami związanymi nad głową. Majaczyła przed nim niewyraźna sylwetka miotanego furią sierżanta. Przez chwilę wydawało mu się, że Tay jest wściekłą łasicą z koszmarne snu. Nagle przed łasicą mignął jakiś cień i wzrok wyostrzył mu się na tyle, by spostrzec, że ten cień to nóż, i by rozpoznać twarz Wietnamczyka. Rozchybotana świadomość przekonywała go, że nigdy stąd nie uciekł, że nie wrócił do Ameryki, że tamten gliniarz nigdy nie istniał, podobnie jak tamto miasto, że kamieniołom to tylko senna złuda, tak samo jak wyprawa do Wietnamu i ponowne uwięzienie. Złuda, oszustwo umysłu sponiewieranego przez delirium wywołane torturami. Bo Tay bił go i katował. Ale nie, zabić go jeszcze nie chciał.

Nóż był coraz bliżej i Rambo skupił na nim wzrok na tyle, by go rozpoznać. Nie, to nie był nóż Taya. To był jego nóż. Czarne ostrze. Na górnej krawędzi ostrza zębate zadziory, i śrubokręty w jelcu. Czy to też złuda? Czy to na pewno jego własność, skoro nigdy stąd nie uciekał i nie dał się ponownie schwytać?

- Jaki piękny nóż - mówił po wietnamsku Tay. - Jak to miło z twojej strony, że przywiozłeś mi prezent. Że

o mnie pamiętałeś. Musiałeś za mną bardzo tęsknić, skoro zadałeś sobie tyle trudu, żeby tu wrócić i wręczyć mi podarunek.

Rambo otrzeźwiał. Odzyskawszy pełną świadomość, wszystko sobie przypomniał. A to, co pamiętał, było przerażające - zawracający śmigłowiec, krąg żołnierzy, Tay bijący go kolbą w głowę.

- Gdzie Banks?

Sierżant uderzył go na odlew w twarz.

- Banks? Chodzi ci o naszego więźnia, który oddalił się bez pozwolenia poza teren obozu? Tak bardzo tęsknił za swoimi przyjaciółmi, że w końcu ulegliśmy jego błaganiom i pozwoliliśmy mu do nich wrócić.

- Do groty? - Straszliwie bolały go ramiona, a mimo to obrócił się i omijając wzrokiem baraki, spojrzał w stronę skalnej ściany.

- Jest tam tylko chwilowo. Później do nas dołączy. Tymczasem urządzimy sobie małe przedstawienie. Właściwie będzie to przykład dla tych, którzy myślą o próbie ucieczki z obozu. Tak przy okazji. Nie, nie zapomniałem. Wciąż pamiętam, jak ścigałem cię w dżungli. Przez trzy dni. Byłeś chory i osłabiony, mimo to zdołałeś uciec. Mój dowódca był wściekły. Koledzy ze mnie szydzili. Straciłem twarz. Czasami myślę, że to właśnie dlatego nie przeniesiono mnie do innej służby i pozostawiono w tym... w tym... - Nachmurzony spojrzał na dżunglę

i przez chwilę ruszał ustami, jakby szukał odpowiednich słów. - W tym tu - dokończył.

Z boku dobiegł ich czyjś głos. Rambo obrócił głowę. Tay również.

Od strony pobliskiego budynku zmierzał ku nim wietnamski oficer w stopniu kapitana. Czyściutki, nienagannie skrojony mundur, sztywna wojskowa postawa - jedyny żołnierz w obozie, który próbował zachować godność.

- Kontynuujcie, sierżancie.

- Obywatelu kapitanie, melduję, że wyjaśniam zatrzymanemu procedurę postępowania.

Oficer przystanął koło krzyża.

- Nazywam się Vinh. Kapitan Vinh. A ty? Rambo milczał.

- Wkrótce nam powiesz. O twoim przybyciu zawiadomiłem przełożonych. Żądają informacji. Bo nie przyjechałeś tu na własną rękę, to oczywiste. Miał cię stąd zabrać śmigłowiec. Maszyna była nie oznakowana. Kto ją pilotował? Kto cię tu przysłał?

Rambo wciąż milczał.

- Powiesz. Niedługo mi powiesz.

Dał znak sierżantowi i odsunął się na bok, jakby nie chciał sobie uwalac munduru. Otarł rękę.

Tay skinął głową, obrócił się twarzą do krzyża i podniósł nóż.

- Pewnie myślisz, że... Blizny na piersi i plecach, he? Nie, nie tym razem. Nasz obóz się rozwija, wprowadziliśmy tu pewną innowację. Chyba powinieneś to zobaczyć.

Zdezorientowany Rambo poczuł, że krzyż się podnosi. Żołnierze naparli na przymocowany do krzyża drąg na podporze i stopy Rambo powędrowały jeszcze wyżej. Potem obrócili go w lewą stronę, przez co mięśnie ramion naprężyły się jeszcze boleśniej.

Po chwili bambusowy krzyż zastygł w bezruchu.

Rambo opuścił głowę, z trudem łowiąc powietrze spojrział pod nogi i zobaczył...

Dół.

Miał dwa i pół metra szerokości i trzy metry głębokości. Słońce stało wysoko na niebie, prawie w zenicie, więc dno widział bardzo wyraźnie.

Nie przeszkadzały mu żadne cienie. Nic nie zniekształcało obrazu, oczy nie płatały mu sztuczek.

Mimo to...

Był pewien, że wzrok płata mu dziwne figle.

Ponieważ dno dołu poruszało się.

Węże, pomyślał w pierwszej chwili. Ale wiedział i wyraźnie widział - że to nie węże wywołują ten ruch.

Dno dołu falowało.

Podnosiło się i opadało, jakby ziemia oddychała.

Jakby się... gotowała.

I wtedy zdał sobie sprawę, że grunt na dnie dołu nie jest zestalony!

Przeczuwając najgorsze, wygiął się na krzyżu, przez co jeszcze bardziej rozboląły go ramiona.

Bo uprzytomnił sobie coś jeszcze. Chociaż grunt na dnie dołu nie był zestalony, nie był też płynny. Wydawało się, że jest na wpół zestalony, na wpół płynny. Złowieszczy i paskudny, przypominał lotny piasek, kurzawkę, muliste i grząskie oczka na bagnach, przypominał...

Dno dołu znów drgnęło i przetoczyła się po nim fala, od brzegu do brzegu. Potem lekko zawirowało.

Zabulgotało. Zakipiało.

Szambo, pomyślał. Nie znalazł innego określenia. Szambo. Nie bulgotało z gorąca. Nie, pod jego powierzchnią coś... było.

Tam, wtej zielonkawobrazowej mazi, która wydawała z siebie odór tak mdlący, że prawie nie do zniesienia, w tych ekskrementach, w zgniłych resztkach żywności, w trupach rozkładających się zwierząt, w nieczystościach wszelkiej maści i koloru, w tym obrzydlistwie, które sączyło się i przesączało, które się z sobą

mieszało niczym półpłynny kompost albo otwarty dół kloaczny...

...coś żyło.

Kloaka dyszała, falowała i bulgotała, bo pod jej powierzchnią coś mieszkało. Ślimaki i owady, robaki i pijawki.

Bambusowy krzyż zaczął opadać. Młóćąc nogami, próbując jak najdłużej utrzymać je nad kipiącą breją, chciał przeraźliwie krzyknąć. Ale nie krzyknął - dałby Tayowi satysfakcję. Co ważniejsze, musiał się od tego wszystkiego odciąć, wyłączyć umysł, zdławić w sobie koszmar, musiał udać, że jest niteczką pajęczyny babiego lata, musiał uciec w świat, który nie istnieje.

Lecz kloaka istniała. Nie mógł sobie przekonać, że jest inaczej. Nie starczyło mu czasu. Chociaż nogi miał podkurczone, wraz z powolnym opadaniem krzyża coraz bardziej się męczyły, by w końcu wyprostować się i... Buty pogrążyły się w pulpie konsystencji budyniu - zielonawobrazowego budyniu.

Lecz skórą pulpy jeszcze nie dotknął, tylko butami, więc jeszcze nie wiedział, jakie to uczucie, i mógł tylko patrzeć z obrzydzeniem na coraz intensywniej bulgoczącą breję.

Nagle krzyż wepchnął go aż po kolana w kloakę i Rambo poczuł ciepły, lepko-śliski ucisk wokół nóg. Opadł głębiej. Mazista, rozedrgana masa zalała mu krocze. Skurczone genitalia przylgnęły do podbrzusza. Załaskotało w nie coś małego i ruchliwego.

I raptem, zaszokowany, pogrążył się w pulpie aż po szyję. Coś przywarło mu do piersi, ssąc ją, żądłąc, gryząc.

W Ameryce, gdy zbiegł z aresztu w tamtym mieście, uciekł przed pościgiem w góry. Żeby przeżyć, stosował wszystkie znane mu sztuczki i wykorzystywał wszelką

dostępną broń, mimo to był zmuszony szukać schronienia w szybie starej kopalni. Odcięto mu odwrót, zamknięto go tam jak w hermetycznej puszcze. Szukając innego wyjścia, schodził po omacku coraz głębiej, szedł korytarzami coraz dalej, by wąską szczeliną w skale trafić do wielkiej, rozbrzmiewającej echem i zupełnie ciemnej jaskini. Był jak ślepiec, nie widział absolutnie nic. Stał po pas w guanie, żuki skubały mu skórę. I wtedy zaatakowały go nietoperze. Zaatakowały całą Chmarą, kłębiły się wokół jego głowy i myślał, że zwariuje, że nietoperza jaskinia jest dla niego najwyższym progiem wytrzymałości psychicznej, że nic gorszego nie może mu się przytrafić.

Lecz teraz zdał sobie sprawę, że się mylił. Bo tu atakowały go maleńkie stworzenia żyjące w dyszącej, falującej kloace, w brei śmierdzącej tak obrzydliwie, że chciało mu się rzygać, bo przywierały do jego ciała, ssąc je i podskubując. Zrozpaczony podniósł wzrok i spojrzał na sierżanta Taya, który stał na brzegu i z zainteresowaniem go obserwował. Chciał krzyknąć - Proszę! Wyciągnij mnie stąd!

Ale uśmiechnięty Tay pomachał mu tylko na pożegnanie, dał znak żołnierzom i głowa Rambo pogrążyła się w kloace.

Ciemność.

Niewysłowiona groza. Rozpaczliwym wysiłkiem wstrzymał oddech, czując, jak rozedrgana pulpa wlewa mu się do uszu, jak wciska się do nosa i napiera na usta. Zamknął oczy. Ciśnienie wgniotło je w oczodoły i bał się, że lada chwila pękną.

Coraz głębiej. Jeszcze głębiej. Paliło go w płucach, które domagały się powietrza.

Kurczyło mu się całe ciało. Coś liznęło go w brzeg

ucha. Coś innego wpełzło do nozdrza, rozpychając je i rozdymając. Chciał to wydmuchać, lecz bał się, że może odruchowo odetchnąć. Zadławiłby się. Otworzyłby usta, żeby odkaszląć. Ekskrementy wpłynęłyby mu do gardła, wraz z ekskrementami - robaki. Utopiłby się.

Umysł miał coraz bardziej rozchwybotany. Dłużej nie wytrzymam. Odetchnąć. Muszę.

Szarpnął się, żeby uwolnić ręce, żeby zgarnąć robaki z piersi, z szyi i z ust. Nie dał rady. I wraz ze stopniową utratą świadomości, powoli tracił zmysł dotyku, słuchu i wzroku. Poruszał się jak w nocnym koszmarze, szedł w miejscu, zmierzał donikąd.

I wówczas kloaka oraz żyjące w niej stworzenia przestały wreszcie istnieć. Stał przed najwyższym, przed ostatecznym progiem zen. Przed progiem śmierci.

Wtem... Miał niejasne wrażenie, że coś nim szarpnęło i nagle przez zaciśnięte powieki dostrzegł mglistą plamę światła. Czuł, że nacisk na pierś słabnie, że coś z niego ścieka, poczuł na twarzy muśnięcie powietrza. Gdy wydzwignięto krzyż, mocno wydmuchał nos, usuwając zeń ślimaka. Potarł uchem o ramię, rozgniatając napęczniałą larwę.

I oddychał. Chryste, nareszcie mógł oddychać.

- Jeszcze raz? - spytał sierżant z uśmiechem. - A może zechcesz udzielić odpowiedzi na pytania obywatela kapitana?

- Pierdol się.

Stojącemu obok Taya Vinhowi aż kark zeszywniał z oburzenia.

- Powinienem być cię ostrzec - powiedział sierżant. - Obywatel kapitan nie lubi wulgarnego języka. Chyba potrzymam cię tam trochę dłużej. - Dał znak żołnierzom.

Bambusowy krzyż znów zaczął opadać.

Spoglądając w dół, omijając wzrokiem wijące się ciemnoczerwone pijawki, które przywarły mu do piersi, Rambo wiedział, że tym razem umrze.

Albo zwariuje.

I odpowie na wszystkie pytania.

Takiego wała!

Zza krawędzi urwiska nadlatywał z rykiem szturmowy śmigłowiec Huey. Podniecony Rambo zamarł. Amerykanie! Nie zostawili mnie! Na polanie zobaczyli żołnierzy i zawrócili do bazy po inny helikopter! Teraz przybywają z posiłkami!

Jeszcze chwila i dotknie butami cuchnącej mazi.

Szybciej, do cholery! Jak mnie tam wrzucą, nigdy mnie nie znajdziecie! Będziecie szukać, a ja się tymczasem utopię!

Łump-łump-łump-łump! Coraz głośniejszy, coraz bliżej. Wzbijając chmury pyłu, przygniatając do ziemi krzewy, Huey siadał przed barakami. Jeszcze sekunda, myślał Rambo, jeszcze chwila i z kabiny wyskoczą żołnierze z oddziału Delta. Zaszczekają karabiny, zadudni ciężka broń maszynowa...

Tylko dlaczego zwlekają? Dlaczego czekają, aż maszyna dotknie płozami ziemi?

Przez bramę wpadły na teren obozu dwie wojskowe ciężarówki. Warcząc i podskakując na wybojach, zahamowały piskliwie i stanęły w bezpiecznej odległości od śmigłowca. Opadły klapy skrzyń. Z jednej ciężarówki wysypało się piętnastu żołnierzy wietnamskich.

Z drugiej wyskoczyło ich jeszcze więcej.

Lecz ta druga grupa żołnierzy wyglądała jakby inaczej.

I Rambo już zrozumiał, dlaczego Huey nie otworzył ognia. Bo żołnierze z drugiej ciężarówki byli Rosjanami!

Na ich ciemnych panterkach rozpoznał emblematy rosyjskich wojsk powietrzno-desantowych.

Ogarnęła go rozpacz. Gdy wirujące jęklonie rotory zastygły w bezruchu, otworzyły się boczne drzwi i z kabiny śmigłowca wyskoczyło jeszcze trzech rosyjskich komandosów.

I dwóch poruczników.

Rosjanie natychmiast uformowali szyki, trzasnęli buciorami i zasalutowali. Oficerowie szli wzdłuż szeregu i krytycznie im się przyglądali. Chociaż rozrywało mu ramiona, chociaż wisiał nad kloaką bojąc się, że Wietnamczycy spuszczą krzyż i go utopia, nie mógł nie zauważyć kontrastu w dyscyplinie - lub raczej braku dyscypliny - między żołnierzami wietnamskimi i rosyjskimi. Inspekcji przyglądał się kapitan Vinh w swoim nienagannym mundurze. Zacierał ręce, jakby coś prał, i kto wie, może żałował, że nie służy w lepszej armii.

Oficerowie rosyjscy byli prawdziwymi olbrzymami. Oczy mieli lodowato zimne i wyglądali jak ucieleśnienie chodzącego zła.

Cóż, pomyślał Rambo, jak komuś bardzo zależy/wysyła najlepszych.

Oficerowie spojrzeli na niego i pełni obrzydzenia przystanęli. Jeden z nich wydał Vinhowi szczekliwy rozkaz i kapitan, choć wyższy stopniem, podszedł do nich posłusznie i z szacunkiem.

Rambo nie słyszał, co mówią, lecz gestykulowali przy tym niecierpliwie i z rozsierdzeniem. Kapitan Vinh kiwnął parę razy głową, gwałtownie się odwrócił i krzyknął:

- Sierzancie, wyciągnijcie go stamtąd!

Tay znał życie i wiedział, że lepiej się nie sprzeciwiać. Piętnaście sekund później Rambo stał na cudownie twardej ziemi przy brzegu szamba. Drżały mu nogi, ociekał ekskrementami.

Rosjanie podeszli bliżej, zmierzili go wzrokiem od stóp do głów i westchnęli znużeni •.

- Ci ludzie są tacy... prymitywni - stwierdził po angielsku blondyn. - Tacy wulgarni. - Zauważył, że sierżant Tay ma za paskiem jego nóż. Wyszarpnął go wraz z pochwą, a kiedy zobaczył ostrze, z podziwem skinął głową.

- Natomiast to prymitywne nie jest.

Podszedł bliżej i ostrożnie przeciągnął mu nożem po piersi, gdzie wiło się około dwudziestu napęczniałych krwią pijawek. Lekki, niedbały gest i ostrym jak brzytwa czubkiem odciął pijawkę, która przywarła do szyi, tuż przy tętnicy. Rambo poczuł na skórze dotknięcie stali. Niczym wytrawny chirurg, Rosjanin szybko przekreślił ostrze i zrzucił paskudztwo na ziemię.

- Przypuszczam, że nie znają uczucia litości - powiedział. - Ale my... Powinniśmy się przedstawić. To jest porucznik Jaszyn. Moje nazwisko Podowski. Porucznik Podowski. Jeszcze nie wiem, kim ty jesteś, ale się dowiem.

- Obrócił się na pięcie do sierżanta Taya i dwóch wietnamskich żołnierzy. - On śmierdzi. Wykąpać go. Potem zaprowadzić tam. - Wskazał barak pośrodku obozu.

Rozdział 13

Z za bambusowych krat pieczary w skalnej ścianie obserwował ich Banks. Patrzył, jak rosyjscy oficerowie odchodzą w stronę baraków, jak Wietnamczycy odcinają Rambo od krzyża, jak wylewają na niego kubel wody, jak go wloką.

Za plecami usłyszał charkot schorowanego kolegi.

- Trzymaliśmy za ciebie kciuki.

- Następnym razem się uda - odrzekł Banks.

- Jasne. - Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco. Następnym razem.

Ktoś inny straszliwie zakaszłał. Suchym, urwanym kaszlem.

- Banks, torturowali cię kiedy Rosjanie?

- Torturowali.

- No i co? To znaczy, jak się przed nimi nie wygadać? Jest jakiś sposób?

Banks spoglądał ponuro w stronę baraku pośrodku obozu.

- Jest. Trzeba mieć nadzieję, że cię niechący zabiją.

VI - MOGIŁA

Rozdział 1

Kiedy dwóch strażników wciągnęło go do prowizorycznego gabinetu, Rambo poczuł, jak ktoś popycha go w plecy. Doszedł go smrodliwy oddech sierżanta Taya i stracił równowagę.

Tay kopnął go w kostkę u nogi. Strażnicy zwolnili uchwyt i Rambo zwałił się ciężko na podłogę. Zdążył wyciągnąć przed siebie ręce, żeby złagodzić siłę upadku, ale poharatał sobie dłonie.

Rosjanie przypatrywali się temu, jakby rozważając, czy i ten postępek Taya jest postępkem wulgarnym.

- Nie tam - rozkazał Podowski. - Na krzesło.

Tay machnął energicznie ręką. Strażnicy dźwignęli więźnia z podłogi i pchnęli go na krzesło.

Spokojnie, myślał Rambo. Jeszcze nie moja kolej. Tylko spokojnie.

Popatrzył na Rosjan, na Taya, na strażników. Pomieszczenie było małe. Pod sufitem dyndała naga żarówka na drucie. Jego uwagę przykuł mikrofon i radionadajnik na metalowym biurku.

- Dziękuję, sierżancie. Możecie odejść - powiedział Podowski. - Ale niech pan zostawi jednego strażnika.

Sfrustrowany Tay zerknął na niego z ukosa, ale zrobił, co mu kazano. Kilkanaście sekund później wyszedł.

Przez otwarte okno Rambo zobaczył, że na ziemi wykwitają cienie. Słońce minęło zenit.

Podowski oparł się o metalowy stół. Wzrostem dorównywał swemu koledze, ale był od niego drobniejszy. Nosił okulary w rogowej oprawie, a inteligentne - nawet delikatne - lecz wyrafinowane rysy jego twarzy sprawiały, że wyglądał jak uosobienie prezesa banku.

Jaszyn to zupełnie inna historia. Pod nosem sumiasty wąs starego wiarusa, włosy obcięte na wojskowego jeża. Rysy twarzy - grube i wydatne, silnie zaakcentowane jak w socrealistycznej rzeźbie - sugerowały pochodzenie nordyckomongolsko-czerkieskie. Emblemat na ramieniu - wyszywana sosna - mówił, że Jaszyn jest kozackim zwiadowcą.

Milczenie przerwał Podowski. Z nożem Rambo w rękę podszedł bliżej i wskazując ostrzem blizny na jego piersi, rzekł:

- Widzę, że ból ci nieobcy. Czy to możliwe, że już odwiedzałeś naszych wietnamskich towarzyszy? -Odczekał chwilę. - Nie odpowiesz? Nic nie szkodzi. Kapitan Vinh zdążył mnie poinformować, że kiedyś tu gościłeś. Moje pytanie miało tylko... Jak to się mówi po angielsku? Przełamać pierwsze lody? - Uznał, że to bardzo zabawne. - Tak to brzmi? Powiedz, jak się nazywasz. Nikomu nie zaszkodziś. Przecież to tylko nazwisko.

Rambo wbił wzrok w podłogę.

- No cóż - powiedział Podowski, - Jak na intymną znajomość, to bardzo kiepski początek. Zapewniam cię, że jutro, najdalej pojutrze, opowiesz mi o sprawach, o których nie opowiedziałbyś nawet kochance.

Przeklęty głupiec, pomyślał Rambo. Taki sam jak ci stąd. Kochance? Ja nie chcę kochanki!
I zaniepokojony, natychmiast pomyślał o Co, Gdzie ona jest? Zdołała uciec?

- Lecz z pewnością wiesz, że opór jest czymś bezsensownym - mówił dalej Podowski. - Na dłuższą metę ból jest marnym substytutem inteligencji. No, ale zaczynamy. Czy pracujesz bezpośrednio dla rządu amerykańskiego? Kim są twoi miejscowi łącznicy? Gdzie leży twoja baza? Jakie kroki / podjęliście w celu ratowania innych więźniów? I tak dalej, i tak dalej. Mam całą listę pytań. Czy odpowiesz na nie dobrowolnie?

Rambo zerknął przez okno. Cienie robiły się coraz dłuższe.

- Nie odpowiesz. Oczywiście. Lecz jako człowiek moralny, musiałem cię o to spytać. Ty z kolei powinienes zrozumieć, że musimy, po prostu musimy cię przesłuchać. Nie mamy wyboru. - Wskazał nożem swego towarzysza z twarzą jak rzeźba. - Dla Jaszyna... Zauważyłeś, że on prawie nic nie mówi? Otóż dla Jaszyna jesteś tylko kawałkiem mięsa, laboratoryjnym zwierzęciem, kolejnym eksperymentem. Natomiast dla mnie... - Ostrzem noża klepnął się w mundur. - Dla mnie jesteś towarzyszem takim samym jak ja. Oczywiście podobnym i niepodobnym, bo dzieli nas polityka i los. Takie życie. Wiem, że do próby uwolnienia tych kapitalistycznych zbrodniarzy wojennych z rąk obrońców republiki ludowej pchnęła cię mylnie pojmowana lojalność narodowa. Doceniam lojalność. Obojętne jak mylną. Lecz ten incydent, fakt, że zostałeś schwytany, jest doprawdy żenujący. Zrozum, musimy to jakoś wyjaśnić. Po tym, jak odpowiesz na moje pytania, chciałbym, żebyś nawiązał łączność ze swoją bazą. Powiesz, że nie znalazłeś żadnych jeńców. Powiesz, że operacja zakończyła się całkowitym fiaskiem. Zrobisz to?

Podowski podniósł mikrofon.

Rambo patrzył na coraz dłuższe cienie za otwartym oknem;

- Cóż - kontynuował porucznik - przepraszam, że cię nudzę. Czasami podchodzę do pracy zbyt entuzjastycznie. Wyprzedzam sam siebie. Chodzę na skróty. Tak to się mówi w waszym języku? Chodzić na skróty? Nawet na to nie chcesz odpowiedzieć? Rozumiem. Chcesz wypróbować swoją wytrzymałość na ból. Bardzo dobrze. Mam wrażenie, że mój przyjaciel się niecierpliwi. Nie chciałbym sprawiać mu zawodu. Jaszyn, zaczynaj.

Wąsaty, ciemnowłosego zwiadowca ruszył w jego stronę. Może się nawet uśmiechał, trudno powiedzieć. Bo Rambo widział tylko szczyptę w jego rękę.

Rozdział 2

Noc

Słyszając terkotanie i popyrkiwanie rozklekotanego skutera, strażnik w budce przy bramie oderwał wzrok od czarnorynkowego przekładu absolutnie obrzydliwego amerykańskiego "świerszczyka" i zobaczył zbliżające się światło reflektora. Pyrk-pyrk-pyrk - honda zatrzymała się przed nim i w kierowcy rozpoznał podniecającą kobietę w obcisłej sukni i w stożkowatym kapeluszu kulisa, jakby żywcem przeniesioną z kart jego pisemka.

- Na oba sposoby? - spytała. - Tu i tam?

Udawał, że się zastanawia, ale już wiedział, jakiej odpowiedzi udzieli. Z czystej dumy próbował się jeszcze targować, ale postanowił, że jeśli dziewczyna będzie nalegała, zapłaci, ile zażąda. Miejscowy interes wyraźnie się rozkręcał. prostytutka wyglądała tak niewinnie, że na samą myśl o pójściu z nią do łóżka - mieli to robić na oba sposoby, i tu, i tam, choć zastanawiał się, czy temu podoła - omal nie spuścił się w spodnie.

Tak, wyraźnie szło ku lepszemu, bo i noc była jakby spokojniejsza. Ten więzień, którego torturowali w baraku, ani razu nie krzyknął.

Ale niedługo krzyknie; pomyślał.

Tak, już wkrótce.

Dziewczyna wykonała obsceniczny gest, poruszając palcem wskazującym jednej ręki między zetkniętymi w kształt okręgu dwoma palcami drugiej, i sugestywnie uniosła brwi. Otworzył bramę, żeby ją wpuścić, a kiedy pyrkanie skutera się oddaliło, zaklął, bo w kroku spodni wykwitła wilgotna plama.

Rozdział 3

Czując na sobie brud rozmowy ze strażnikiem, Co skierowała hałaśliwy skuter - ukradła go w pobliskiej wsi - na drogę prowadzącą do baraków. Obcisłą suknię wieczorową i stożkowy kapelusz też ukradła. Zaryzykowała, lecz przed chwilą ryzykowała jeszcze bardziej. Łypiący na nią pożądlivym okiem strażnik przepuścił ją, nie wypyując o zawartość skórzanego pojemnika przywiązanego po drugiej stronie skutera; był w nim rozłożony na części łuk oraz strzały, które dostała od Rambo. Gdyby o to zapytał, odpowiedziałyby, że w pojemniku są akcesoria niezbędne do odbywania stosunku w trzeciej i to baaardzo egzotycznej pozycji. Ale, jak tego oczekiwała, strażnik o nic nie zapytał. Był zbyt zajęty analizowaniem pomysłowej złożoności tego, co dodała do opisu pozycji pierwszej.

Terkocząca honda dojeżdżała do baraku, z którego okien sączyło się słabe światło, lecz mimo hałasu Co usłyszała straszliwy krzyk.

Jego krzyk. Krzyk jej mężczyzny. Bez względu na to, dlaczego krzyczał, dobrze wiedziała - a przepełnione złością serce było jej coraz mocniej - że ponieważ to on krzyczał, ból, jaki mu zadawano, musiał być nieludzki. Wiedziała też, że zabije każdego, kto mu ten ból zadał.

Rozdział 4

Stał wyprostowany z nadgarstkami przywiązanymi do stalowych sprężyn ramy od łóżka wspartej o ścianę. Wstrząsały nim konwulsyjne drgawki. Nie mógłby ich powstrzymać, gdyby nawet chciał. Jego reakcje były bezwolne, spazmatyczne, jak reakcje żaby, do której podłączono elektrody. Do niego zaś podłączono kable wychodzące z prądnicy.

To nie wszystko. Podczas gdy nieporuszony, lecz zafascynowany eksperymentem Jaszyn manipulował pokrętłem generatora, stojący w półcieniu Podowski obserwował zębaty nóż - jego nóż! - tkwiący w buchających żarem węglach.

- Jeśli nasza miła pogawędka nie dojdzie do skutku powiedział - bardzo się sfrustrujemy. Bardzo, ale to bardzo. Więc jeszcze raz. Pytanie pierwsze. Jak się nazywasz?

Jaszyn wyłączył prąd. Przywiązany do sprężyn, z czarną metalową płytką wielkości niewielkiej książki na brzuchu - podłączyli do niej przewody wychodzące z prądnicy - Rambo przestał krzyczeć. Ociekając wodą - Jaszyn wylał na niego cały kubek - która mieszała się z wielkimi kroplami potu spływającymi na mokrą podłogę, oszalałymi z bólu oczyma spojrzął w noc za otwartym oknem, gdzie zobaczył przesuwającą się smugę światła i gdzie słyszał terkotanie przejeżdżającego przed barakiem skutera. Zagryzł wargi i postanowił, że następnym razem nie krzyknie.

- Jeszcze nie? - spytał Podowski znad rozżarzonego paleniska. Odwrócił się i rozzłoszczony chlusnął na niego kubkiem wody. - Jaszyn!

Przez ciało popłynął straszliwy prąd, który przypalił mu skórę pod metalową płytką na brzuchu, i pomieszczenie wypełnił smród spalonego mięsa. Wszystkie podrażnione mięśnie i nerwy konwulsyjnie zadrgały, zadrgał każdy zakamarek ciała, po nogach spłynęła ponizająca uryna. Już nie kontrolował swoich odruchów.

Ale дума nie miała znaczenia. Dyscyplina wewnętrzna też nie. Istotny był tylko ból i dygocząc spazmatycznie mimo rozpaczliwych prób zdławienia krzyku, krzyknął znowu. Krzyczał, wrzeszczał tak przeraźliwie, że omal nie pękły mu struny głosowe.

Uderzenie prądu było tak silne, że wisząca pod sufitem żarówka zamrugła i na chwilę przygasła.

Jaszyn przekręcił gałkę prądnicy.

Wyczerpany Rambo zwisał z metalowego stelaża, dysząc jak ryba wyrzucona na brzeg,

- Towarzyszu - powiedział cierpliwie Podowski-sami widzicie, jakie to nudne. Właśnie dostałem urlop, a wy... Na pewno wolelibyście robić coś innego, prawda?

Nie wierzę, że nie. - Poklepał się po kieszeni kurtki. Ano właśnie. Byłbym zapomniał. Proszę. Mam tu coś, co was powinno zainteresować.

Z kieszeni wyciągnął kartkę papieru. Rozłożył ją i podniósł na wysokość rozszerzonych bólem i furią oczu więźnia.

- To transkrypcja. Transkrypcja rozmowy między pilotem śmigłowca i jego przełożonym o kryptonimie., . Przywódca. Rozmowa miała miejsce tuż przed tym, jak śmigłowiec zawrócił i zostawił cię na tamtym wzgórzu. Dobrze widzisz? Pot w oczach ci nie przeszkadza? Przeszkadza? W takim razie pozwól, że zrobię ci przysługę i odczytam ją na głos. Jestem pewien, że docenisz wysiłek naszej przepracowanej ekipy kryptograficznej. Z godnym podziwu oddaniem dla sprawy i dla republiki zdołali przechwycić wiadomość z waszego satelity szpiegowskiego i ją rozszyfrować.

Poprawił okulary i spojrzał na rozłożoną kartkę.

- Hmm... I cóż my tu mamy. Tak. "Ważka" i "Wilcza Nora". Barwne kryptonimy. Zapewne wiesz, kto się za nimi ukrywa. Ale pozwól, że odczytam ci niezły kawałek. Tu Ważka. Mamy ich w polu widzenia. Chryste, to Rambo, " Pomijając ten antyrepublikański, pseudoreligijny epitet... Sprawa jest jasna. Jak widzisz, od samego początku znałem twoje nazwisko. Rambo. Odpowiedzi na szereg innych pytań też znałem. Zapewne teraz już rozumiesz, że ból, który z tak godną podziwu wytrzymałością cierpiełeś, był zupełnie niepotrzebny. Mogłeś zaoszczędzić nam wszystkim dużo czasu i wysiłku. Lecz kontynuujmy. Jest tu jeszcze lepszy fragment. "Chryste! Znalazł jeńca! Znalazł jednego z naszych." To wolny przekład, ale na pewno rozumiesz jego sens, prawda? A tu mamy gwóźdź programu. Wiadomość z Wilczej Nory, od

Przywódcy. "Natychmiast przerwać operację. Wracać do bazy."

Przesadnie wdzięcznym ruchem podniósł kartkę na wysokość oczu więźnia.

- "Przerwać operację. Wracać do bazy." Nie do wiary. Popraw mnie, jeśli się mylę. Wygląda na to, że zostawili cię tam celowo. Na bezpośredni rozkaz. I takich ludzi osłaniasz swoim milczeniem? - Był zdumiony. - Dla takich ludzi cierpisz ból? Gdzie są granice mylnie pojmowanej lojalności? Nie uważasz, że byłoby lepiej... że poczułbyś się lepiej, gdybyś wyrównał z nimi rachunki? Pomów z nimi przez radio. Zdemaskuj ich. Niech cały świat dowie się o zbrodniach, jakie popełnili.

Uśmiechał się do niego przyjaźnie, patrzył błagalnie.

- Potem zapewnimy ci opiekę lekarską. Damy porządne jedzenie. Pośpisz sobie. Oczywiście nie w tym chlewie. W znakomitym szpitalu w naszej bazie, w zatoce Cam Ranh.

Rambo spojrzał w noc za otwartym oknem. Podowski westchnął.

- A więc jeszcze nie teraz. Bardzo dobrze. Możesz krzyknąć, jeśli chcesz. Nie ma w tym nic żenującego. W tym pokoju to nie wstyd.

Strzelił palcami i Jaszyn przekreślił gałkę prądnicę. Rambo poczuł rozdzierające uderzenie prądu szarpającego rozedrgany system nerwowy i rzeczywiście zaczął krzyknąć.

Krzyczał długo i głośno.

A Podowski krzyczał wraz z nim.

- Tak! - Był podniecony seksualnie. Oczy miał rozszerzone, napęczniało mu krocze. - Tak!

Musisz krzyczeć! Musisz! To nie wstyd!

Rozdział 5

Zaczęło padać.

W chwili gdy w obozie rozległ się ochryply, jeszcze głośniejszy i przenikliwszy krzyk, wzmocniony strasliwym echem odbitym od ściany skalnego urwiska, z wiszącej w powietrzu mgiełki zaczął kropić delikatny kapuśniaczek. Małeńkie kropelki uderzały cichutko o ziemię, szumiały w liściach, bębniły w przerdzewiałą blachę dachów, omywały twarze żołnierzy, którzy odwracali głowy w stronę baraku, skąd rozbrzmiewał ów rozdzierający krzyk. Niewidoczne chmury pękły i kapuśniaczek przeszedł w silną, gęstą i grzmiącą ulewę. Wraz z ulewą nadleciał wiatr - chłodny w porównaniu z lepka i wilgotną ciszą jaka tu niedawno panowała. Trzeszczały rozchwiane gałęzie drzew. Strażnicy szukali schronienia w swoich budkach. Bębnienie deszczu w blaszane dachy zagłuszało krzyk.

A w jednym z pomieszczeń baraku stojącego po prawej stronie Co właśnie wyjmowała nóż z pleców strażnika, którego przed chwilą zabiła, przecinając mu arterię nerkową. Zabrała rękę z jego ust, zwolniła uchwyt i drgające ciało Wietnamczyka upadło na podłogę. Głowa grzmotnęła głucho o deski. Nie zwracając uwagi na krew, którą uwalala kradziony i jakże prowokacyjny strój, za pomocą noża skróciła suknię do kolan i rozcięła ją do pół uda. Chwyliła wsparty o ścianę karabin - AK-47, własność martwego żołnierza - zgasila światło i otworzyła drzwi.

Padal tak gęsty i tak silny deszcz, że stojąc w progu nie widziała wieży strażniczej.

To dobrze. Bo strażnik też jej nie zobaczy.

Ostrożnie zamknęła drzwi i... natychmiast przemokła

do suchej nitki. Prześlizgując się spieszenie do kradzionego skutera, chwyciła po drodze kołczan ze strzałami i łuk, który ukryła w krzakach przed barakiem. Z torebki z narzędziami wyjęła śrubokręt i złożyła broń dokładnie w ten sam sposób, jak robił to jej mężczyzna.

Jej mężczyzna. Przerażona, aż podskoczyła. Lecz nie o siebie się bała. Bała się, bo mimo grzmiącej ulewy uprzytomniła sobie, że strasliwy krzyk umilkł.

Zjeżyła się z wściekłości. Jej mężczyzna. Jeśli go zabili...!

Rozdział 6

Za oknem błysnęło i na ułamek sekundy noc ustąpiła miejsca dniowi. Wciąż padało.

Rambo zwisał bezwładnie na metalowej ramie wspartej o ścianę. Twarz miał wycieńczoną z bólu, mięśnie zwiotczały od niszczycielskich ataków konwulsji. Nie wiedział, ile męczarni zdoła jeszcze wytrzymać, zanim

umrze.

Wyglądało na to, że Podowski podziela jego obawy.

Zatroskany podszedł bliżej.

Rambo zebrał wszystkie siły i dźwignął głowę. Widział jak przez mgłę, mimo to zobaczył jego usta rozciągnięte w szyderyczym uśmiechu.

- Świetnie. Ciągłe żyjesz. Imponujące. Jesteś silny. Silniejszego nigdy dotąd nie spotkałem.

- Uśmiezek zniknął mu z twarzy. - Lecz fakt pozostaje faktem: już ledwo zipiesz. I po co to wszystko? Czy warto poświęcać życie w obronie ludzi, którzy cię zdradzili? Nie widzę w tym żadnego sensu. Proszę, nawiąż z nimi łączność.

Ktoś gwałtownie otworzył drzwi. Podowski obrócił się na pięcie. Rambo popatrzył w tamtą stronę i zobaczył, jak do pomieszczenia wpada ociekająca deszczem postać. Nie. Doszedł do wniosku, że ledwo widzące oczy kłamią. Nie jedna postać. Dwie. Jakiś mężczyzna popychał przed sobą innego mężczyznę. Sierżant Tay i Banks. Tay prowadził go jak na smyczy, z tym że zamiast smyczy zadzierzgnął mu na szyi pętlę z cienkiego drutu. Wietnamczyk szarpnął za koniec drutu, choć nie było takiej potrzeby. Banks zacharczał.

- Sam widzisz, jaki jestem przyjacielski - rzekł Podowski. - Zorganizowałem małe spotkanie. - Dał znak Jaszynowi...

...który wstał zza stołu, gestem ręki kazał Tayowi odejść na bok, po czym brutalnie cisnął Banksem o ścianę po lewej stronie ramy łóżka.

Amerykanin jęknął i runął na podłogę jak szmaciana kukła.

- To cię skłoni do rozmowy i do posłuszeństwa dodał Podowski. - I zaoszczędzi bólu. Wkrótce się przekonasz.

Znów dał znak Jaszynowi, który wyjął z paleniska rozżarzony do czerwoności nóż. Trzymając go jak pochodnię, stanął przed ramą i powoli, bezlitośnie zaczął zbliżać jego czubek do oczu więźnia.

Od noża bił jaskrawy blask i gorąco. Rambo chciał odwrócić głowę.

Ale Jaszyn wyciągnął drugą rękę, chwycił go zjadliwie za podbródek i przytrzymał. Rambo spojrzał na rozgrzane ostrze. W oczach Jaszyna widział palące refleksy światła.

- Jaszyn ma dla ciebie pamiątkę z okazji naszego spotkania - rzekł Podowski.

Potężny zwiadowca natychmiast przytknął rozżarzony czubek noża do lewego policzka więźnia. Zasyczało.

Pomieszczenie wypełnił odór spalonego mięsa. Miotany koszmarnym bólem Rambo szarpnął się, ale nie krzyknął, wyobrażając sobie dymiące, trójkątne znamię wypalone na skórze.

- Nawiążesz z nimi łączność? - spytał Podowski. Nie? Jeszcze nie? Jaszyn, wydłub mu oko.

Rambo szarpnął się odruchowo, grzmotnął głową w sprężyny, gdy wtem Jaszyn nie wiadomo dlaczego puścił go i się cofnął.

Wtedy Rambo zrozumiał. Podowski nie miał na myśli jego oka! Nie, kazał oprawcy wydłubać oko Banksowi!

Sierzant Tay poderwał więźniowi głowę. Jaszyn podszedł bliżej.

- Skoro nie obchodzi cię własne życie - wyjaśnił Podowski - może zatroszczysz się o życie przyjaciela.

Jaszyn stanął przed Banksem i podczas gdy Tay ścisnął więźniowi głowę, zaczął zbliżać nóż do twarzy porucznika, kreśląc w powietrzu kółka. Kółka coraz to mniejsze i mniejsze. Świecące czerwono ostrze zbliżało się do prawego oka Banksa.

- Będziesz mówił - szepnął Podowski. - Powiesz wszystko.

Czubek noża był coraz bliżej oka.

Zrozpaczony Rambo szarpnął się na metalowej ramie.

- Tak - dodał zaczerwieniony z podniecenia Podowski. - Będziesz!

Nóż prawie dotykał gałki ocznej Amerykanina.

- Nic nie mów! - krzyknął porucznik. - Niech skurwysyny robią, co chcą!

Ostrze przysunęło się jeszcze bliżej. Miotając się wściekle na sprężynach, Rambo wyobraził sobie, jak oko za chwilę pęknie, jak tryśnie z niego parująca ciecz. - Tak? - spytał Podowski.

Rambo zwiśł bezwładnie i kiwnął głową. Jaszyn cofnął się. Tay zwolnił uchwyt i Banks upadł ciężko na podłogę.

Podowski wykrzywił wargi w uśmiechu.

- Znakomicie. Wreszcie jakiś postęp. Mądrość godna pochwały. Tylko głupiec umiera za przegraną sprawę. Albo skazuje na śmierć przyjaciela.

Podszedł do stołu i włączył radionadajnik.

- Nasi specjaliści ustalili częstotliwość. Na pewno znasz odpowiednie kody nadawcze. Tak?

Wściekły i posepny Rambo znów kiwnął głową. - Nie rób tego! - wrzasnął Banks. - Te skurwysyny

i tak nas...

- Zamknij mordę! - Tay kopnął go w twarz. Nieprzytomny porucznik runął na podłogę z rozciętymi wargami.

Rambo skrzywił się z bólu.

Iz trudem oderwał od niego wzrok.

Podowski wziął mikrofon.

- Podaś swoje nazwiska Powiesz, że zostałeś schwytyany i uznany za szpiega. Powiesz, że operacja zakończyła się fiaskiem, że tak samo zakończą się wszystkie inne operacje. Każesz im zaniechać wszelkich wrogich akcji. Zdemaskujesz ich zbrodnie wojenne. Zrozumiałeś?

Rambo znów skinął głową.

- Zrób to! - Podowski włączył mikrofon i podsunął go do wykrzywionych bólem ust więźnia.

Rambo oddychał jak po ciężkim biegu. Odezwał się po raz pierwszy od chwili, gdy wepchnięto go do tego pomieszczenia. Mówił głosem urywanym, wrogim i chrapliwym.

- Dwieście dwadzieścia pięćdziesiąt sześć. Tu Samotnik. - Musiał przełknąć ślinę, bo zaschło mu w gardle. Odkaszlnął. - Samotnik do Wilczej Nory. Odbiór.

Rozdział 7

Trautman wpatrywał się ponuro w mapę Tajlandii, Laosu...

...i Wietnamu, gdzie był teraz Rambo. Gdzie go porzucono. Gdzie musiał teraz przechodzić piekło. Jakie? Bóg jeden wie.

O ile jeszcze żył.

Personel wojskowy bazy i technicy spiesznie pakowali sprzęt, ładowali skrzynie do luków bagażowych odrzutowego Perigrine'a i do śmigłowca Augusta. Wkrótce miały przylecieć inne śmigłowce. "Pakujemy się i jazda stąd!" rozkazał Murdock. Posłuchali go, zwijali się jak w ukropie.

To jeszcze nie koniec, myślał pułkownik. Kiedy Wrócimy do Stanów, przygwożdżę mu dupę do ściany.

Pośród hałasu, jaki robili technicy pakujący sprzęt, usłyszał nagle słaby, chrapliwy głos dobiegający z radioodbiornika.

- Tu... dwieście dwadzieścia pięćdziesiąt sześć... Samotnik do Wilczej Nory. Czy mnie słyszysz? Odbiór?

Zapieкло go w żołądku. Odstawił z trzaskiem kubek z nie napoczętą kawą i odwrócił się do konsoli.

Głos z radioodbiornika poderwał nie tylko jego. Technicy, żołnierze, "Ericson, Doyle - wszyscy nagle zamarli ze wzrokiem wbitym w głośnik.

- Dwieście dwadzieścia pięćdziesiąt sześć, słyszę cię, słyszę! - wybelkotał radiooperator do mikrofonu. - Gdzie jesteś? Odbiór.

Trautman dostrzegł kątem oka jakiś ruch. Zerknął w tamtą stronę i w drzwiach drewnianej klatki zobaczył Murdocka.

- Co się tu dzieje, do diabła? - spytał Murdock. Dlaczego przerwaliście robotę?

- To Rambo - zameldował technik. - Zgłosił się Rambo.

Murdock aż się cofnął,

- Rambo? Nie, przecież to... To niemożliwe.

Rozdział 8

Zlany potem, z rękami wciąż przywiązany do metalowej ramy łóżka, Rambo znów przełknął ślinę i nienawistnym spojrzeniem obrzucił mikrofon, który Podowski przytknął mu do ust.

Ciszę w głośniku zakłócały tylko trzaski. I nagle...

- Słyszę cię, Samotniku. Podaj swoją pozycję. Odbiór.

Rambo nie zareagował.

Głos stał się bardziej natarczywy.

- Podaj swoją pozycję. Odbiór.

- Jeśli nie odpowiesz - szepnął Podowski - wyniosą cię stąd w pozycji horyzontalnej.

Podszedł do niego Jaszyn, kreśląc nożem kółka w powietrzu.

Rozdział 9

Trautman nie wytrzymał. Niecierpliwym ruchem wyszarpnął technikowi mikrofon i krzyknął:

- John, tu Trautman! Gdzie jesteś, do cholery? W głośniku zatrzeszczało.

- Johnny, zgłoś się!

Jeszcze silniejsze trzaski. Potem jęk. I chrapliwy głos...

To jego głos, stwierdził podekscytowany Trautman. To głos Rambo. Ale martwiło go, że mówi tak cicho, z takim napięciem.

...powiedział tylko jedno słowo.

Dwie sylaby.

- Murdock.

W hangarze zaległa jeszcze większa cisza. Technicy spoglądali po sobie marszcząc czoła. Stojący w głębi Ericson - pozornie obojętny na wszystko - zburzył zastygłe tableau, sięgając po piwo.

Ale Murdock stał jak sparaliżowany. Na jego twarzy malowała się mieszanina sprzecznych emocji.

Nerwowość. Zaskoczenie. Świadomość, że wszyscy na niego patrzą.

- Jest tutaj. - Trautman spojrzał na Murdocka zwężonymi oczami i pchnął mikrofon w jego stronę.

Murdock ujął go lekliwie. Zerkając nerwowo na wpatrujących się w niego podwładnych, wykrzesał z siebie krzywy uśmiech. Uśmiech faceta, który musi zjeść własne gówno, pomyślał pułkownik.

- Rambo? - zaczął Murdock, jakby ta rozmowa sprawiała mu szczególną radość. - Tu Przywódca. Cieszymy się, że żyjesz. Gdzie jesteś? Podaj swoją pozycję a natychmiast po ciebie przylecimy. Odbiór.

Trautmanowi chciało się rzygać z obrzydzenia.

Cisza.

Trzaski.

- Nie, Murdock... Cisza się przedłużała.

- ...to ja przyjdę po ciebie.

Ktoś gwałtownie wciągnął powietrze.

Murdock zbladł. Już się nie uśmiechał. Opuścił mikrofon.

Głos mu się trząsł. - Chryste...

Rozdział 10

Ty...!

Podowski był zbyt wściekły, żeby dobrać odpowiednie słowo na wyrażenie furii, jaka go ogarnęła. Z groteskowo rozszerzonymi oczami - okulary jeszcze tę groteskowość potęgowały - zamachnął się mikrofonem, żeby uderzyć więźnia w twarz, lecz nagle zmienił zamiar, skoczył do prądnicy stojącej obok radionadajnika na stole...

... i dzikim pchnięciem obrócił pokrętko.

Rambo poczuł gwałtowne, szarpiące uderzenie prądu i targany straszliwymi konwulsjami, całym ciałem grzmotnął w stalowe sprężyny.

Krzyknął.

I krzyczał bez końca.

Nie mógł przestać.

I wreszcie dotarł do najmroczniejszych obszarów własnego jestestwa. Do obszarów najgłębszych, rozlokowanych częściowo w umyśle, częściowo w piersi, a przede wszystkim w duszy. Były niczym czarna dziura, niezwykle zwarta i zagęszczona, utrzymywana w ryzach dzięki nieustępliwej sile.

Podowski przekręcił potencjometr jeszcze bardziej. Rambo zadygotał, zadrgał jeszcze szybciej, dostał jeszcze obrzydliwszych konwulsji, krzyczał jeszcze głośniej. I wtedy czarna dziura eksplodowała.

Rozdział 11

Z ręką na gałce potencjometru, którym stopniowo zwiększał natężenie prądu, Podowski obserwował spazmatyczne podrygi amerykańskiej świni wierzgającej na sprężynach łóżka. I nagle zdał sobie sprawę, że coś tu jest nie tak.

Możliwe, że nawet bardzo nie tak. Z doświadczenia wiedział, że natężenie prądu nie jest jeszcze na tyle duże, żeby wyzwolić w więźniu wzmożoną agresję. Bo krzyk torturowanego był gwałtowniejszy i przenikliwszy, niż mógł się spodziewać. ,

Innymi - i to bardzo łagodnymi - słowy wyglądało na to, że Rambo dostał szału. Jego szarpiące się i wijące ciało było niczym maszyna, nad którą urządzenia sterownicze utraciły wszelką kontrolę. Jego krzyk, a właściwie świdrujący uszy wrzask, przypominał wycie drapieżnika. Tak, wycie dzikiego zwierzęcia. Zwierzęcia straszliwie przestraszonego.

Zdenerwowany Podowski cofnął rękę z gałki potencjometru - dalej już nie można jej było przekręcić. Prawie zahipnotyzowany szaleńczym i ogłuszającym spektaklem, podszedł bliżej do rzucającego się ohydnie więźnia, który był teraz bardziej przerażająco niż najbliższe zwierzę. Stalowe sprężyny zaczynały się giąć, wyginać i potrzaskiwać pod wpływem opętanych ataków konwulsji, które miotają ciałem obrzydliwego Amerykanina.

Podowski zbyt późno uprzytomnił sobie, że natężenie prądu jest tylko bodźcem. Rambo po wielokroć ten bodziec spotęgował i wpędził się w tak zawziętą furję, że...

Pękły spawy. Wyskoczyły sprężyny. Podowski cofnął się odruchowo.

Za późno. Zobaczył, jak nagle uwolniona ręka mknie ku niemu niczym bosak.

Stał w kałuży wody spływającej z więźnia. I raptem poczuł...

- Nie!

...jak chwytą go prąd. Z ciała, które katował, prąd przeszedł w jego ciało i poraził serce. Kończyny zadrgały mu i zadygotały jak kończyny marionetki. Dostał wzvodu. Miał wytrysk. I drżące, klamrom podobne palce wpiły mu się w gardło.

Rozdział 12

Oszalały z wściekłości Rambo rzucił go na prądnicę. Ciało Rosjanina zaplątało się w przewody prowadzące do czarnej metalowej płytki na jego brzuchu. Przewody wyskoczyły z gniazd. Prąd litościwie przestał płynąć. Podowski grzmotnął w stół, przewrócił skrzynię generatora, lecz Rambo już nie zwracał na niego uwagi uwolnił szarpnięciem drugą rękę i odwrócił się do Jaszyna, który zaatakował go nożem.

Zaatakował zbyt ospale. Rambo zrobił błyskawiczny unik, chwycił z podłogi mikrofon ciśniony tam przez Podowskiego i grzmotnął nim Jaszyna w szczękę. Trysnęła fontanna krwi, posypały się wybite zęby. Cios odrzucił zwiadowcę na drugi koniec pomieszczenia.

Ale zostali jeszcze sierżant Tay i strażnik, którzy już unosili karabiny. Stali daleko od siebie i Rambo wiedział, że nie zdąży dopaść ich obu, zwłaszcza że...

Już zaciskali palce na spustach.

I nagle podłoga eksplodowała, rzygnęła ostrymi drzazgami. Wybuch odrzucił go na metalową ramę i sprężyny. Instynktownie zasłonił rękami oczy przed świszczącymi odłamkami drewna. Otoczony kłębam dymu słyszał, jak obozowa katownia rozbrzmiewa jazgotem długiej serii z kałasznikowa. Kiedy dym zaczął rzednąć, zobaczył, jak z dziury w podłodze wyskakuje Co, omiatając pokój lufą kałasznikowa. Podowski i Jaszyn byli nieprzytomni, krwawili. Strażnik zginął na miejscu. Tay uciekł, a przez otwarte drzwi, za którymi spływały kaskady deszczu słyszeli jego rozwścieczony krzyk - Tay wszczął alarm.

Błysnęło. Zagrzmiało.

Rambo wyrwał nóż z ręki oszołomionego Jaszyna. Co rzuciła mu łuk i kołczan ze strzałami.

I jakby szkolili się razem od miesięcy, podbiegli do okna. Co wyskoczyła pierwsza. Rambo za nią. I wtedy...

Rozdział 13

Znów błysnęło, a ścianę rzęsiwego deszczu rozłupał łuk ostrego światła - zapłonął reflektor.

Pędzili przez błoto do ogrodzenia, gnali przed siebie jak szaleni. Widząc, że smuga reflektora skręca w ich stronę, Rambo przystanął, błyskawicznie założył strzałę na cięciwę, napiął łuk i wystrzelił. Cięciwa rozprężyła się z metalicznym brzękiem, syknęła strzała. Gdyby jej lotki były zrobione z pierza, nie z plastyku, deszcz by je rozmiękczył i zwichrował, przez co trajektoria lotu zostałaby poważnie zakłócona. Lecz ponieważ zaprojektowano ją tak, a nie inaczej, pomknęła prosto do celu - trzasnęło i reflektor zgasł.

Powróciła ciemność.

Rozświecła ją tylko błyskawice. I rozbłyśki ognia z luf. Bo wszędzie słychać było jazgot broni automatycznej, a z tyłu dochodził ich jęśliwy świst kul siekających dżunglę.

Co odpowiadała krótkimi seriami z półobrotu.

Pędzili naprzód. Zapłonął inny reflektor, który szybko ich wymacał. W tej samej chwili niebo rozciął zygzak błyskawicy i niczym gorejący jezioro liznął jeden z baraków. Światła w całym obozie - reflektor, nawet żarówki w budynkach - zamrugały, przygasły, rozjarzyły się jaskrawo i... nastąpiła zupełna ciemność.

Ciemność absolutna.

Rozcinały ją tylko smugi pocisków świetlnych. Z wyfosforowanymi czubkami śmigają w stronę dżungli, lśniąc blaskiem pięknym i śmiertelnie niebezpiecznym. Stukot automatów był głośniejszy od grzmotu, który wstrząsnął całym obozem.

Dotarli do wewnętrznego ogrodzenia z luźnych zwojów drutu kolczastego. Rambo dźwignął jeden z nich, czując, jak kolce wbijają mu się głęboko w ciało.

Co przeczołgała się na drugą stronę.

Wtedy Rambo wpadł na lepszy pomysł - położył się na plecach, wsunął łuk pod zwój, pchnął go do góry, unosząc druty, i przepelznął pod kolczastą zaporą.

Podbiegli do drugiego ogrodzenia. Co przystanęła i pośród upiornych smug, jakie zostawiały za sobą świszające wokoło pociski, uniosła broń i poszatkowała kulami drewniany słup do którego przymocowano druty. Bryznęły drzazgi. Druty pękły z brzękiem i zwinęły się jak sprężyny.

Gdy przebiegali przez otwór, Rambo usłyszał świst kul chlaszczących drzewa przed nimi. Ekspłodowała kora, na ziemię opadał deszcz liści posiekanych jak konfetti.

Lecz oni byli już za ogrodzeniem.

- Jesteś zdumiewająca - wysapał, gdy pędzili przez wysokie poszycie.

Była wściekła, że gada, zamiast oszczędzać siły.

- Di di mau! - szepnęła. - Biegnij! Biegnij!

Smugi pocisków wykwiwały teraz po ich lewej ręce, siekając inną część dżungli.

Jest zdumiewająca, myślał gnając przed siebie. Naprawdę zdumiewająca.

Rozdział 14

Podowski wypadł przed barak. Z nosa i z ust ciekła mu krew. Rozjuszony jeszcze bardziej niż wtedy, gdy Rambo oszukał go podczas rozmowy z bazą, ogarnął wzrokiem chaos, jaki się przed nim roztaczał - błyskawice, smugi pocisków świetlnych, grzmot, miotające się cienie, wrzaskliwe i sprzeczne ze sobą komendy.

W blasku błyskawicy dostrzegł sierżanta Taya wymachującego rękami na wszystkie strony, tego sadystycznego idiotę, który w pełni zasługiwał na to, by odsiedzieć w tej zasranej dziurze każdą sekundę kary, na jaką skazali go przełożeni.

A gdzie był kapitan Vinh? Ten elegancki i dystyngowany Vinh, który stał ponad tym wszystkim/ który tak bardzo dbał o swój nienaganny mundur i marzył o przeniesieniu do Hanoi, gdzie do czarnej roboty miałby adiutanta, podczas gdy sam uwodziłby dziewczęta w kabinie zacumowanego w porcie sampana? Gdzie był teraz?

Pewnie bał się zamoczyć mundur i siedział w swojej kwaterze.

Matko Lenina!

Podowski zbiegł na dół. Buty zamlaskały w błocie, wraz z deszczem spływała mu z twarzy krew. W napadzie furii chwycił Taya za kołnierz.

- Znajdź go! Znajdź go, bo utopię cię w gównie! Ruszaj! Migiem!

Zaszokowany Tay zamrugał nieprzytomnie.

Podowski poczuł, że ktoś się koło niego przepycha. Jaszyn. Niebo rozcięła kolejna błyskawica i gdy zwiadowca otworzył usta, żeby coś powiedzieć, Podowski zauważył, że przednie zęby Jaszyna są wyłamane i wyszczerbione.

- A jak go znajdziesz... - Zwiadowca zadygotał z wściekłości.

Zdumiewające, pomyślał Podowski. On prawie w ogóle nie mówi!

- Jak go znajdziesz, to go zabij!

Tay wskazał swoim ludziom kierunek i głosem zdradzającym śmiertelne przerażenie wydał szczekliwe rozkazy.

Kiedy Wietnamczycy zniknęli w ciemności, Podowski pomyślał: Po jaką cholerę zadają się z tą bandą amatorów? Przecież mam swoich ludzi.

Obrócił głowę i w blasku błyskawicy zobaczył oddział rosyjskich żołnierzy stojących w równym szyku. Sztynno wyprostowane sylwetki, stężałe twarze, w rękach broń. Czekali na rozkazy.

Wiele lat temu Podowski oglądał kupiony na czarnym rynku film pod tytułem "M*A*S*H" z Donaldem Sutherlandem i Elliottem Gouldem w rolach głównych; film oczywiście amerykański, z typowo imperialistyczną obsadą. Jego treścią były przygody zespołu chirurgów

podczas amerykańskiej inwazji na Koreę. W jednym z epizodów główni bohaterowie zostają wysłani do Japonii, żeby zoperować serce synowi amerykańskiego generała. Wchodzą do szpitala w przepoconych panterkach, nie dbając o to, że przywleczonymi przez siebie zarazkami mogą zainfekować pacjentów i myśląc już o czekającym ich meczu golfa, o tej bezproduktywnej grze burżuazyjnych elit - do słusznie rozgniewanej pielęgniarki odzywają się w te słowa: "Jesteśmy specami z Dover." "Specami z Dover" - tak powiedzieli; cholera wie, co to miało znaczyć. "Chcemy szybko rozpruć tego dzieciaka, bo o drugiej musimy już być na polu."

Samolubni. Arogancy.

Lecz absolutnie przekonani, że są najlepsi.

Zawodowcy.

Myślał o tym nie dłużej niż sekundę, próbując zrozumieć swój stosunek do powierzonego mu oddziału.

Wnikliwie zlustrował żołnierzy i skinął głową. Tak. Po co mu Tay? Po co mu ten elegancik Vinh? Po co mu ta banda podrzędnych głupców?

Ma przecież swoich speców z Dover.

Odzyskawszy pewność siebie, zaczął wydawać rozkazy.

Nie omieszkał też zauważyć, że Jaszyn, oraz dwóch innych żołnierzy, pędzi już do śmigłowca.

Rozdział 15

Z bijącym z podniecenia sercem, przepojony radością z odzyskanej wolności, zygzakował przez mroczną dżunglę. Tuż za nim biegła Co. Dotarli do zbocza i chwytając się śliskich korzeni drzew, walcząc z deszczem, z błotem, z wciąż ześlizgującymi się nogami, z ciałem odmawiającym posłuszeństwa, wyteżali siły, by wdrapać się na szczyt.

Nagle Rambo zeszywniał. Usłyszał dudniący łoskot rotorów, a kiedy się odwrócił, ujrzał nad dżunglą dwa potężne słupy światła, omiatające wierzchołki drzew. Jaskrawością konkurowały z błyskawicami, a ryk silnika z przetaczającym się grzmotem.

Kucnąwszy na szczycie wzgórza, zlustrował wzrokiem zasnutą deszczem dżunglę u podnóża stoku.

I zobaczył, jak między drzewami migoczą światła latarek, jak pomykają to tu, to tam, jak czegoś szukają.

I usłyszał krzyki.

I oszalały terkot kałasznikowa, a zaraz potem rozpaczliwy kwik dzikiej świni. Kwik wkrótce ustał.

W strugach rozcinanego błyskawicami deszczu dostrzegł przechyloną sylwetkę potężnego śmigłowca. Musiał go pilotować jakiś szaleniec. Bo tylko pilot najbardziej zdeterminowany, pilot ogarnięty chorobliwą obsesją śmiałby wystartować w taką burzę i ruszyć w pogoń za zbiegami.

I nagle... Już wiedział, kto to jest.

Ten milczkowaty...

...kozacki zwiadowca.

Jaszyn...

Rozdział 16

...Kurczowo ścisnął drążek i skontrował pedałami sterów kierunkowych. Wielki, miotany wicherą śmigłowiec reagował ociężale, z wyraźnym opóźnieniem. Lekceważąc ryzyko przelotu nad dżunglą podczas burzy, Jaszyn,

choć wściekły, skoncentrował się i zdołał ustabilizować maszynę. Było ciemno. Wystarczył najmniejszy błąd, najdrobniejsze odchylenie od kursu, zbyt silny podmuch wiatru i płozy śmigłowca mogły zahaczyć o wierzchołek drzewa. Maszyna wykopyrtnęłaby się i Jaszyn zginąłby w kuli wszechniszczącego ognia.

Ale ryzyko nie miało znaczenia. Najważniejszy był zbiegły więzień i ten, kto pomógł mu uciec. Jego umysł wciąż przechowywał to nienawistne zdjęcie, tę krótką migawkę, na której więzień wybija mu zęby mikrofonem. Wstrząs wywołany ciosem powoli ustępował, lecz wyszczerbiony zębodół pulsował coraz bardziej rozdzierającym bólem. Jaszyn splunął krwią i zaklął. Czuł się tak, jakby wbito mu w dziąsła ostry kawałek szkła. Reflektory pod brzuchem śmigłowca omiatały dżunglę, a on wyteżał wzrok, żeby nie przegapić najmniejszego ruchu między drzewami. Z krzaków wybiegła dzika świnia. Dwóch wietnamskich żołnierzy ścigało ją, dopóki nie stwierdzili, że to nie zbieg. Jak spod ziemi wyrósł przed nimi Tay. Potrząsnął żołdakami i pchnął ich na stok wzgórza. Szybę kabiny zalewały strugi wody. Wznosząc się wyżej, zgodnie z ukształtowaniem terenu, Jaszyn dostrzegł innych Wietnamczyków wdrapujących się na zbocze - zadzierali głowy i osłaniali rękami oczy przed bijącym z góry światłem. Śmigłowiec wzniósł się jeszcze wyżej i Jaszyn widział teraz szczyt wzgórza. Wtem mimo ryku silnika usłyszał potężny grzmot. I raptem zdał sobie sprawę, że to wcale nie grzmot. To była eksplozja! Wybuch! Obrócił maszynę wokół własnej osi, spojrział w dół i w blasku reflektorów zobaczył...

...nogi. Jedna wisiała na krzaku. Druga leżała w kałuży. Rozejrzał się i odnalazł wzrokiem ciało, do którego nogi należały. Ciało Wietnamczyka. Leżał na plecach. Oczy

miał wybałuszone, usta szeroko rozwarte. Krzycząc bezgłośnie w szoku, stracił przytomność; możliwe, że umarł. Zebrała się wokół niego grupka żołnierzy. Inni, ci mądrzejsi, pędzili naprzód. Nadbiegł Tay. Zaczął wrzeszczeć na maruderów.

Jaszyn skierował Hueya z powrotem nad stok i poleciał wzdłuż jedyne go parowu wpadającego do mrocznej doliny za wzgórzem. Na miejscu uciekiniera, myślał, wybrałbym ten parów, tę dolinę. Żeby móc swobodnie kluczyć. Żeby nie dać się zapędzić w pułapkę. Żeby drogi nie zagroziły mi te urwiste skały.

Ale ja mogę dotrzeć do doliny przed nimi.

I walcząc z kolejnym podmuchem wichury, spychając śmigłowiec w ciemność i burzę szalejącą nad parowem, odetchnął z niecierpliwym podnieceniem.

Tak, kiedy Amerykanin wyjdzie z parowu, czeka go niespodzianka.

Podobna - z tym, że o wiele milsza - niespodzianka czekała żołnierzy, którzy zdobyli południowowietnamskiego Hueya w 1975 roku. Niespodzianką tą był jeden z superkarabinów maszynowych, w których tak lubowali się Amerykanie.

Tak, myślał Jaszyn. Mam tu Smoka...

Rozdział 17

Z trudem łowiąc oddech, wyczerpana Co osunęła się na wielki głaz sterczący z dna parowu. Potem kucnęła, gotowa zniknąć w miotanym burzą poszyciu, gdyby światła śmigłowca przesunęły się w tę stronę,

Rambo przystanął, potem ukląkł koło niej. On też ciężko dyszał. Wystawił twarz na deszcz, otworzył usta i straszliwie spragniony, pił długo. Tortury, jakie przeszedł w obozie, pozbawiły go sił, wysączyły z niego cały zapas energii. Bolały go wszystkie mięśnie, wszystkie stawy. Do biegu zmuszał go tylko instynkt przetrwania.

I poczucie wolności, jej przepych i dostatek.

Jednak chociaż bezgranicznie pragnął tę wolność zachować, dobrze Wiedział, że jeśli nie zrobią krótkiego odpoczynku i pobiegną dalej, zupełnie wyczerpany, nie zdoła się przed nikim obronić.

Poza tym musiał pomyśleć o Co. Uratowała mu życie. I jeśli chciała odpocząć, to będą odpoczywali.

- Nie miałem okazji... - zaczął oddychając z widocznym trudem.

- Żeby?

- Żeby ci podziękować.

- Pewnie - odrzekła z dumą. - Gdyby nie ja, poszatkowałiby ci tyłek aż miło.

Parsknął śmiechem, kiwnął głową,

- Tworzymy niezły zespół. Jak wysadziłaś podłogę? Wskazała kołczan ze strzałami.

- Tym. Materiałem wybuchowym i detonatorem. Błysnęło. Gdy dobiegł go rytmiczny łopot wirników

śmigłowca, gdy daleko w dole ujrzał światła bijące spod brzucha oddalającej się maszyny, odruchowo pociągnął ją za krzewy.

- Paskudnie wyglądasz - zauważyła. - Rany są zakażone.

Wiedział o tym, lecz żeby dodać jej otuchy, tylko wzruszył ramionami.

- Nie, to ciężkie rany. Potrzebujesz lekarstwa! Doktora. Martwię się. Może nie jesteś taki odporny, jak myślisz;

Myślał przez chwilę.

- Może i nie.

- Co teraz zrobisz? Spróbujesz dostać się do Laosu? Albo do Tajlandii?

Powrócił gniew.

- Tak. Mam tam do załatwienia pewną sprawę.

- A potem do Ameryki?

- Trudno powiedzieć... Jak załatwię tę sprawę, mogę tam być niemiłe widziany.

- Ale jak tam polecisz, to...

- To co?

- Weźmiesz mnie z sobą? Rambo, daję ci jeszcze jedną szansę. Ożeń się.

- Nie znasz mnie.

- Znam cię wystarczająco dobrze. Weź mnie do Stanów Zjednoczonych. Zobaczę synka, Nguyena. I mego brata. Mam dyplom, może będę uczyć ekonomii. Kupię sobie Cadillaca. I będę oglądać "DaMas".

Mimo okoliczności, znów parsknął śmiechem. Lecz w świetle błyskawicy zobaczył, że na jej twarzy maluje się szczerza i pilna potrzeba. Spowaźniał.

- Uratowałaś mi życie. Chcesz jechać do Ameryki? Stanowczo kiwnął głową. - To pojedziesz.

- Robisz dobry wybór.

- To cały ja. Świetny ze mnie facet.

Odwrócił się gwałtownie w stronę krzyków dochodzących ze zbocza nad nimi. W gęstwinie poszycia migotały światła ręcznych latarek.

- Lepiej ruszajmy - mruknął.

Gdy przemykali przez czarny, zacinający deszcz, kierując się chyłkiem w dół parowu, znów przygnębił go fakt, że Wietnamczycy tropią go tak umiejętnie. Poprzedniego dnia, gdy pędzili za nim od strony rzeki, stosował przeróżne sztuczki, żeby ich zmylić albo przynajmniej spowolnić pościg. Żeby nie zostawiać za sobą śladów, brodził strumieniami. Zastawiał pułapki - zaostrzone kije bambusowe, które wyskakiwały z ziemi i wbijały się w ścigających jak pał w skazańca. Gałęziami i liśćmi maskował zdradliwe "oczka" na bagniskach, żeby wessały ich w głąbinę.

Nie wystarczyło. Żołnierze nieugięcie szli za nim.

Szlag by to. Musieli mieć znakomitego tropiciela.

Niewykluczone, że najlepszego, jakiego kiedykolwiek spotkał.

Rozdział 18

Tay powstrzymał uśmiech. Tak, myślał kierując światło latarki na grząską od deszczu ziemię. Mimo coraz głębszych kałuż, dostrzegł w błocie niewyraźny ślad zamazany odcisk buta. Nie zauważyłby tego żaden z tych głupców, którymi dowodził, żaden z nich poprawnie by tego śladu nie zinterpretował.

Lecz on go zauważył. Tak samo jak dziesięć kroków dalej zauważył leciutko odgiętą łodygę liścia drzewa gumowego. Nasączony deszczem liść był tak elastyczny, że nie złamał się, gdy Amerykanin i jego wspólnik tędy przebiegali. Wrócił do położenia pierwotnego, zacierając za uciekinierami prawie wszystkie ślady. Wszystkie z wyjątkiem jednego: zdradziła ich leciutko zmarszczona, jakby zagnieciona plamka w połowie łodyżki. Tak, ktoś tędy przechodził, co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

Po chwili zobaczył kępkę zeschniętych liści, na których

ktos się poślizgnął. Ci głupcy, ci biegnący za nim durnie, uznaliby, że liście wyglądają tak samo jak inne liście leżące wokół. Ale nie on. Bo on - podniecony i dumny ze swych umiejętności, w końcu pozwolił sobie na uśmiech - bo on zauważył, że kałuża wody stojąca pośrodku kępki, na odsłoniętej nieostrożnie ziemi jest nieco płytsza niż kałuża w podobnym zagłębieniu koło krzaka rosnącego nie opodal. Deszcz nie zdążył jej napęcznieć. Dlaczego? Istniało tylko jedno wytłumaczenie - to zagłębienie zrobił ktoś, kto niedawno tędy przechodził.

Tak, niedawno. Wyszczrzył zęby w pełnym nienawiści uśmiechu. Bardzo niedawno. Uciekinierzy byli o krok.

Już niedaleko. A gdy ich dopadnie, Amerykanin zostanie zabity - zgodnie z rozkazami kozackiego zwiadowcy. Ale, myślał spiesząc naprzód z latarką w rękę, zabity powoli Tak, z rozkoszną powolnością.

Bo przecież jeszcze nie obdarłem go do końca ze skóry, nie miałem okazji.

I użyję jego noża.

Kiedy lata temu Rambo po raz pierwszy uciekł z obozu, Tay ścigał go jak szalenię przez trzy długie dni. Paskudne było już samo to, że Amerykanin zdołał mu umknąć. Jeszcze gorsze to, że umknął mu, choć był osłabiony i schorowany.

Łatwy przeciwnik. Przynajmniej tak uważali przełożeni Taya. W pamięci zawziętego sierżanta wciąż pobrzmiwało palące echo zniewag, jakich się wtedy nasłuchiwał. A kiedy doszły do nich słuchy, że zbieg zdołał dotrzeć do USA, gdzie za ucieczkę z obozu dostał najwyższe amerykańskie odznaczenie, zniewagi stały się jeszcze gorsze, a utrata twarzy trudna do zniesienia. Zdegradowano go do rangi szeregowego. Dalszą karą był rozkaz, wedle

którego miał pozostać w służbie więzienniczej i pełnić ją w tym diabelskim zakamarku dżungli.

Lecz Tay był człowiekiem cierpliwym.

I pracowitym.

Znów dochrapał się stopnia sierżanta. Co ważniejsze, zdecydowawszy, -że podobna hańba nie może się już powtórzyć, dostał obsesji na punkcie technik tropienia. W jakimkolwiek rejonie kraju przyszło mu stacjonować a rejonów tych było wiele, gdyż więźniów często przenoszono z miejsca na miejsce - we wszystkich okolicznych wioskach wyszukiwał najlepszych tropicieli i siłą wyduszał z nich tajniki zawodu.

Bo na Buddę, już nigdy nie straci twarzy. Nie. Przenigdy. Gdyby kiedykolwiek miało dojść do następnej ucieczki i gdyby Tay miał dowodzić grupą pościgową, zbieg zostałby na pewno schwytany.

Być może wtedy zrehabilitowałby się na tyle, żeby dostać przeniesienie. Kto wie, może przenieśliby go nawet do Miasta Ho Szi Mina, które podczas wojny nazywano Sajgonem i które stało się symbolem krańcowej dekadencji? Ano właśnie. Po tym koszmarnym, nie kończącym się okresie służby bardzo pragnął się w niej rozsmakować.

Widząc kolejny, potem jeszcze jeden i następny ślad dwóch zbiegów, którzy uciekali w deszczu, zmierzając w stronę mrocznego parowu, niemal się roześmiał z sadystycznej radości.

Bo to on, ten Amerykanin, zrujnował mu karierę.

A teraz ten sam Amerykanin daje mu szansę na jej odbudowanie.

Przez jedną niesamowitą chwilę, gdy błyskawica rozcięła niebo i ciężko zadudnił grzmot, wydawało mu się, że znów jest na wojnie. Lecz choć Wietnam tę wojnę wygrał, on znalazł się w szeregach pokonanych.

Tak więc;podjmując swoją prywatną wojnę, wreszcie będzie mógł zwyciężyć. Jak jego kraj.

Rozdział 19

W ciąż lało jak z cebra, ale już wstawał świt. Pędząc przez krzewy i zarośla, Rambo dostrzegł w szarówce ich zarys. Zaczął też dostrzegać sylwetki drzew, widzieć zwartą, skłębioną dżunglę wokół nich.

Biegąca tuż obok Co zerknęła na niego nerwowo. Nie musieli nic mówić. Wraz z powoli ustępującą ciemnością tracili przewagę nad przeciwnikiem. Żołnierze przebijający się przez dżunglę hałasowali coraz bliżej. Kiedy rozwidni się na tyle, że będą mogli zlokalizować uciekinierów..

Widoczność była coraz lepsza, teraz widzieli już nawet deszcz, monotony i przejrzystoszary. Rambo dostrzegł przedmioty odległe o trzy metry. O cztery i pół metra. O sześć metrów.

I kiedy spomiędzy drzew wypadli na piętnastometrowej szerokości polankę - bo już na taką odległość teraz widzieli - niewiele brakowało i by przystanął. Odruchowo napiął łopatki.

Wzdłuż kręgosłupa poczuł mrowienie. Otwarta przestrzeń. Poczuł się zagrożony, chciał czmychnąć z powrotem między drzewa i kryjąc się za nimi, okrążyć polankę.

Lecz Co pokonała już jedną trzecią odległości dzielącej ją od przeciwległego skraju.

Nie chcąc zostawiać jej samej, Rambo przyspieszył kroku.

I nagle ku swemu przerażeniu usłyszał świszczący

łopot wirników i warkot potężnego silnika. Łump-łumplump-łump - Huey był coraz bliżej, leciał w ich stronę.

Krzyknął, żeby wracała. Nie posłuchała go, była już w połowie drogi. Musiał, musiał jej pomóc, więc pędził jak szalony.

Huey. Wychynął zza drzew.

Ryknął głębszym, pełniejszym i głośniejszym rykiem. Sześć luf połączonych ze sobą w układzie Gatlinga zawirowało z obłąkaną szybkością i w polankę rzygnęła struga pomarańczowego ognia.

Jezu, pomyślał Rambo.

Huey miał na pokładzie Smoka.

Rozdział 20

Pędząc w stronę polanki, ze wzrokiem utkwionym w dwóch rozpaczliwie biegnących postaciach, z których jedna - nie miał co do tego żadnych wątpliwości - była ściganym Amerykaninem, Jaszyn zacisnął rękę na drążku sterowniczym, oddał go lekko i poczuł, jak żołądek podjeżdża mu do gardła. Śmigłowiec opuścił pysk i zaczął obniżać lot. Jaszyn był tak skupiony, że zagryzł dolną wargę...

I w tym samym momencie - podniecenie zaćmiło ból, przypomniał sobie, że już nie ma jej czym zagryzać, bo tam, gdzie rósł niegdyś ząb, sterczały paskudnie wyszczerbione resztki.

Z dziką złością wcisnął spust karabinu.

Czekał - udając, że przeszukuje dolinę - aż cel wyjdzie z parowu.

Był przebiegły.

Tak. Przebiegły i jakże cierpliwy. Czekał, aż staną u wyjścia z parowu...

By wreszcie się na nich zemścić.

Rozdział 21

Smok.

Choć widział go w akcji wiele razy, nie potrafił się do niego przyzwyczaić, nie umiał przywyknąć do prawie niepojętej mocy, jaka z niego biła. Strach zmuszał nogi do jeszcze szybszego biegu, odległość między nim a Co nieustannie malała i raptem... Wyglądało to tak, jakby ziemia po jego prawej ręce nagle eksplodowała. Chryste...

Boże. Hałas był przerażający. Smok. Jedna z najlepszych broni przeciwko celom żywym, jaką kiedykolwiek skonstruowano. M-134 Minigun firmy General Electric ("Naszym Najważniejszym Produktem Jest Postęp") potrafi wystrzelić 6000 pocisków kalibru 7.62 mm na minutę. Sześć tysięcy pocisków! ~~~

To jeszcze nie wszystko. Ci, co go zaprojektowali wyraźnie nie usatysfakcjonowani faktem, że zdolność rażenia broni przerasta wszelkie wymagania pola walki zadbali również o fajerwerki. Co piąty pocisk zastąpiono pociskiem smugowym, dlatego seria z M-134 Minigun była niczym słup zwartego ognia rozciągającego się między śmigłowcem a ziemią.

Huk, jaki temu towarzyszył, nie przypominał jazgotu zwykłego karabinu maszynowego. Nie, przypominał ryk przetaczającego się grzmotu, przetaczającego się nieustannie, bez końca, był jak ryk prehistorycznego potwora dyszącego płomieniem, jak ryk smoka, który zionie ogniem długo i potężnie.

Dlatego żołnierze ukuli dla niego ironiczną nazwę: Magiczny Smok.

Zdawało się, że jego ogień zmiecie z powierzchni ziemi całą polanę. W powietrze tryskały fontanny mokrej trawy, poszatkowanej i ubitej jak zielona piana w kuchni obłąkanego kucharza. Kawały błota strzelały na wysokość ramion, były niczym chmura siekącego twarz pyłu.

Co wciąż biegła.

Rambo dogonił ją i ramię w ramię pędzili w stronę drzew po drugiej stronie polany.

Huey śmignął nad nimi i - lump-lump-lump-lump zawrócił, przechylony w karkołomnym zakręcie.

Smok odetchnął ponownie. I znów rzygnął strugą grzmiącego ognia.

Rambo pędził ile tchu w piersi. Pnie rosnących przed nim drzew zmieniały się w szczapy na podpałkę. Liście - w zielony proch. Krzaki - w brązową mgiełkę. Pociski smugowe świszczą nad nim jak pomarańczowe żądła, które zrywały z gałęzi pnąca, a same gałęzie roztrzaskiwały w pył.

Śmigłowiec zawrócił jeszcze raz, lecz Rambo był już między drzewami. Nawet w deszczu widział potworny cień maszyny. Lump-lump-lump-lump!

Smok wróci, Rambo dobrze o tym wiedział. Wróci, buchnie ogniem i spali cały skraj polany. Dlatego musieli biec dalej, musieli szukać schronienia w głębi dżungli.

Raptem uświadomił sobie, że...

Nie ma przy nim Co.

Ani przy nim, ani tuż za nim.

Co była na skraju polanki!

Pełen lęku zawrócił i wtedy ją zobaczył. Leżała twarzą do ziemi, z głową w zaroślach. Korpus i nogi spoczywały na otwartej przestrzeni.

Łump-łump-łump-łump!

Nadlatywał Smok.

Nie!

Zobaczył krew na jej ubraniu, straszliwe rany na plecach i z sercem walącym tak mocno, jakby biło tuż za jego uszami, popędził przed siebie. Błyskawicznie zarzucił na plecy łuk i kołczan ze strzałami, otoczył ramieniem jej pierś, drugim uda i dźwignął ją z ziemi. Palce spłynęły mu krwią. Poczul, że sterczą między nimi wystrzępione skrawki ciała.

Nie! Chciał krzyknąć, ale nie mógł tracić czasu. Musiał stamtąd uciec, zanim...

Hurrrb!

Wisząc dokładnie naprzeciwko miejsca, gdzie Rambo wpadł między drzewa, Smok zionął ogniem, obracając w perzynę skraj polany.

Rambo nigdy w życiu nie biegł tak szybko, tak rozpaczliwie i desperacko. Pędził przez deszcz, przez krzewy, przez zarośla, próbując odbiec jak najdalej.

Kule nawet go nie drasnęły, lecz siłą, z jaką uderzały w pnie drzew, wrywała z nich całe wiązki kłujących drzazg, ciskała mu je w plecy...

By wreszcie go powalić.

Upadł.

Wbił łokcie w ziemię, żeby nie przygnieść Co, żeby mogła swobodnie oddychać.

Chociaż ziemia rozmiękła od deszczu, poharatał je do krwi.

Spełznął z jej ciała jak wąż i oblepiony błotem, zlany krwią i deszczem rozpraszonym przez konary drzew, powłókł Co w głąb dżungli.

Po jakimś czasie zległ. Znieruchomiał.

tu Smok był bezsilny. Takiej gęstwiny ogniem nie przebiję.

Łump-łump-łump-łump!

Czatował tam, zły i sfrustrowany.

Wziął Co w ramiona i przytulił. Krew sączyła mu się na brzuch i na nogi.

Zamrugła. Zadrzała.

- Jesteś numer jeden, Rambo.

Kołysał ją, rozpaczliwie próbując przelać w nią swoje życie, próbując ją do życia zmusić.

Cierpienie wykrzywiło mu twarz tak mocno, że poczuł bolesny skurcz mięśni.

- Nie Rambo. John! Mam na imię John!

Spojrzała na niego zamglonymi oczyma. Dostrzegł w nich zdumienie.

- To nie boli. Dlaczego? - Oddychała z coraz większym trudem. - Dlaczego nie...?

Zwiotczała mu w ramionach. Wtedy załkał.

- Jesteś dobrym człowiekiem.... John. Dobrym. Świetnym... Nie zapomnisz mnie?

- Nie. Nigdy. I...

...umarła. Tulił do wiecznego snu zbyt wielu żołnierzy, zbyt wielu kolegów i przyjaciół, żeby nie wyczuć tego pustego, bezwładnego, ciężaru, jakim jest ciało człowieka, gdy opuści je dusza.

Bo zostaje samo mięso.

Brzydkie.

Pozbawione godności.

Mięso.

Martwe mięso.

Zaczął krzyczeć. Ze wszystkich sił, jakie zdołał z siebie wykrzesać.

Rozdział 22

Czy naprawdę pan myśli, że dam się zastraszyć, pułkowniku?

Rozwścieczony Trautman chodził nerwowo przed biurkiem. Murdock poprawił okulary, przerzucił kilka teczek z meldunkami, po czym przechylił lampę, żeby lepiej widzieć.

Trautman spojrzał na niego z góry i wypalił:

- Za godzinę grupa ewakuacyjna ma być gotowa do lotu.

Murdock popatrzył na niego, jakby nie wierzył własnym uszom.

- Ma być gotowa do...? Pan mi wydaje rozkazy? Pułkownik, ryzykuje pan karierę zawodową, rzuca pan na szalę swoją reputację, nawet byt swojej rodziny. Zdjął okulary i rozbawiony zamrugał. - Czy pan naprawdę uważa, że warto to wszystko dla kogoś poświęcić?

Trautman wyprostował się.

- Tak. Dla niego warto.

Murdock rozdziawił usta, Zabrakło mu słów.

- Wycofuję pana ze składu grupy operacyjnej. To jest bezpośredni rozkaz, panie pułkownik.

Trautmana ogarnęła furia. Gotów był sukinsyna udusić własnymi rękami.

- Da mi pan grupę ewakuacyjną, czy mam to załatwić z pominięciem drogi służbowej?

Dziwne ale Murdocka to rozbawiło. Ba! Nawet się roześmiał.

- Pan czegoś tu chyba nie rozumie. To ja wydaję rozkazy, pułkownik. Pan jest tylko nędznym trybikiem. - Machnął ręką w stronę Ericsona i Doyle'a. - A my

jesteśmy maszyną. - I nagle znudzony zakończył: - Ericson, niech go pan aresztuje. Pułkownik nie ma prawa opuszczać bazy.

Na rozkaz Murdocka zareagował nie tylko Ericson, ale i Doyle: wstali obaj. Doyle, ten prawdziwy szaleniec, trzymał rękę na kaburze.

Trautman spojrzał na tkwiącą w niej czterdziestkępiątkę.

Po czym, ledwo nad sobą panując, obrócił się powoli w stronę Murdocka.

- On nie miał żadnych szans, prawda? Od samego początku.

Murdock wzruszył ramionami.

- Cóż, sam pan powiedział, pułkownik. Pański chłopak wrócił do domu.

Rozdział 23

W szarówce wczesnego świtu Tay usłyszał ryk Smoka.

Łump-łump-łump-łump. Mignął mu nad wierzchołkami drzew, a potem zobaczył, jak wisząc nieruchomo w powietrzu, zionie ogniem w skraj siekanej deszczem polany. Tay czuł, że zdobycz jest blisko i przeszedł go dreszczyk miłego podniecenia.

Teraz zobaczył go wyraźnie. Śmigłowiec wisiał nad przeciwległym brzegiem polany, chłoscząc ziemię setką pocisków na sekundę. Zdawało się, że skraj dżungli pęka, rozdarty ognistym podmuchem.

A tuż pod stopami zauważył dwie ścieżki wydeptane w wysokiej do kolan trawie - Amerykanin i jego współnik pędzili tędy przez polanę. Podekscytowani żołnierze przystanęli z tyłu. Tay ruszył ostrożnie naprzód. Nie, nic nie wskazywało na to, że uciekinier wrócił po swoich śladach do dżungli. Wszystkie źdźbła trawy pochylały się w tę samą stronę, w stronę przeciwległego skraju polany, gdzie Smok rzygał kulami w las. Nawet gdyby więzień i jego współnik zawrócili, na przygniecionej trawie odcisnęłyby się delikatne, acz zdradliwe ślady. Nie, pobiegli prosto przed siebie, a widok rozjuszonego Smoka potwierdzał, że muszą być niedaleko.

Tay dotarł na środek polany. W tym miejscu trop się urywał. Zatarł go straszliwy gniew Smoka, ale to nie miało najmniejszego znaczenia, bo kierunek pościgu był jednoznaczny - wystarczyło spojrzeć na śmigłowiec.

Żeby go przez pomyłkę nie zabili, sierżant nawiązał łączność radiową ze śmigłowcem, powiadomił Jaszyna o nadejściu naziemnej grupy pościgowej i Smok przestał dyszeć. Omywany strugami powietrza bijącymi spod rotorów, Tay minął rozsiekany kulami skraj polany i odnalazłszy trop, zagłębił się w dżunglę.

Lecz cóż to? Ślady w błocie były głębsze. Poza tym teraz widział tylko pojedynczy trop.

Serce mu drgnęło, gdy zobaczył krew. Świeżą krew. Jeszcze nie rozcieńczoną deszczem.

Któryś z nich oberwał i teraz niesie go ten drugi ślady sugerowały, że pewnie ten Amerykanin.

Oczarowany pościgiem i bliskością zdobyczy, Tay pobiegł naprzód. Serce drgnęło mu po raz drugi, gdy

na ziemi wypatrzył wgłębienie, gdzie więzień upadł wraz ze swym ciężarem. I znów zobaczył krew. Tu było jej więcej.

Znacznie więcej.

I jeszcze tam! Nieco dalej odnalazł miejsce, gdzie zbieg zaczął się czołgać, wlokąc za sobą współnika.

Już niedługo. Tay był rozczarowany. Rzecz okazała się śmiesznie łatwa.

Rozdział 24

Rambo klęczał nad mogiłą.

Dźwignąwszy Co z ziemi, jak w transie niósł ją przez dżunglę. Aby dalej. Aby głębiej. Jej kruche ramiona żałośnie zwisały ku ziemi. Gdy znalazł miejsce, które, jak sądził, na pewno by się jej spodobało - było osłonięte głazami i porośnięte kępami orchidei śmierci, o których tyle mówiła... wczoraj rano? Dwieście lat temu? - zaczął kopać grób. Początkowo nożem, a gdy stwierdził, że kopie za wolno, począł rozdrapywać ziemię rękami. Wiedział, że ryzykuje, że grzebiąc Co, traci bezcenny czas. Miał to gdzieś. To ona, to Co była bezcenna i postanowił zrobić wszystko, żeby drapieżniki nie pastwiły się nad jej zwłokami.

Kopał dopóty, dopóki nie natknął się na warstwę splątanych korzeni. Dalej kopać nie mógł. Wtedy złożył jej ciało do mogiły. Delikatnie i z należną czcią.

Już miał ją przysypać, gdy pod wpływem nagłego impulsu zdjął z jej piersi medalionik ze złotym Buddą i zawiesił go sobie na szyi.

Potem wyciął z jej munduru podłużny kawałek materiału i z wielkim skupieniem, niczym kapłan przywdziewający rytualne szaty, obwiązał nim sobie czoło.

Dopiero wtedy zasypał mogiłę. Otulał ciało mokrą ziemią, zwlekając do ostatka z przysypaniem twarzy, bo

wyobraził sobie, co czuje nawet martwa twarz, gdy oblepia ją błoto. Gdy ziemia pochłonęła jej piękne oblicze, naniósł na mogiłę głazów, a głazy przykrył dzikimi pnączami, żeby zakamuflować miejsce pochówku.

I znów ukląkł, prawie jak do modlitwy.

Lecz z łukiem i kołczanem na plecach, uwalany błotem dziewiczej dżungli, które przylgnęło mu do włosów, do twarzy, do piersi i ramion, czuł się bardziej wojownikiem niż kapłanem.

Wojownikiem z odległych miejsc.

Z dawnych czasów.

Gdy to wszystko się zaczęło.

By trwać po dziś dzień.

Deszcz zalewał mu oczy i Rambo widział jak przez mgłę, jednak po chwili zdał sobie sprawę, że to nie deszcz zamazuje mu widok, lecz łzy. W obozie, gdy go torturowano, gdy krajano go jego własnym nożem i katowano prądem, też płakał. Ale tamte łzy były bezwiedną, nie kontrolowaną reakcją na ból.

Natomiast te były inne.

Bo wywołane smutkiem.

Smutek. Myślał, że już nie umie się smucić.

Wstał. Zacisnął pięści.

Rozłożył muskularne ramiona.

Wzniósł do burzliwego nieba udręczoną twarz. I krzyknął, aż rozboleły go struny głosowe, aż napięły się jak węzłowate rzemienie. Krzyknął i krzyczał coraz głośniejszym, coraz potężniejszym głosem.

Nie mógł przestać.

Lata frustracji uwolniły dławioną furję. Pierwszy raz przybył tu nie z własnej woli. Nie prosił się o to. Kazano mu tu przyjechać. Przyjechał, ponieważ inni ludzie mieli ku temu swoje powody - ludzie, którzy zasypiali z pełnymi brzuchami na czystych prześcieradłach. To nie była moja wojna, myślał. Mimo to walczyłem za nich.

I stałem się dla nich niewygodny, bo wiedzieli, że po drodze było zbyt wiele kłamstw, a kłamstwo naprawić można udając, że się nie skłamało. Więc udawali, że mnie nie ma, że nigdy mnie nie było. Inni zaś nazywali mnie dzieciobójcą.

Za drugim razem też nie chciałem tu przyjeżdżać. Ale powiedzieli, że chcą po sobie posprzątać, naprawić swoje błędy. Poza tym ktoś musiał wyciągnąć stąd tych więźniów, bo ci, co sypiają na czystych prześcieradłach, na pewno by ich stąd nie wyciągnęli. Więc walczyłem za nich po raz drugi i znów skłamali, robiąc wszystko, co tylko możliwe, żebym tej wojny nie wygrał. I znów udają, że mnie nie ma.

Dość już walki za innych. Koniec z cudzymi wojnami.

Tym razem będzie to moja własna wojna.

I tym razem zwyciężę, bo nikt mnie od tego nie powstrzyma.

W oddali słyszał dudniący łopot wirników śmigłowca, znacznie bliżej - żołnierzy przebijających się przez dżungle.

Dobrze, pomyślał, a z oczu, biła mu wściekłość. Potem spojrzął na mogiłę i zagościł w nich smutek. Dobrze. Chcecie walczyć...

Będziemy walczyć.

I zaczęła się wojna.

VII – STREFA ŚMIERCI

Rozdział 1

Już niedługo, myślał zachwycony Tay, pędząc przez dżunglę. Odległość między błotnistymi odciskami butów coraz bardziej malała, co jest nieomylną oznaką zmęczenia. Poza tym ślady były zamazane na czubkach, jakby Amerykanin coraz bardziej powłóczył nogami. Jest osłabiony torturami, myślał Tay, i bez wątpienia zaraz padnie ze zmęczenia, zwłaszcza że cały czas dźwiga tego drugiego. Za kilka minut polowanie się skończy.

Może już za kilkanaście sekund.

Ale trzeba zachować ostrożność. Tak, tak. Nawet śmiertelnie wyczerpane zwierzę potrafi stawić krótki opór. Nie ma potrzeby kończyć tej zabawy tak szybko. Można by ją nawet nieco przedłużyć, dla sportu.

Uniósł rękę, dając żołnierzom znak, żeby przystanęli i, zafascynowany polowaniem, odwrócił się do nich, by wyjaśnić konieczność zachowania ostrożności. Nagle zmarszczył brwi. Było ich o jednego mniej, niż myślał. No tak, oczywiście. Na urwisku niedaleko obozu jeden wpadł na minę i rozerwało go na kawałki. Ale przecież o tym wiedział, przecież wziął na to poprawkę.

Powinien mieć dziesięciu ludzi.

A miał dziewięciu.

Jeszcze jedna mina? A może któryś upadł i skręcił sobie nogę? Albo zabłądził w ciemności?

Niedługo się zjawi. A wtedy Tay pokaże mu, co znaczy stracić twarz.

Raptem zamrugał. Był pewien, że przez ten deszcz oczy płatają mu figla. Z piersi stojącego najbliżej żołnierza sterczał jakiś przedmiot.

Patyk.

Strzała.

Krew.

Żołnierz upadł, lecz w tej samej chwili podobna strzała utkwiała w piersi innego żołnierza.

Spanikowany Tay runął na ziemię i słysząc wkoło wrzaski podwładnych, zaczął szukać schronienia.

Krótki syk. Trzeci żołnierz. Upadł gapiąc się głupkowato na drzewce sterczące mu z piersi.

Już zaczęli strzelać. Jazgotliwa palba kilku automatów AK-47 ogłuszyła Taya. Wrzasnął, żeby przestali, lecz prawie nie słyszał własnego głosu. Żołnierze strzelali na oślep, we wszystko, co przed sobą widzieli - w drzewa, w krzaki, pnącza, w orchidee - siekali kulami liście, rozpruwali korę. W błoto posypał się deszcz łusek.

A Tay - przenikliwe dzwonięcie w uszach naruszyło mu zmysł równowagi - darł się na nich jak opętany.

Popychał ich, przeklinał, w końcu go posłuchali. Przykucnąwszy za drzewami, wymierzili drżące karabiny i nerwowo, rozbieganymi dziko oczami zerkali dookoła.

Wtedy zginął jeszcze jeden z nich. Strzała sterczała mu groteskowo z lewego oka, a jej grot wniknął tak głęboko, że przebił czaszkę na wylot.

Tay otarł twarz z deszczu i potu. Rozglądając się czujnie, próbował myśleć.

Wnioski, jakie wyciągnął, wcale mu się nie podobały.

Minutę temu miał dziewięciu ludzi. Teraz miał pięciu. Łuk, z którego wypuszczono strzały, był bronią na tyle

potężną, że zabijał na miejscu; organizm nie wytrzymał tak koszmarnego wstrząsu. Lotki strzał były zrobione z plastiku, żeby nie rozmiękczył ich deszcz, przez co łucznik mógłby spudłować.

Łucznik? Czyżby to ten... Amerykanin?!

Ale skąd by wytrzasnął tak potężną broń, tak znakomicie skonstruowane strzały?

Ogłuszająca palba przytępiła wszystkim słuch i łucznik mógł teraz prześlizgnąć się przez las bez obawy, że zdradzi go trzask pękającej gałęzi albo szmer liści. Jeśli się nie pokaże...

...nie będziemy wiedzieli, gdzie skierować ogień.

Tay przywarł do ziemi jeszcze mocniej i pstryknął przełącznikiem ręcznego radionadajnika.

Rozdział 2

Utrzymując maszynę w zawieszeniu na skraju polany, Jaszyn mocniej przycisnął słuchawki, wyciszając rytmiczny hurgot silnika.

Dobiegł go roztrzęsiony głos.

- Jedyńka do Smoka. Jedyńka do Smoka> Zgłoś się. Jaszyn się zgłosił.

- Zaatakowano nas - usłyszał. - Czterech nie żyje. Zwiadowca nie okazał po sobie zaskoczenia.

- Sprowokujcie go do wymiany ognia. Niedługo zabraknie mu amunicji. Odbiór.

- Powtórz, Smoku. Nie słyszę cię. Zniecierpliwiony Jaszyn powtórzył głośniejsze:

- Sprowokujcie go do wymiany ognia!

- Jest za dobrze ukryty.

- No to mierzcie w rozbłyski z lufy.

- Powtórz, Smoku. Nie słyszę cię. Jaszyn prawie krzyknął.

- Gówno wam uszy zatkało, czy co?! Strzelajcie w rozbłyski z lufy!

- Nie możemy, Smoku. On nie strzela z broni palnej. Tym razem Jaszyn pozwolił sobie na okazanie zaskoczenia.

- Nie z broni palnej? No to z czego?

- Z łuku. Z łuku?

Nagle usłyszał odgłosy zamieszania: czyjś przeraźliwy wrzask, pokrzykiwania, terkot kałasznikowa. Wyszczerbionymi zębami zagryzł dolną wargę. Strzelanina trwała.

Rozdział 3

Elektryk obozowy - co za partacz! - ślęczał nad prądnicą przez całą noc, a teraz, gdy wreszcie działała, światło przestało być potrzebne. Mimo posępnego deszczu za oknem, rano było na tyle jasno, że Podowski mógł obsługiwać radiostację.

Bo łączność miała teraz większe znaczenie niż światło. Dużo większe. Został w obozie, żeby koordynować akcję pościgową, żeby odbierać meldunki od poszczególnych grup, rosyjskich i wietnamskich, przekazywać im niezbędne informacje, no i oczywiście utrzymywać stały kontakt z Jaszynem w Hueyu. Z rosnącym podnieceniem wysłuchiwał doniesień wietnamskiej grupy patrolowej, która była o krok od schwytania Amerykanina. Oddziałem dowodził sierżant Tay. Tay wyglądał na takiego samego partacza jak obozowy elektryk i słusznie go na to zadupie przydzielili, lecz sądząc po meldunkach, był coraz bliżej celu. Podowski zastanawiał się, czy go przypadkiem źle nie osądził. Bo osiągnięcia zasługują na nagrodę. Dlatego zdecydował, że jeśli Tay upoluje zdobycz, załatwi mu przeniesienie.

Lecz od tamtego czasu upłynął kwadrans.

Z przybitego Podowskiego wyciekł cały entuzjazm, a szansę Taya na służbowe przeniesienie zmalały do zera. Nastąpiła zdumiewająca zmiana sytuacji. Zdumiewająca i przygnębiająca. Podowski gapił się w radiostację, słuchał meldunków Jaszyna i nie wierzył własnym uszom.

Dwie minuty temu Tay doniósł, że ich zaatakowano. Stracili czterech ludzi.

Zabito ich z łuku. Z łuku?! Co się tam dzieje?

Potem w głośniku zatrzeszczała karabinowa palba.

Po chwili Tay zameldował, że stracił kolejnych żołnierzy, tym razem dwóch, i spanikowanym głosem dodał, że dwóch pozostałych ucieka.

Łuk? I strzały?

Podowski szybko zmienił częstotliwość nadawania.

- Dwójka, Dwójka! - Zabrzmiało to mniej stanowczo, niżby sobie tego życzył. - Tu Łowca! Czy mnie słyszysz? Odbiór.

Mówił po rosyjsku i ulżyło mu, gdy z trzasków w głośniku wyłowił rosyjskie słowa.

- Dwójka, udajcie się do sektora północnowschodniego! Nawiążcie łączność ze Smokiem! Cel zlokalizowany! Powtarzam! Cel zlokalizowany!

- Zrozumiałem, Łowco! Wyruszamy!

Rosjanin z Dwójki mówił głośno, ale nie było to objawem nerwowości - albo strachu, jak w przypadku tego tchórza Taya. Nie, żołnierze Podowskiego zawsze mówili w ten sposób. Szorstko. Autorytatywnie. Stanowczo.

Jak spece z Dover.

Teraz, gdy jego wcześniejsza opinia o Tayu się potwierdziła, nadeszła pora na zawodowców.

I jeśli Amerykanin jest na tyle głupi, żeby ścigać sierżanta i niedobitki jego oddziału, tym lepiej dla komandosów z Dwójki, bo będą mieli do pokonania mniejszą odległość. A zbieg wkrótce się przekona, że gdy zaatakują go żołnierze, którzy wiedzą, co robią, łukiem nic nie zwojuje.

Nagle błysnęła mu w głowie pewna myśl i rozsierdzony wyszedł z baraku. Kapitan Vinh. Podowski nie widział go od kilku godzin. Ale Vinh był w obozie. Na pewno. Twierdził, że musi zostać na miejscu, żeby dowodzić żołnierzami strzegącymi obozu i więźniów.

Musi. Musi to u mamusi, pomyślał wściekły Podowski idąc przez deszcz i błoto do sąsiedniego baraku. Niech zabrudzi sobie mundur tak samo jak jego ludzie. Jak moi ludzie. Tak samo jak ja.

I jakby na dowód swych racji - dowód nieświadomy, rzecz jasna - poślizgnął się i upadł. Co prawda tylko na jedno kolano, ale gdy wstał, spodnie przywarły mu do ciała, mokre i uwalane błotem. Tak jest. Vinh może ruszyć dupę z baraku i ścigać zbiega, jak inni żołnierze. I tak nic nie robi.

Ta myśl podniosła go na duchu. Następna jeszcze bardziej. Tak naprawdę to nie ma potrzeby, żeby Vinh wkroczył do akcji. Moi komandosi zlikwidują uciekiniera za... - mieszając butami błoto, zerknął na służbowy zegarek - za góra czterdzieści minut. Ale przyda mu się trochę gimnastyki, trochę wysiłku. Ot, choćby dla odmiany.

Mimo to, gdy dochodził już do baraku, pomyślał nagle, czy nie powinien zawrócić i uruchomić radiostacji.

Nie, nie po to, żeby z zadowoleniem wysłuchiwać meldunków o zaciskającej się pętli pościgu.

Po to, żeby tak na wszelki wypadek... Nie, żeby to było absolutnie konieczne, ale...

Tak dla pewności.

Tak. Chyba powinien wezwać posiłki.

Bo skoro Amerykanin rozgromił jego myśliwych przy pomocy łuku i strzał, to co mógłby zrobić, gdyby trafiła mu się porządna broń?

I Podowski znów podupadł na duchu.

Rozdział 4

AWACS przechwytyje cholernie dziwne meldunki oznajmił radiooperator.

Pilnowany przez żołnierzy Trautman stał w kącie hangaru i ze złym błyskiem w oku obserwował, jak ludzie Murdocka pakują sprzęt.

Radiooperator mówił oczywiście nie do niego, tylko do zlanego potem Murdocka, który obrócił się na pięcie i spytał:

- Co za meldunki?

- Z miejsca, skąd zgłaszał się Rambo. Z jego ostatniej pozycji.

Jakby nie chcąc więcej o nim słyszeć - o nim i o jego groźbie: "Nie, Murdock, to ja przyjdę po ciebie" - Murdock zerknął na przechodzącego obok robotnika, który omal nie upuścił ciężkiej skrzyni, i warknął:

- Uważaj! Na ten dekoder musiałbyś harować dwa lata!

Robotnik zbladł. Murdock spojrzał na radiooperatora.

- No i? - spytał. - Co w nich dziwnego?

- Wygląda na to, że...

- No wyduś to z siebie, do cholery!

- Nie wiem, ale chyba toczy się tam jakaś bitwa. Sądząc po tym, co ci komuniści gadają, wygląda to na prawdziwą wojnę.

Murdock zmarszczył czoło. Podeszedł bliżej.

- Na wojnę?

Trautman poczuł, że w piersi mruga mu maleńka iskierka podniecającej nadziei.

- Na wojnę z Rambo - dodał radiooperator.

- Z kim?!

Iskierka w piersi Trautmana rozgorzała cieplejszym blaskiem. \

- Trudno wyczuć, co się tam naprawdę dzieje - mówił technik - bo przekazy nakładają się na siebie, ale z tego, co rozumiem, Rambo nawiązał z nami łączność pod przymusem. Złapali go, ale... - Technik przyciskał słuchawki do uszu i jednocześnie rozmawiał z Murdockiem. - Ale im uciekł i...

- Co?! Szlag by to!

- ..zabił z łuku siedmiu, może ośmiu żołnierzy, Potem zakłuł nożem jakiegoś Ruska. Uduślił pnączami Wietnamczyka. Następnego Wietnamca uduślił cięciwą łuku. Rosjanina nabił na włócznię jak na pał. Sklecił nawet -coś w rodzaju katapulty i rozwalil kamieniem łeb innemu

Ruskowi.

- Masz swoje włócznie i proce, Murdock - odezwał

się Trautman spod ściany. - Mówiłeś, że to broń w sam raz dla niego, prawda?

- Zamknij się pan, do kurwy nędzy! - warknął Murdock. .

- I jeszcze coś - dodał technik. - To niesamowite. Rosjanie dostali szalu.

- No i na co czekasz? - ryknął Murdock. - Aż cię zapytam?!

- Dorwał jakiegoś Ruska i wypchnął go z krzaków. Czerwoni myśleli, że to on, Rambo, i podziurawili go kulami jak sito.

- Chyba zapomniałem panu o czymś wspomnieć powiedział Trautman.

- Taaa? - Murdock błysnął wściekle oczami.

- Chłopak szybko się przystosowuje.

- O, a teraz... - mówił dalej technik. - Chwileczkę, coś nadają... - Kiwnął głową. - Tak, Rosjanin, który objął dowództwo, zażądał posiłków. Wezwał na pomoc żołnierzy ze wszystkich wietnamskich placówek w okolicy... I doborowy pluton komandosów z własnej bazy w zatoce Cam Ranh. I jeszcze... I jeszcze wezwał... O kurwa. Kazał sobie przysłać śmigłowiec szturmowy, MIL MI-24. Jezu, to bydlę nie maszyna. Ma taką siłę ognia, tyle działek, rakiet i pocisków termolokacyjnych, że chyba zaczęli tam nową wojnę!

Trautman wyprostował się dumnie.

- W pewnym sensie zaczęli - powiedział. Murdock spiorunował go spojrzeniem.

- Gadaj pan jaśniej!

• - Tak samo było z naczelnikiem policji w tamtym miasteczku. Sprowokował go i wojna zapukała do ich drzwi.

- jaśniej, do cholery!

<- To proste. Naczelnik ściągnął na pomoc gliniarzy z całego stanu. Miał policję stanową. Gwardię narodową. Nie wspominając już o całej bandzie szajbniętych cywilów ze strzelbami, tych, co to uważają się

za następców Daniela Boone'a. Więc jak mogli przegrać? - Głos pułkownika ciął jak ostra stal. - Jednak przegrali. Dlaczego? Bo nie rozumieli, co znaczy elita. Nie wiedzieli, czego nauczono ludzi takich jak Rambo. Nie rozumieli, kim oni są. To właśnie dlatego nazywamy ich żołnierzami sił specjalnych. Ale Rambo wrócił, prawda? Wrócił i pokazał, na co go stać. Dał tym ludziom mały pokaz swoich umiejętności. Pomógł im nakreślić nowy projekt urbanistyczny miasta. Za friko. Ot, wrócił i natychmiast wprowadził kilka zmian, tak od ręki. A wiesz, Murdock, co on tam zrobił? Powiem ci, bo może przeoczyłeś to, czytając jego dossier. Rambo zrównał to cholerne miasteczko z ziemią.

Murdock się zjeżył.

- No dobra - warknął. - Nie wystawiaj pan na próbę mojej cierpliwości. O czym pan, do diabła, gada?

- Jak to o czym? To proste. Ten rosyjski dowódca zasmakuje dokładnie tego samego, czego zasmakował gliniarz z tamtego miasteczka. Zobaczysz pokaz umiejętności żołnierza sił specjalnych. Dowie się, jak to robimy.

- To ryzykowne, pułkowniku. Za bardzo pan wierzy w tego swojego...

- Wierzę w niego, bo powinienem wierzyć. Było nie było, sam go wyszkoliłem. A kiedy się z nimi rozprawi...

- O ile, pułkowniku, o ile.

- A kiedy się z nim rozprawi, niech pan wspomni moje słowa. On zawsze kończy to, co zaczął. Ten gliniarz się o tym przekonał. Tak samo, jak przekona się o tym ten Rosjanin, i pan, Murdock. Bo kiedy Rambo tu wróci, zrobi to, co obiecał. Przyjdzie po pana.

Rozdział 5

Ciężko dysząc, wlokąc za sobą dzikie pnącza i gałęzie przywiązane do pleców i ramion, Rambo wypadł z gęstwiny niczym fragment dżungli, który przybrał ludzką postać. Prerażone kurczaki zaskrzeczały piskliwie i machając skrzydłami, rozbiegły się na wszystkie strony. Rambo stanął jak wryty na skraju błotnistego podwórka przed jedną z dwunastu chat małej wioski i nie namyślając się ani chwili, popędził przed siebie. Omijając spłoszone, pochrząkujące świny, przeskoczył niski płot z ułożonych podłużnie gałęzi i wpadł między chaty. Za plecami, na brzegu dżungli, słyszał gniewne okrzyki przedzierających się przez zarośla żołnierzy, wietnamskich i rosyjskich. Ich wrzaski i krzyki brzmiały głośniejsz niż pochrząkiwanie świń i skrzekliwy pisk wystraszonych kurczaków.

Za jedną z chat skręcił w lewo, na grząską ścieżkę pełną wieśniaków. Biegł, rozpychał ich, roztrącał na boki, robiąc sobie przejście. Wieśniacy nie potrzebowali zachęty - wystraszeni i spanikowani, pogalopowali do chat, wrzeszcząc wniebogłosy. Zrozumiała reakcja. Wystarczyłoby już samo to, że zjawił się wśród nich rozjuszony Amerykanin. Na domiar złego, według ich standardów Amerykanin był prawdziwym olbrzymem. A już najgorsze ze wszystkiego było to, że wyglądał jak oblepiony błotem potwór z nocnego koszmaru - na piersi i ramionach pnącza i jeżyny, twarz niczym maska z czarnej, nasączonej krwią ziemi, włosy jak czepiec z brudu.

Wpadł na młodego rowerzystę, który się na niego zagapił, i runęli na ziemię pośród trzasku pękających szprych. Rambo zrobił przewrót, wstał, pobiegł dalej. Zobaczył rozklekotaną półciężarówkę. Podskakując na wybojach i strzelając z gaźnika jak z karabinu, wyjeżdżała ze wsi. Nie zbacząc z drogi, przyspieszył kroku, żeby ją dogonić. Półciężarówka - przerdzewiała grat z kołami oblepionymi grubą warstwą brązowego błota - wiozła kurczaki w klatkach z drucianej siatki. Dopędził ją, wskoczył na sterczący stopień, a gdy przerażony staruszek za kierownicą odruchowo zdjął nogę z gazu, Rambo wycelował w niego nóż i krzyknął po wietnamsku:

- Jedź dalej!

Staruszek posłuchał i półciężarówka przyspieszyła, Jechali wyboistą, zrytą koleinami drogą. Rambo przywarł do drzwi. Po lewej stronie skończyły się drzewa; droga biegła teraz przez pole grubej, wysokiej trawy. Po prawej zobaczył żołnierzy wybiegających z dżungli. Inni żołnierze biegli za półciężarówką, od strony wioski. I tym razem to nie gaźnik strzelał. Kula strzaskała brudne okienko z tyłu szoferki kurczaki oszalały. Druga kula rozniosła przednią szybę, równie zabłoconą jak koła. Do szoferki trysnęła fontanna szkła i starzec zasłonił twarz rękami. Półciężarówka zjechała na pobocze, zsunęła się bokiem do rowu i wśród rozbryzgów wody grzmotnęła w dno.

Rambo upadł, wstał i usłyszał szloch starca. Przepraszam, pomyślał patrząc na kurczaki uciekające ze zniszczonych klatek. Nie miałem wyboru. Przynajmniej nic się ci nie stało.

Spomiędzy zrujnowanych klatek wydostał zardzewiały kanister, przeciął drogę i jak duch zniknął w wysokiej trawie.

Rozdział 6

Ale zostawi za sobą ślady, pomyślał rozjuszony Tay. To głupio oczywisty trop i tym razem będzie potrzebował czegoś więcej niż łuku i strzał. Bo teraz jesteśmy tu wszyscy!

Tay podbiegł do przewróconej półciężarówki i przystanął dla zaczerpnięcia oddechu. Fakt, że dołączyło do nich tylu żołnierzy, dodał mu odwagi.

Rzeczywiście, jesteśmy tu wszyscy. Pilne rozkazy radiowe Podowskiego zaowocowały potężnym zgrupowaniem kontyngentów wojskowych. Do polowania przyłączały się spieszenie oddziały ze wszystkich pobliskich baz i placówek. Im więcej żołnierzy Amerykanin zabijał, tym więcej Wietnamczyków i Rosjan pragnęło odpłacić mu pięknym za nadobne/Dwustu żołnierzy. Następni byli już w drodze. Nie licząc śmigłowca MIL MI-24, którego zażądał Podowski, tego latającego arsenału.

Serce mu rosło w rozkosznym oczekiwaniu na zemstę.

Drogą pędziły dwie wojskowe ciężarówki. Zahamowały, wpadając w poślizg i wyrzucając spod kół grudy błota. Z szoferki jednej z nich wyskoczył kapitan Vinh. Z otwartych skrzyń wysypywali się żołnierze. Tay z trudem ukrył rozbawienie widząc, jak na idealnie czysty mundur przełożonego chlapie błoto. Myślał, że z niego wielki pan. Że jest ponad to wszystko. No i co? Podowski dał mu kopa w dupę i Vinh jest tu razem z nami Zobaczymy, jak mu się to spodoba.

Nie zwracając uwagi na zabrudzony mundur, Vinh pomaszerował do żołnierzy krokiem przesadnie dziarskim i napuszonym. Przystanął. Spojrzał na dwupółmetrowej wysokości trawę i wskazał połamane łodygi w miejscu, gdzie Amerykanin zniknął w gęstwinie i gdzie ziemia była splamiona krwią.

Tay zdławił w sobie gniew, czując, jak Vinh klepie go w ramię.

- Tam! - wykrzyknął. - Widzisz? Zaszył się tam, żeby zdechnąć. Zaraz go znajdziemy!

No jasne, pomyślał sierżant. W wydawaniu rozkazów

to ty jesteś świetny, ale chodzi ci o to, że to ja będę musiał go znaleźć.

Nie to, żeby miał coś przeciwko temu. Aż się palił, żeby odpłacić Amerykaninowi za wszystkie obrazy, jakie wycierpiał. Wystąpił przed szereg i dał znak żołnierzom, żeby ruszali za nim.

Lecz ku jego zdziwieniu Vinh znów klepnął go w ramię.

- Nie ty! Ty już miałeś swoją szansę! Teraz moja kolej. Gwarantuję, że robota będzie wykonana jak należy!

Odepchnąwszy Taya, wszedł do rowu, zadygotał idąc przez wodę, wreszcie stanął w miejscu, gdzie zaczynał się trop. Żołnierze spieszenie ruszyli za nim, lecz nim sforsowali rów z

wodą, Vinh zdążył już wejść w gąszcz. Pobiegli za dowódcą, a nad rozkołysanymi łodygami traw widać było tylko anteny radionadajników. Wkrótce zniknęły i one.

Zgorzkniały Tay patrzył na pole. Pewnie, jak ślad jest wyraźny, Vinh uważa się za doświadczonego tropiciela. Odwali najłatwiejszą część roboty.

I zbierze zaszczyty.

I dostanie przeniesienie.

Kurwa.

Rozdział 7

Po pięćdziesięciu szarpiących nerwy krokach w głąb wysokiej trawy, wiedząc, że z drogi już go nie widać, Vinh zwolnił i dał się wyprzedzić żołnierzom.

- Miejcie oczy szeroko otwarte! Uważajcie na pułapki!

Zostawszy z tyłu, rozejrzał się niepewnie. Napierająca zewsząd trawa dusiła go i przytłaczała. Powietrze było tu ciężkie, znacznie wilgotniejsze niż na drodze. W dodatku te niesamowite dźwięki: szmer ocierających się o siebie łodyg, stłumione echo głosów na skraju pola, krzyk ptaka, który spłynął spiralą ku wierzchołkom traw, by się mu lepiej przypatrzeć. Vinh miał nadzieję, że nie ma tu węży.

Otuchy dodawał mu tylko fakt, że Amerykanin, najwyraźniej ciężko ranny, zostawił za sobą szeroki krwawy trop.

Twarz ociekała mu potem. Kapitańska bluza była przepocona pod pachami. Chętnie podwinąłby rękawy, ale zepsułby chyba swój wojskowy wygląd.

Doszedł do wniosku, że los mu nie sprzyja. To prawda, podczas wojny mu się udało - amerykańskie bombowce z rzadka zakłócały służbową synekurę w Hanoi, zresztą żadna bomba nie spadła ani w pobliżu jego biura, ani w pobliżu domu. Robotę odwalali podwładni, podczas gdy on spędzał miłe dni w kabinie sampana. Z kochanką. I na kochance. Mimo okoliczności, uśmiechnął się na tę myśl. Lecz pewnego dnia na miejsce jego przełożonego przyszedł ktoś inny i zanim się Vinh spostrzegł, przeniesiono go do służby na placówce. Ta myśl zachmurzyła mu czoło. Ale natychmiast się rozpogodził, bo oto przyszła mu do głowy myśl następna i była niczym jaskrawe słońce, które wychynęło zza ciemnych chmur.

Tak, bo jeśli schwyta tego Amerykanina, zostanie bohaterem republiki.

Niedługo wrócę do Hanoi.

Tymczasem wrócił do rzeczywistości, bo dobiegły go zdumione głosy żołnierzy. Jego ludzie przystanęli. Vinh zaczął się przepychać między nimi.

- Co się dzieje? - pytał rozdrażniony. - Szukajcie dalej! Znajdźcie go!

Gdy dotarł na czoło kolumny, stwierdził, że na twarzy żołnierza prowadzącego maluje się wyraz konsternacji i spojrzał pod nogi, żeby sprawdzić, co jest tego przyczyną

Krew.

Dwa kurczaki z obciętymi łbami wsparte o kanister.

Między łbami kurczaków - zakrętka od kanistra.

Wyglądało to na coś w rodzaju świątyni. Bez wątpienia natrafili na pozostałości po jakichś dziwacznych rytuałach religijnych.

Ech, ci wieśniacy, pomyślał z pogardą. Mają takie prymitywne poglądy.

Pociągnął nosem i stwierdził, że kanistra używano chyba do przechowywania benzyny.

Poczuł coś jeszcze.

Tylko co to jest?

Dym?

Szuuu! Płomienie buchnęły w trawie po jego lewej stronie i pośród rozkołysanych łądyg sunęły ku niemu niczym ognisty wąż.

- Uciekajcie! - Motywacją tego rozkazu nie była oczywiście troska o żołnierzy. Krzycząc "Uciekajcie!" nie chciał powiedzieć: "Uciekajcie, bo spalicie się tu żywcem!" tylko: "Zejdźcie mi z drogi, idioci! Zróbcie przejście!".

Czując za plecami gorący podmuch, zaczął ich rozpychać.

Ale żołnierze wpadli na dokładnie ten sam pomysł. Tłocząc się i wpadając na siebie, zablokowali drogę.

- Uciekajcie!

Płomienie dotarły do kanistra.

- Ucie...! Wuuszzz!

Rozdział 8

Obłok wybuchu miał kształt nuklearnego grzyba, z tym że to nie dym się nad polem unosił, a płomień: wielka kula żywego ognia. I huknęło tak głośno, że przez trawę przetoczyła się wyraźna fala podmuchu.

Tay aż się cofnął. Stał na skraju drogi i ogłupiał, mrugał nieprzytomnie. Sekundę wcześniej zalane słońcem pole było takie spokojne, takie monotonne - Tay nawet ziewnął z nudów - a już po chwili przecinała je rzeka ognia rwąca od prawej strony. Sekundę później polem wstrząsnęła eksplozja.

Słyszał przeraźliwe krzyki. Strzały. Z gęstwiny bił w niebo czarny dym. Płomień rozprzestrzenił się, szybko zmierzając ku drodze.

Ktoś wybiegł z trawy. Był jak płonąca pochodnia, wymachiwał rękami, tłukł się w pierś, wrzeszczał. Wreszcie zachwiał się, upadł na kolana, przeszedł na nich kilka kroków i runął do rowu. Zasyczała woda, buchnęła para. Zaśmierdziało spalonymi włosami i przypieczonym mięsem.

Chociaż żołnierz leżał z twarzą w wodzie, chociaż Tay nie rozpoznał jej rysów, gdy nieszczęśnik wypadł płonąc z trawy, sierżant dobrze wiedział, kto to jest. Zidentyfikował go po ocalałym fragmencie insygniów na mundurze,

Kapitan Vinh.

Zwęglone ciało wyglądało tak obrzydliwie, że przerażony Tay wybałuszył oczy. Mimo przerażenia naszły go dwie myśli:

Chciałeś odwalić najłatwiejszą część roboty i zdobyć chwałę, hę? - To była myśl pierwsza.

A ta druga:

Zabrudziłeś sobie mundur.

Rozdział 9

Rambo przycupnął na zadrzewionym stoku za płonącym polem i przez chmurę czarnego dymu obserwował reakcję żołnierzy czekających na skraju odległej drogi. Jedni rzucali się na pomoc kolegom, inni się cofali. Wtem usłyszał coraz głośniejsze lump-lump-lump-lump i obróciwszy głowę, z nienawiścią w oczach spojrzał na przelatujący nad wioską śmigłowiec, Ten, który zabił Co.

Ścisnął łuk tak mocno, że zabołały go kłykcie.

I przyrzekł sobie, że pilot za jej śmierć zapłaci.

Ale przedtem...

Strzały tkwiące w kołczanie były czarne, miały plastikowe lotki, zrobiono je z mocnego, mimo to lekkiego aluminium i wyposażono w zębate czteroramienne groty. Ale wszystkie miały jeszcze jedną cechę: były puste w środku.

Jedną z nich rozkręcił. Z kołczanu wyjął pudełko z plastikiem C-4, z kawałka plastelinowego materiału zrobił coś w rodzaju długiego robaka, po czym wrzucił "robaka" do przedniej części strzały, tak że plastik utkwiał tuż za grotem. Następnie skręcił strzałę i w ten sam sposób sprokurował jeszcze trzy. •

Potem zdjął ich czteroramienne groty i zastąpił je czymś, co wyglądało jak grot stożkowaty.

Lecz nim nie było. Ów stożkowaty grot był detonatorem kontaktowym, a zawarta w nim niewielka ilość materiału wybuchowego powodowała eksplozję plastiku.

Ułożył strzałę na majdanie i napiął łuk, czując, jak bloczki na końcach ramion dostosowują naciąg cięciwy i redukują siłę potrzebną do utrzymania jej w pełnym napięciu. Wymierzył w jedną z ciężarówek stojącą na drodze za polem i odciął się od świata zewnętrznego. Istniał tylko łuk, strzała i cel. Wszechświat zamarł.

I ożył, gdy Rambo wypuścił strzałę. Bloczki na ramionach łuku wzmocniły siłę naporu cięciwy z dwudziestu dwóch i pół do czterdziestu pięciu kilogramów i pierzasty pocisk świsnął w powietrzu z prędkością siedemdziesięciu pięciu metrów na sekundę.

Nie dziwił się, że chybił - od ciężarówki dzieliło go dwieście metrów i strzelał przez gęsty dym. Lecz to w co trafił, wystarczyło. W powietrze wyleciał fragment drogi. Razem z nim - ludzie. Nawet z tej odległości słyszał wśród huku ich przeraźliwe wrzaski.

Szybko wziął poprawkę i wysłał drugą strzałę. Tym razem trafił dokładnie w cel. Ciężarówka eksplodowała w kuli ognia i w tej samej sekundzie usłyszał donośne ruuum! towarzyszące wybuchowi zbiornika z paliwem. Odłamki i płomienie siały spustoszenie wśród żołnierzy.

Wypuścił trzecią strzałę.

Ognista kula pochłonęła drugą ciężarówkę.

Próbował nawet trafić w śmigłowiec, ale strzała minęła go łukiem, spadła na drogę i eksplodowała w pobliżu grupy żołnierzy.

Wystarczy.

Musiał oszczędzać amunicję. Przedtem, kiedy zaskoczył w dżungli oddział Taya i zabił z łuku ośmiu żołnierzy, wszystkie strzały odzyskał. Podczołgał się do trupów i chociaż zębate czteroramienne groty, sterczące z przebitych na wylot zwłok, uniemożliwiały wyjęcie strzał, odkręcił je, powyciągał aluminiowe rurki, a później na powrót przykręcił do nich groty.

Mimo to zapas strzał był ograniczony. Musiał wykorzystywać je bardzo rozsądnie. Zaczęli strzelać w stronę stoku, lecz Rambo był poza zasięgiem pocisków. Leżał na plecach, zastanawiając się nad kolejnym posunięciem taktycznym.

Raptem drgnął. Zobaczył dziesięciu żołnierzy pędzących drogą. Ominęli płonące pole, zmierzali w jego stronę.

A prowadził ich - z tej odległości trudno było powiedzieć na pewno - ale wydawało się, że prowadzi ich...

... sierżant Tay.

Rambo zanurzył się w gęstwinie porastającej stok, słysząc znajome łump-łump-łump nadlatującego Hueya.

Rozdział 10

Co znowu? Już go zabili? - spytał Murdock. Trautman - wciąż pilnowało go dwóch żołnierzy czekał na odpowiedź radiooperatora. Technik pokręcił głową.

- Wprost przeciwnie. Murdock poczerwieniał ze złości.

- Co to, do diabła, znaczy?!

- Właśnie podpałił las. Zabił wietnamskiego dowódcę. Wysadził w powietrze dwie wojskowe ciężarówki i... Nie, to chyba niemożliwe.

- Gadaj!

- Mówią, że ich straty wzrosły do stu dziesięciu ludzi.

Murdock poruszył ustami, ale nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Powoli odwrócił się w stronę otwartych drzwi hangaru i spojrzał na lesiste wzgórza.

Trautman wiedział, w jakim kierunku Murdock patrzy. Patrzył na północny wschód. Tam, gdzie...

- Co się tam dzieje, na Boga? - spytał szeptem Murdock.

Rozdział 11

Tay parł przez dżunglę. Na jego spoconej twarzy ucztowały chmary komarów, lecz nie opędział się od nich, był skoncentrowany, nie śmiał zawracać tym Sobie głowy.

Szli rozciągniętym czworobokiem; Żołnierze na jego ramionach posuwali się bokiem, ci na końcu zaś - tyłem. Wypatrując zbiega, przedzierali się czujnie przez duszne, przywierające do ciała zarośla. Każdy dźwięk przyprawiał ich o drżenie serca.

Zostało mu niewiele strzał, przekonywał siebie Tay. Wystarczy tylko za nim iść, wystarczy go tylko zmęczyć, Po tym, co wyprawiali z nim w obozie Podowski z jaszynem, po tak długim biegu i po -walce, którą wszczął, musi być bardzo osłabiony. Coraz słabszy.

Lecz Tay nie był już tak bardzo pewny siebie jak na początku polowania. Zastanawiał się nawet po co ściągnął tu żołnierzy. Co za głupota. Może zrobił to pod wpływem chwilowego podniecenia? Może z chęci pomszczenia poległych towarzyszy? Może miał nadzieję, że go w końcu przeniosą?

Tak zdecydował. Z tych wszystkich przyczyn naraz.

Ale czy to właśnie oni byli powodem jego strachu? Zakładał, że pójdzie za nim liczniejsza grupa. Tych, co za nim poszli, było tak niewielu, że nagle poczuł się obnażony, jak na widelcu.

Lecz bodziec, który przechylił szalę u wagi i który popychał go do dalszych poszukiwań i do dalszego tropienia, był zbyt silny, by go zlekceważyć,

Prawda była taka, że o ile przedtem trawiła go nienawiść z powodu zniewagi, jakiej doznał od Amerykanina przed wieloma laty, podczas jego ucieczki z obozu, o tyle teraz trawiła go nienawiść jeszcze większa, bo gdy spanikowany uciekał przed jego strzałami, znów stracił twarz i doznał kolejnego poniżenia.

Koledzy się z niego naśmiewali.

Obetnie mu za to genitalia i wepchnie mu je do gardła.

W ustach żołnierza idącego przed nim utkwiała strzała. Ominąwszy zęby, przebiła na wylot czaszkę. Z głowy sterczał mu grot. Jego śmierć była tak groteskowa, że żołnierze złamali szyk, runęli na ziemię w poszukiwaniu kryjówek i zaczęli strzelać. Strzelali we wszystko, i w nic.

Nie! Znów to samo! To samo, co dzisiejszego ranka! Czuł, jak wali mu serce, czuł, że narasta w nim panika. Nie, nie tym razem. Tym razem do tego nie dopuści.

Wrzeszcząc na żołnierzy, popychając ich, przeklinając i kopiąc, pędził całą grupę tam, skąd strzelał łucznik.

I nagle jeden z nich zniknął w zamaskowanym przez Amerykanina dole. Gdy Tay tam zajrzał, zobaczył, że z brzucha, z szyi, z piersi i z krocza nieszczęśnika sterczą zaostrzone pręty bambusa.

Żołnierze rejterowali.

Tay czuł, że pali go w żołądku.

- Naprzód! wrzasnął. - Albo sam was powystrzelam!

W ciele jednego z podwładnych utkwiała włócznia. Tay omal nie krzyknął z triumfu.

- Nie ma już strzał! Za nim! Niedługo zostaną mu tylko kamienie!

Aż posiniał z wściekłości, gdy za plecami usłyszał jazgot kałasznikowa. Strzelał któryś z jego ludzi. Odwrócił się z pianą na ustach.

- Jeszcze nie, idioto! Nie marnuj amunicji! Strzelaj, jak go zobaczysz!

Krzyczał, choć już wiedział, że to nie jego żołnierz

otworzył ogień. Strzelał ktoś ukryty nieco dalej, w gęstych zaroślach. Amerykanin!

Wygarnął do nich z karabinu martwego żołnierza!

Podwładnych Taya ścięła długa seria pocisków kalibru 7.62mm.

Kryjąc się za powalonym drzewem, sierżant wreszcie dostrzegł cel Amerykanin. Tam. Mignął mu za krzakami, Opleciony dzikim pnączem, warkoczami z liści i jeżyn, oblepiony błotem wyglądał jak duch, który wychynął spod ziemi. Przykucnięty, strzelał do Taya ze zdobycznego kałasznikowa. Spotkali się wzrokiem.

I nagle kałasznikow zamilkł. Amerykanin spojrział na karabin, odrzucił go i zerwał się do biegu.

Ale nie, nie biegł w stronę Taya.

Amerykanin uciekał!

Sierżant nie posiadał się z radości. Wstał, przytknął karabin do ramienia i wypalił szatkując pociskami liście drzew. Opróżnił magazynek, podniósł z ziemi karabin martwego towarzysza i nie przerywając ognia, ruszył za zbiegiem.

Zaczął się śmiać.

Ha! Zużyłeś wszystkie strzały, Zamaskowałeś dół. Rzuciłeś włócznią.

Co prawda zdobyłeś karabin, ale nie masz już amunicji i został ci tylko nóż.

Natomiast ja mam nabojęw od groma i kiedy wpakuje ci w pierś cały magazynek, wezmę twój nóż i obetnę ci.

Zdumiony przystanął. Zachwiał się, cofnął, lecz odzyskał równowagę i nie upadł.

Był bardzo zaskoczony.

Niemożliwe, pomyślał.

Byłem pewien, że zużył wszystkie strzały.

Dopiero teraz zrozumiał, jak bardzo się mylił,

Bo jedna ze strzał sterczała mu z brzucha.

Pojawiła się tam jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, nie wiadomo skąd.

Co istotniejsze, wyraźnie czuł, że tam sterczy.

Tak. Nie do wiary.

Jak to boli. Jakby rozpruwało go od środka kilka brzytw.

Z zapierającą dech w piersiach siłą.

Tyle zdążył zarejestrować.

Bo w następnej sekundzie - w nieskończenie małym, lecz jakże przerażającym ułamku tejże sekundy zdał sobie z tego sprawę - brzuch mu eksplodował:

Rozdział 12

Za blizny na moich plecach i piersi, pomyślał Rambo. Za blizny na moim umyśle. Za ten nie kończący się koszmar.

Miał jeszcze jedną bliznę, głębszą, boleśniejszą: Śmierć Co.

Usłyszał znajome łump-łump-łump śmigłowca lecącego nad dżunglą. Huey. Pięknie. Chodź tu. Bliżej, jeszcze bliżej. Rozjuszony, wyciągnął strzałę z ciała martwego żołnierza. Rozkręci ją; wsunie do rurki "robaka z plastiku, przymocuje detonator i...

Gdyby tylko zdołał go tu zwabić, gdyby tylko odciągnął go na otwartą przestrzeń, gdzie drzewa nie zakłóciłyby lotu strzały mógłby sukinsyna zestrzelić. Zestrzelić? Rozpirzyły go w drobny mak.

Ale musiał zachować ostrożność. Na pokładzie śmigłowca czatował Smok.

Właśnie rozkręcał strzałę, gdy wtem w wyrwie między konarami drzew pojawił się Huey. Zaskoczony Rambo poderwał głowę i za szybą z pleksiglasu wyraźnie zbaczył twarz pilota.

Kozak,

faszyn też go dostrzegł i aż zeszywniał.

Strzała? Za późno.

Zerwał się do biegu, wpadł między drzewa i jak szalony pognał przez krzaki i zarośla. Odruchowo naprężył łopatki. Lada moment Smok plunie ogniem, Grzmiąca struga pocisków chluśnie jego tropem, skosi krzewy i paprocie, wyłuska go z ukrycia i...

Lecz krzewy i paprocie zaczynały znikać same z siebie. Były coraz mniejsze, coraz skąpsze. Cienisty mrok pierzchał. Zajaśniało słońce.

Boże, jeszcze jedna polana.

Nie, nie może mnie dopaść na otwartej przestrzeni.

Skręcił w lewo, między rzadkie drzewa. Ale zaraz. Czegoś tu nie rozumiał. Smok przestał zionąć ogniem. Teraz ma okazję, dlaczego z niej nie korzysta? Zabrakło mu amunicji? ~

Zaryzykował jedno rozpaczliwe zerkniecie przez ramię. Huey wciąż za nim leciał. Mimo to Smok uparcie milczał i Rambo nabierał coraz mocniejszego przekonania, że pilot wystrzelał Wszystkie pociski. Zamiast ogłuszającego hurkotu Smoka słyszał jazgot broni dużo lżejszej, zapewne uniwersalnego karabinu maszynowego M-60.

Raptem zobaczył, jak z otwartych drzwi kabiny wypadają dwa przedmioty. Dwa długie metalowe cylindry. Nie spadały pionowo w dół, bo niósł je pęd śmigłowca: leciały w jego stronę, zaczynały koziołkować.

Broń bardziej przerażająca niż Smok.

Napalm!

Rambo przyspieszył. Biegł rozpaczliwie; przebierał nogami, stawiał jak najdłuższe kroki, rozsadzało mu płuca.

Za krzakami coś zamigotało, zabłyszczało. Coś długiego, rozciągającego się od strony prawej ku lewej. Za plecami usłyszał ciężki łomot, metaliczny trzask rozrywających się cylindrów i potężne waruuuum! eksplodującej cieczy, która gwałtownie przybrała, napęczniała, trysnęła gorejącą strugą i szuuuu! - śmignęła jego tropem. Dżunglę rozciął dwudziestometrowej wysokości łuk ognia. Poczł mdlący smród ropy, w plecy uderzył go palący podmuch. Zdążył nawet zobaczyć przed sobą swój cień, chociaż słońce stało w zenicie:

Gdy płomień zaczął przypiekać mu plecy, Rambo odbił się i skoczył, wykorzystując impet, z jakim pchnęła go ognista fala.

Skoczył w stronę jaskrawych refleksów światła, migoczących za drzewami.

Do rwącego strumienia. Zanurkował, woda ochłodziła piekące plecy. Nieprzytomnie młócąc nogami i rękami, zszedł jeszcze niżej. Wartki prąd obrócił go i Rambo zobaczył, jak płomień zamiatają powierzchnię wody. Bystry prąd obrócił go znowu, tym razem na brzuch w blasku płonącego napalnu muliste dno przybrało pomarańczową barwę.

Niesiony prądem, ocierał się o głązy i wykrzywając z bólu twarz zaciskał usta, żeby wstrzymać oddech. Dno strumienia to opadało, to podnosiło się, by znowu opaść - jak w parku rozrywki z obłąkanej groteski. Rambo nie mógł już dłużej wytrzymać: gdy płomień zniknęły, rozszarpując ramionami wodę wypłynął, na powierzchnię.

Strumienia nie było. Z żołądkiem w gardle, Rambo runął w przepaść. Spadał w pełnym słońcu, oddychał, powietrze rozsadzało mu płuca. Z dołu dobiegł go szum.

Coraz głośniejszy coraz hałaśliwszy. Katarakta. Wtem uszy rozdarł mu grzmiący ryk i Rambo wpadł do rozlewiska u stóp wodospadu. Oszołomiony silnym wstrząsem, zakrztusił się, nałykał się wody. Natrafiwszy nogą na głaz, który przed sekundą omal go nie zabił, odbił się od niego, wypłynął na powierzchnię i miotany wartkimi prądami, wreszcie odetchnął.

Przetarł oczy, z wysiłkiem zadarł głowę. Na szczycie urwiska szalał pożar.

A zza ściany ognia wychynął śmigłowiec, Huey, który natychmiast podjął atak.

Zajazgotało. Na skalistym brzegu zagruchotały pociski zM-60.

A co ze Smokiem? Czyżby brak amunicji?

Nie! Znowu ryknął.

Rambo rozpaczliwie nabrał powietrza i nieprzytomnie przebierając nogami, zanurkował na samo dno kipieli.

Rozdział 13

Gdy śmigłowiec zanurzył się w otchłań, Jaszyn wbił wzrok w rozlewisko u stóp wodospadu. Było coraz większe, rosło w oczach. Jaszyn musnął językiem połamane zęby, dotykając ich ostrych, wystrzępionych krawędzi. Jakby lizał rozbite szkło. Z kciukiem kurczowo zaciśniętym na spuście Smoka patrzył, jak od setek/kul woda burzy się i pieni, jak się gotuje. Stojący w drzwiach kabiny strzelec siekał rozlewisko pociskami z M-60. Jaszyn miał ochotę wpakować w nie cały magazynek swego służbowego pistoletu. Cisnąć w nie puste skrzynki na amunicję. Miał ochotę się na nie wysikać.

Zdjął palec ze spustu. Strzelec też przerwał ogień. Kipiel za pleksiglasową szybą uspokoiła się. Woda była lekko wzburzona i spieniona, jak zwykle. Jaszyn sprowadził maszynę niżej.

- Widzicie ciało? - krzyknął do dwóch żołnierzy w kabinie.

Wyglądali przez drzwi z lewej i z prawej burty, ale milczeli.

- Wiry powinny wypchnąć trupa na powierzchnię! Zresztą cholera go wie, pomyślał. Jak są tam podwodne prądy, ciało mogło utknąć między głazami na dnie.

- A krew? - wrzasnął. - Widzicie krew? Krwi nie widzieli. Jaszyn też nie. Przecież on nie mógł tego przeżyć!

Chyba że wzburzona woda rozproszyła krew wtedy by jej nie zauważyli. Sprowadził śmigłowiec jeszcze niżej. Musiał przypatrzeć się temu z bliska.

- Ty! - krzyknął do jednego z żołnierzy, do pilota, który zwykle zasiadał za sterami Hueya. - Przejmij drążek! Idę do drzwi!

Pilot zajął swoje miejsce. Jaszyn podszedł do drzwi w lewej burcie i spojrzał w dół.

Krwi ani śladu.

- Niżej! - krzyknął. - Dawaj niżej!

- Prawie siedzimy na wodzie!

- Niżej, powiedziałem!

Pilot wypełnił rozkaz, Wzburzona woda była tuż, tuż. Jaszyn usiłował przebić wzrokiem brudną pianę. Kabinę wypełniła wilgotna mgiełka z ryczącego wodospadu.

To nie ma sensu, pomyślał. Zabijemy się tylko.

Nagle zdał sobie sprawę, że prąd musiał znieść ciało w dół strumienia. Dlatego nie widzieli krwi. Krew na pewno wypłynie nieco dalej.

Kiwnął głową.

- Do góry! - Krzyknął. - Leć wzdłuż strumienia. Pilotowi wyraźnie ulżyło. Gdy śmigłowiec zaczął się

powoli wznosić, żołnierz stojący obok Jaszyna głośno odetchnął.

I raptem przywarł kurczowo do wręgi, żeby nie wypaść bo maszyna przechyliła się mocno na burtę.

- Co ty wyczyniasz, do cholery?! - wrzasnął Jaszyn do pilota.

- Prądy powietrzne! Od wodospadu! Huey przechylił się jeszcze mocniej.

- Trzymaj go!

- Próbuję! Wiatr jest...

Zniesmaczony Jaszyn spojrział na żołnierza stojącego przy wrzędze,

Lecz żołnierza już tam nie było.

Za burtą mignęła rozmazana plama jego munduru i runął w przepaść.

A zza progu drzwi wychynął ten przeklęty Amerykanin! Brudny, ociekający wodą, z oczami jak dwa lasery, wskoczył na pokład śmigłowca, ,

Czepił się płozy. No jasne. Dlatego mieliśmy taki przechył. Źle rozłożony balast. Musiał wyskoczyć z wody, gdy zaczęliśmy nabierać wysokości.

Te wszystkie myśli kłębiły mu się w głowie, gdy wyciągał pistolet.

Lecz Amerykanin już był przy nim, już chwycił go za nadgarstek. Jaszyn nie zdążył wycelować, więc wbił palce w jego twarz, chcąc wydrapać mu te gorejące ślepia. Zwarci jak w śmiertelnym tańcu, zataczali się w lewo, w prawo, w tył i w przód, raz na jedną burtę, raz na drugą.

Jaszyn zablokował cios, który miał mu zmiażdżyć grdykę, i kopnął Amerykanina w kroczę. Lecz ten odskoczył i grzmotnął Jaszyna w uzbrojone ramię, w nadgarstek. Uderzył tak mocno, że zwiadowca odruchowo rozwarł palce. Pistolet zaklekotał na metalowej podłodze i wypadł za burtę.

Krążyli wokół siebie na ugiętych nogach, jak zapaśnicy.

Śmigłowiec znów się przechylił, ale tym razem Jaszyn dobrze wiedział dlaczego. To pilot Chciał, żeby Amerykanin stracił równowagę.

Świetnie. Tylko, żebym ja nie stracił jej pierwszy.

Zaatakowali jednocześnie. Wpadli na siebie i runęli na burtę koło pojemnika z amunicją do Smoka; Śmigłowiec przechylił się gwałtownie i wyrównał lot. Jaszyn wziął zamach mierząc w nos przeciwnika, w jego nasadę. W tym samym momencie Huey znów się zatoczył i przechylił,

Nie wiedząc kiedy, Jaszyn wylądował w otwartych drzwiach. Z walącym dziko sercem, w ostatniej chwili przytrzymał się wręg i zawisł nad straszliwą otchłanią, nad wierzchołkami śmigających w dole drzew. Wichura zdzierła z niego mundur. Raptem wrzasnął wściekle, szarpnął się i wypadł do kabiny.

Tym razem śmigłowiec przechylił się na lewą burtę, ale tuż przedtem Jaszyn zadał przeciwnikowi silny cios w pierś. Amerykanin stracił równowagę i...

Wypadł za burtę.

Rozdział 14

Chwycił się tego, co zobaczył, gdy tylko wypadł: karabinu maszynowego M-60 zamontowanego w drzwiach. Zdążył zacisnąć ręce na uchwytach, poleciał w dół i karabin obrócił się na trójnogu. Rambo zawisł, butami muskał liście drzew. Śruby mocujące trójnog do podłogi wytrzymały straszliwy ciężar i nie puściły.

Rosjanin wydał okrzyk triumfu i chwiejnie podszedł do drzwi.

Rambo zdjął rękę z uchwytu, uniósł ją, chwycił palcami rygiel i przeładował broń. Lufa M-60 mierzyła w głąb kabiny.

Wisząc nad przepaścią, pociągnął za spust i zadygotał wraz z karabinem. Strzelał na wprost, ogniem bezpośrednim, długą serią. W powietrzu zamigotał strumień łusek. Jazgot broni zagłuszał dudnienie silników i ryk wiatru w uszach. Kule rozorały Rosjaninowi pierś i rzuciły go na przeciwległą burtę śmigłowca. Trysnęły fontanny krwi.

To za Co.

Za Co.

Rosjanin wypadł drugimi drzwiami. Zniknął w przepaści.

Rambo poczuł gwałtowne szarpnięcie. Śmigłowiec zszedł niżej, przechylił się na lewą burtę, potem na prawą, płozami muskał wierzchołki drzew. Pilot Chciał, żeby zmiotła go dżungla.

Zacisnął ręce na uchwytach karabinu i podciągnął się wyżej. Zlany potem, wyężając wszystkie siły, przytrzymał się progu i wpełznął do kabiny.

Wyszarpnął nóż.

Wściekły podszedł do pilota...

...który drgnął, czując na szyi dotyk ostrza.

- Masz wybór.

Pilot wybrał drugie wyjście. Wijąc się pod nożem, wstał z fotela i ruszył tyłem do drzwi.

I krzyknął, i wypadł za burtę, bo śmigłowiec przechylił się znowu.

Rambo chwycił drążek.

Rozdział 15

No i już - rzucił Murdock. - Oprócz generatora, wszystko załadowane. Trzeba rozmontować radiostację.

Mroczny hangar wyglądał jak olbrzymia, rozbrzmiewająca echem muszla. Na zewnątrz czekały w słońcu odrzutowy Peregrine i Augusta 109. Wyładowane po brzegi sprzętem, były gotowe do drogi. Śmigłowce transportowe wezwane przez Murdocka również. Stali przy nich żołnierze. Lada moment mieli wejść na pokład.

Ale technik obsługujący radiostację przytknął mocniej słuchawki i podniósł rękę, jakby nagle usłyszał coś ważnego.

- Rozmontować radiostację - powtórzył Murdock. Ogłuchłeś?

Uwagę wciąż pilnowanego przez żołnierzy Trautmana zwrócił zafascynowany wyraz twarzy radiooperatora.

- Chyba zechce pan to usłyszeć - powiedział technik. Murdock odprężył się.

- Nareszcie, Zabili go?

- Niezupełnie. Przechwyciłem rozpaczliwe wezwania o pomoc. To ten rosyjski oficer z obozu. Nie może nawiązać łączności z pilotem śmigłowca. Przez jakiś czas był przekonany, że śmigłowiec się roztrzaskał, ale...

Murdock zmarszczył brwi.

- Przez jakiś czas? Jak to? Znaczy, że jednak się nie roztrzaskał?

- Nie. Rusek jest pewien, że, śmigłowiec wpadł w ręce nieprzyjaciela,

- Nie rozumiem. Powtórz.

- To Rambo. Wygląda na to, że... hmm... teraz nim leci.

- Co?

- Że go przechwycił.

- Boże Wszechmogący! Przecież to niemożliwe.

- Ten Rosjanin uważa, że możliwe. Dlatego tak rozpaczliwie wzywa pomocy. Ma powody, bo...

Trautmanowi chciało się śmiać. ...bo ten helikopter atakuje obóz. Właściwie to rozpirza go w pył.

Murdock rozdziawił gębę. Nic z tego nie rozumiał.

- Mówiłem panu - odezwał się pułkownik. - Chłopak szybko się przystosowuje.

Murdock powoli wypuścił powietrze i przeniósł wzrok na załadowane śmigłowce i ludzi czekających na start.

Gdy krzyknął, w olbrzymim hangarze zadudniło ogłuszające echo.

- Uwaga! Rozpakować sprzęt! Wszystko ma wrócić na swoje miejsce!

Do drzwi podszedł zdumiony adiutant.

- Że co? - spytał.

U jego boku wyrosli nagle Ericson i Doyle.

- Zmontować cały sprzęt! - Murdock nadał się jak balon. - Ta kurewska operacja jeszcze się nie skończyła!

Rozdział 16

Fale rozedrganego od upału powietrza ustąpiły i przez szybę kabiny zobaczył obóz. Nacisnął spust. Smok ryknął i z brzucha maszyny wytrysnął potężny słup ognia. Wieżyczka po lewej zniknęła w chmurze drzazg i szczap drewna. Przez dolinę przetoczyło się grzmiące echo.

Lekki skręt. Smok ryknął po raz drugi. Pomarańczowa błyskawica pożarła wieżyczkę po prawej stronie. Nie

zwalniając spustu, coraz bardziej:rozjuszony Rambo obracał maszynę to w lewo, to w prawo. Strażnicy podnosili karabiny mierzyli >w niebo i pękali niczym napompowane krwią balony. Barak po prawej stronie obozu już nie istniał. Z baraku stojącego pośrodku - z tego, w którym go torturowano - trysnęły gejzery płonących szczątków. Unicestwił budkę strażnika przy bramie. Trzech żołnierzy biegnących za ciężarówką dosłownie wyparowało, gdy pojazd, rozpruty pociskami jak aluminiowa puszka, eksplodował w fontannie odłamków, rozdartych na strzępy mundurów i rozpylonej na mgłę krwi.

Tak!

Tak! Chciał to wykrzyzczeć. Tak!

A może nawet krzyknął. Może upiorny wrzask, który dobiegał z dołu, wydobywał się z jego maksymalnie napiętych, stężałych i czerwonych z wysiłku strun głosowych, z jego wykrzywionych furią ust. Tego nie wiedział.

Zniszczył, unicestwił, starł na proch barak, w którym go więziono.

Tak!

I strzelał, wciąż strzelał, nie mógł przestać, a Smok ryczał, pluł ogniem, zrównał z ziemią kolejny posterunek, wysadził w powietrze jeszcze jedną ciężarówkę, Smok

pożerał wszystko! Wszystko!

Może koszmar zniknie, jeśli posłać go do piekła!

Jeśli przestanie istnieć, to może wtedy...

Zaraz, przecież, nie istnieje nic. Absolutnie nic. Czyż nie tego uczył go wietnamski góral?

Czyż nie to głosi zen? ,

W takim razie dlaczego niszcząc coś, co nie istnieje, odczuwam taką radość?

Bo jesteś niedoskonały.

Nie, stary, bo mam tego dość. Chcieli mnie zgnoić. Najpierw gliniarz z tamtego miasteczka, a teraz te sukinsyny. Murdock mnie zostawił. I zabili Co.

Dlatego jestem wkurwiony!

Posadził śmigłowiec na ziemi, wyłączył silnik, wbiegł do kabiny i zdjął karabin z trójnogu: Chwycił go, nie zwracając uwagi na jego straszliwy ciężar, zarzucił na plecy taśmę z nabojami i

oblepiony skorupą błota, obwieszony gałęziami, pnączami i dzikimi jeżynami, wyskoczył w dym i rozedrgane od skwaru powietrze. Zlany krwią i potem, z oczami buchającymi ogniem niczym ślepią plującego kulami Smoka, oparł karabin o biodro i strzelał do wszystkiego, co nosiło mundur.

I zabijał...

...i zabijał... <

I zabijał.

I nagle wszystko się skończyło.

Rozdział 17

W obozie zaległa śmiertelna cisza. Słysząc było tylko potrzaskiwanie płomieni.

Wyczerpany, szedł przez dym i zgliszcza, omiatając teren lufą Mr60, od którego ciężaru bolały go plecy i > ramiona. Kierował się w stronę pieczary na końcu obozu.

Zza sterty potrzaskanych desek wyskoczył przerażony Wietnamczyk i spanikowany, bez broni w ręku, popędził do dżungli. Rambo ani na niego spojrział.

Inny żołnierz strzelił do niego zza drzewa. Rambo posłał krótką serię w głąz wystający zza pnia. Pociski zrykoszetowały, żołnierz zanurkował w krzaki.

Poprzez dym Rambo zobaczył bambusowe kraty. Za kratami była jaskinia. A w niej - więźniowie.

Ale przed kratami stał Podowski. Stał i mierzył w jeńców z pistoletu.

- Jest remis, o ile dobrze pamiętam angielskie określenie. - Słowa sugerowały pewność siebie ale twarz miał bladą jak kreda.

I drżący głos.

Rambo nie przystanął. Szedł dalej. , :

- > Jeśli do mnie strzelisz, palec drgnie mi na spuście i jeden z tych ludzi zginie.

Rambo był coraz bliżej krat.

- Chyba nie robiłeś tego wszystkiego tylko po to, żeby w ostatniej chwili któryś z nich umarł.

- Zaryzykuj - warknął zza krat Banks. - Zastrzel skurwysyna.

Rambo ucieszył się słysząc jego głos. Bał się, że go zabili za to, że on, Rambo, uciekł.

- Proszę tylko, żebyś dał mi słowo, że pozwolisz mi odejść - mówił Podowski. - Moje życie za życie jednego z nich.

Lecz Rambo szedł dalej i Rosjanin zadrżał.

- Wygrałeś! - krzyknął. - To mało.

Obrócił się błyskawicznie, żeby do niego strzelić, ale spomiędzy krat wystrzeliła ręka i chwyciła go za nadgarstek. Prawie nie było na niej ciała. Równie dobrze mogła należeć do trupa, który wstał z grobu, żeby szukać zemsty. Jej kościsty uścisk powinien być wątki i anemiczny, tymczasem, miażdżył nadgarstek Podowskiego z siłą prześmiertnego skurczu. Zanim Rosjanin zdążył się uwolnić, jego nadgarstek tkwił już w szponach Rambo, który wykręcił go i złamał niczym suchą szczapę drewna, Podowski wrzasnął i wypuścił pistolet z ręki Rambo upuścił karabin. Broń zaklekotała na ziemi.

Chwycił szarpiącego się Rosjanina i powłókł go przez obóz. Trzydzieści metrów dalej - Nie! - dźwignął oprawcę za rękę i nogę...

...podniósł go wysoko nad głowę...

- Nie!

...i wrzucił go do kloaki. Krzyk utonął w soczystym, mlaskliwym plusku.

Rosjanin pogrzył się w oślizgłym paskudztwie.

Rozdział 18

Wspomagani przez żołnierzy technicy uwijali się przy ponownym montowaniu aparatury. Hangar znów rozbrzmiewał odgłosami gorliwej aktywności.

- Reszta później! - rozkazał Murdock. - Najpierw radar!

Zdumiony Trautman pokręcił głową, Nie mógł zrozumieć, skąd u niego ta nagła zmiana, nie umiał do tego przywyknąć. Rzucił chłopaka na pastwę losu - co więcej, chciał, żeby Rambo zginął! - a teraz szalał, żeby go uratować i sprowadzić z powrotem.

- Co z Augustą? - wrzeszczał Murdock. - Na pewno wszystko z niej wyładowaliście? Ericson! Doyle! Jeszcze raz sprawdźcie broń pokładową! .

Trautman poczuł, że ściska go w żołądku. Nagle ogarnęły go wątpliwości. Trwały ledwie sekundę, nie dłużej, ale... Bo mógł istnieć inny powód, dla którego Murdock zachowywał się tak, a nie inaczej. Zupełnie inny motyw. A jeśli nie chciał go ratować? Jeśli nie chciał go sprowadzać z powrotem. Jeśli chciał go...

Nie, na pewno nie. Przecież nawet Murdock nie mógłby...

Rozdział 19

Rambo wymierzył, strzelił pod kątem w kłódkę na kratkach blokujących wejście do pieczary, szarpnął nimi i otworzył bramę na oścież. Więźniowie gapili się na niego zbyt Oszołomieni, żeby cokolwiek powiedzieć:

Lecz w jednej chwili szok minął, ustępując Miejsca potrzebie natychmiastowego działania.

- Zjeżdżajmy stąd, na miłość boską! - wrzasnął Banks.

Ci, którzy mieli jeszcze trochę siły, pomagali wstać słabszym. Rambo wyprowadził z jaskini chorego na malarię. Próbowali przebiec przez obóz, ale wyglądało to żałośnie - miał biec, snuli się jak żywe trupy. Któryś się zachwiał i byłby upadł, gdyby Banks go nie podtrzymał.

Wreszcie dotarli do śmigłowca, ale okazało się, że to jeszcze nie koniec. Zza zburzonego baraku wygarnął do nich ranny żołnierz i trafił w bok jednego z więźniów. Wtedy Banks oszalał. Chwycił z ziemi kałasznikowa i Strzelał dopóty, dopóki nie rozpruł Wietnamczyka kulami.

Banks wyglądał tak upiornie, że Rambo zrozumiał dla tego człowieka koszmar też się nigdy nie skończy.

Podobnie jak dla jego kolegów.

Ta wojna będzie z nimi aż do samej śmierci.

Wspinali się, Wdrapywali i wczołgiwali do śmigłowca, by zbić się w gromadkę na podłodze kabiny. Rambo ułożył koło nich rannego, szybko zamocował na trójnogu karabin maszynowy i usiadł za sterami. Pośród narastającego jęku silnika i coraz szybszego łopotu wirników dobieg go obcy, ledwiesłyszalny dźwięk.

Mimo to Rambo go usłyszał. Spojrzał przez ramię i wszystko zrozumiał. Po policzkach spływały im łzy, Szlochali. •

Rozbolały go zaciśnięte szczęki.

Spojrzał w szybę. Rotory wirowały z pełną szybkością.

Miał rację. Ta wojna nigdy ich nie opuści. Serce w nim zamarło, bo oto w jaskrawym blasku słońca dostrzegł sylwetkę masywnego rosyjskiego śmigłowca szturmowego-.

Masywny” to zbyt słabe określenie. Leciał ku nim MIL MI-24. Mimo odległości Rambo natychmiast go rozpoznał, gdyż MIL wyglądał jak potworna hybryda, jak skrzyżowanie śmigłowca z samolotem, jak wagon towarowy ze śmigłami.

Jezus Maria, skurwiel miał skrzydła.

A pod skrzydłami - cały arsenał. Dźwigał tam broń, .. Kurwa, chyba nie było broni, której by tam nie miał. Działka, rakiety, pociski kierowane, wszystko. Pękate kształty pod skrzydłami budziły grozę.

A przy tym, sukinsyn, schodził w dół z niewiarygodnym wdziękiem.

Rambo poderwał maszynę i skierował ją ku skrajowi dżungli, MIL otworzył ogień. Po prawej stronie Hueya wytrysnęły fontanny ziemi, podążając jego śladem.

Śmigłowiec był przeciążony, mało brakowało i zawadziliby o wierzchołki drzew. Ale zdążyli i Rambo natychmiast szarpnął drążkiem w lewo, chcąc uniknąć ognia z działka dziobowego MIL-a. Więźniowie powpadali na siebie. Rambo szybko zerknął do góry i spostrzegł, że MIL >zakręca szerokim łukiem, by znów usiąść im na ogonie. Skręcił w drugą stronę, w prawo, i seria z działka skosiła wierzchołki drzew.

W kabinie zajazgotało. To Banks. Kurczowo ściskając uchwyty karabinu maszynowego, odpowiadał ogniem na ogień.

Rambo pchnął drążek i Huey opuścił dziób. Ziemia zawirowała, horyzont stanął dęba. Pędzili coraz szybciej, schodzili coraz niżej. Śmigłowiec Zadarł ogon, pręt anteny dziobowej chłostał liście drzew.

Rosyjski szturmowiec położył się na bok. Dzięki Stabilności, jaką zapewniały mu skrzydła, mimo swego ogromu wykonał zdumiewająco ostry skręt. Był co najmniej dwa razy większy od Hueya, miał silnik co najmniej dwukrotnie większej mocy i szybko ich doganiał.

Desperacko ściskając drążek sterowniczy, Rambo spoglądał na wierzchołki drzew śmigające pod brzuchem maszyny z szybkością stu dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Zdawało się, że lecą centymetry nad nimi. Huey to gwałtownie skręcał, to raptownie zniżał lot, ciskając więźniami o burty.

Tuż obok przemknęły dwie rakiety i między drzewami rozbłysły olbrzymie kule ognia. Szturmowiec był tuż, tuż i wówczas Rambo dostrzegł w dżungli zygzakowatą wyrwę. Skręcił, zeszli niżej i lecieli teraz nad rzeką. Drzewa na jej brzegach tworzyły wąski kanion z pochyłymi nad wodą ścianami. Rosyjski szturmowiec był za duży, żeby się między nie zapuścić.

Wygląda na to, że Huey też, pomyślał Rambo. Kadłub maszyny rozcinały mroczne cienie. Korony drzew szczepiały się ze sobą zwisając tak nisko, że musieli przelecieć pod nimi. Spod płóz Hueya buchnęły strugi mulistej wody.

MIL znów wystrzelił dwie rakiety. Jedna trafiła w drzewo na brzegu, druga w rzekę. Gdy przelatowali obok ognistej kuli, lewą burtę Hueya zbryzgała woda.

Koryto rzeki skręcało, wiło się w dżungli, meandrowało. Skupiony Rambo wyczuwał wszystkie przeszkody niczym natchniony jasnowidz i omijał je w ostatniej chwili.

Z dżungli po prawej stronie wytrysnął gejzer ognia. Ciśnięty podmuchem eksplozji Huey zachybotał i trrach! - odłamki strzaskały przednią szybę kabiny. Rambo wykrzywił twarz. Ostre

kawały pleksiglasu i metalu poharatały mu ramię i pierś, zemdliło go z bólu i przez chwilę myślał, że ma złamaną rękę. Któryś z więźniów jęknął głośno, jakby oberwał.

Kadłub śmigłowca zadygotał. Stery chodziły ciężko. Maszyna reagowała z opóźnieniem.

Koniec z nami, pomyślał Rambo. Jeśli następna rakietka wybuchnie tak blisko nas, ..

Blisko? Nie. Wiedział, że następna trafi bez pudła, bo Huey leciał teraz tak ospale, że rosyjski pilot nie będzie miał kłopotów z dokładnym wycelowaniem. Pięć sekund, najwyżej dziesięć i...

Rambo zmniejszył obroty silnika. Śmigłowiec zwolnił jeszcze bardziej i rozhuśtany jak maszyna pozbawiona sterów, zagłębił się w długi, ciemny korytarz pod baldachimem zwisających nad wodą konarów. W połowie korytarza zawisł w powietrzu.

- Banks! Rozejrzyj się tam z tyłu i znajdź raketnicę! - Mam strzelać do tego bydlaka z głupiej raketnicy?!

- Nie! Wał w skraj dżungli! Znalazłeś?

- Tak, mam...

- No to już!

Raca eksplodowała na brzegu rzeki. Buchnął ogień i kłęby dymu.

Rambo spróbował wyobrazić sobie reakcję rosyjskiego pilota. Huey zniknął, nie wychynął po drugiej stronie korytarza. Istniała szansa, że Rosjanin pomyśli tak: Huey był tak mocno uszkodzony, że się roztrzaskał; dym i ogień miały go w tym przekonaniu utwierdzić. Odczeka kilkanaście sekund, a kiedy śmigłowiec się nie ukáže, sprawdzi

wejście do korytarza, żeby potwierdzić swoje domysły. Kiedy je potwierdzi, zawiśnie w powietrzu i skosi drzewa raketami.

Siedem, liczył Rambo.

Leciutko pchnął drążek. Huey przesunął się do przodu.

Sześć.

Drążek do siebie. Stop.”

- Przytrzymajcie się czegoś! - wrzasnął przez ramię.

Pięć.

Zwiększył obroty silnika.

Cztery.

Zagryzając z bólu wargi, przetarł ręką zalane krwią i potem oczy.

Trzy.

Przytknął kciuk do spustu Smoka.

Dwa.

Jeden.

Miał dziwne wrażenie, że siedzi w kabinie buksującego przed startem dragstera, bo gdy silnik zawył na maksymalnych obrotach, Rambo, zwiększył gwałtownie skok śmigieł i maszyna wystrzeliła przed siebie jak z katapulty. Żołądek przylgnął mu do kręgosłupa, by sekundę później, gdy maszyna raptownie zadarła dziób, opaść jak kamień w głąb trzewi. Modląc się, żeby stery wytrzymały, Rambo jeszcze bardziej ścisnął na siebie drążek i nagle Huey znalazł się naprzeciwko MIL-a. Śmigłowce zawisły w powietrzu pysk w pysk, tak blisko siebie, że na twarzy pilota Rambo dostrzegł wyraz osłupiałego zdziwienia.

Ośłupiałe zdziwienie - ostatnie uczucie, jakiego Rosjanin miał doświadczyć.

Rambo nacisnął spust.

Błyskawica. Grzmot. Niebo eksplodowało.

Rozdział 20

Samotnik do Wilczej Nory:.. Samotnik do Wilczej Nory. Czy mnie słyszycie? Odbiór.

Na rozkaz Murdocka przełączono dźwięk i zamiast przez słuchawki, wszystkie meldunki docierały do nich przez głośniki.

Murdock zeszywniał, gdy usłyszał ten głos.

Jego głos.

Głos człowieka wyczerpanego, skatowanego.

- Odpowiedz - warknął.

- Słyszemy cię, Samotniku - potwierdził radiooperator. - Nadawaj.

- Przygotujcie się do... - Rambo gwałtownie zaczerpnął tchu, jakby chwycił go atak bólu. - Przygotujcie się do lądowania awaryjnego. Wracam do bazy z... - Znów bolesne sapnięcie, niemal jęk.”~ Z grupą amerykańskich jeńców wojennych na pokładzie. Odbiór.

Żołnierze i technicy zgromadzeni wokół konsoly spojrzeli wyczekująco na Murdocka, a kiedy nie zareagował, spochmurnieli. Niektórzy poruszyli się niespokojnie.

Murdock przypatrywał się im, zdając sobie sprawę z ich wrogości.

- Odpowiedz, że.., - Zastanawiał się przez chwilę. Odpowiedz tak: “Zrozumiałem. Lądowanie awaryjne. Dobra robota, Samotniku. Przygotowania w toku”. •

Ktoś wydał okrzyk radości. Pod wpływem zaraźliwego impulsu przyłączyli się do niego inni. Rozkrzyczani jak zawodnicy szkolnej drużyny futbolowej po zwycięskim meczu, popędzili po nosze, po sprzęt medyczny i po gaśnice, żeby zlać pianą lądowisko...

Hangar szybko opustoszał.

Zostali tylko radiotechnik, Ericson i Doyle,

- Do diaska. - Murdock wzruszył ramionami. Ostatecznie chyba na to zasłużył. Dajcie mu eskortę.

- Nie ma sprawy. Ale musimy trochę poczekać. -Ericson spojrział na ekran radaru. - Nie wiemy, z jakiego kierunku nadlatuje... Dobra, widzę go, - zmarszczył brwi. Dziwne, cholernie wolno leci. Na jego miejscu spieprzałbym stamtąd, aż by się kurzyło. Nie, coś jest nie tak,

- Tym bardziej musimy tam lecieć - wtrącił Doyle. Trzeba go ubezpieczyć. ,

- Amerykańscy jeńcy wojenni - szepnął radiooperator, kręcąc głową. - Jeszcze trochę i znów odezwie się we mnie patriotyzm. Czuje się jak w siedemdziesiątym trzecim, kiedy wróciła tamta grupa.

- Tak - mruknął Murdock -, wojna. Wygrana czy przegrana, nigdy się nie kończy.

Rozdział 21

Tak, Gwiezdne wojny - mówił, żeby zapomnieć o bólu. - Gwarantuję, że jak wrócicie do Stanów, obejrzycie ten film z sześć razy. Niektórym dwadzieścia razy było mało. Więźniowie tłoczyli się za nim jak zahipnotyzowani.

- Skywalker? - spytał Banks. Rambo drgnął, wykrzywił twarz. Próbował utrzymać śmigłowiec na kursie i zwalczyć koszmarny ból, od którego chciało mu się wymiotować.

- Tak, Skywalker. I ten drugi, w czarnym hełmie i w masce na twarzy. Darth Vader. Ma taki miecz... Właściwie to nie miecz tylko... Przed nami rzeka Mekong, panowie.

Więźniowie zapomnieli o Gwiezdnym wojnach. Myśleli o czymś bardziej podniecającym,

- A za rzeką? - spytał Banks. - Czy to...?

- Tajlandia - odrzekł Rambo.

- A dalej?

- Dom,

Na dźwięk tego słowa w kabinie zaległa cisza.

- Dom - wyszeptał któryś. -, Tyle lat. Czasami od zmysłów odchodziłem i tylko wspomnienie...

- Coca cola - przerwał mu ktoś inny.

- Pizza pepperoni. - Hoddogi. I frytki.

- Piwo! Dodgersi.

- Mój chłopak ma teraz chyba z szesnaście lat. Pewnie prowadzi już wóz. •

- Moja żona. Ciekawe, czy na mnie...

- Jak tam jest?

- Właśnie, jak tam jest? Na świecie. Rambo zawahał się.

- No mów! - nalegał Banks. - Co ci jest?

- Nic. • Nie mógł im tego powiedzieć. Popęłniłby grzech. To by ich dobiło. - Jak tam jest?

W domu? Tak jak zwykle - skłamał. - Stara, dobra Ameryka. Nigdy się nie zmienia.

- Pieprzysz. Przecież coś musiało się zmienić.

- No jasne, trochę się chyba zmieniło. Prezydentem jest Ronald Reagan.

- Ronald... Chwila, ten aktor?!

- Zgadza się. - Mimo bólu, zachichotał. - Z Hollywoodu do Białego Domu.

- O kurwa.

- Tak jest, moje słowa.

Nie, nie mógł im powiedzieć, że miejsce Wietnamu

zajęła Nikaragua. Ani tego, że pieśń Johna Lennona Dajcie pokojowi szansę zginęła w brzęku oręża.

Może dlatego miecz Luke'a Skywalker'a był tak popularny. Sterylne uosobienie wojny Jak obetną ci rękę, dostaniesz nową. Film. Tak. John Wayne, Ronald Reagan i filmy. Nie, nie mógł im powiedzieć o Nikaragui. To ponad ich siły. Nie, tego by nie wytrzymali.

Rzeka rosła w oczach. Na niebie po jej drugiej stronie dostrzegł maleńką kropeczkę.

Rozdział 22

Murdock odesłał radiooperatora.

- Ja się tym zajmę - powiedział. - Idź ich wypatrywać. - A kiedy technik wyszedł z hangaru, sięgnął po mikrofon. - Przywódca do Młota. Gdy niezidentyfikowany, powtarzam, niezidentyfikowany śmigłowiec przekroczy granice Tajlandii na rzece Mekong, zestrzel go. Wszystkie pozostałe rakiety odpal we wrak. Nikt nie może przeżyć. Powtarzam, nikt nie może przeżyć. Młot, czy mnie zrozumiałeś? “

Przez trzaski przebił się niepewny głos Ericsona.

- Eeee... Melduję, że mam kłopoty ze słuchem, - O czym ty gadasz? Odbiór.

Rozdział 23

Eeee... - wyjaśnił Ericson, siedząc za sterami śmigłowca - kłopot polega na tym, że mam coś w uchu.

W uchu miał lufę karabinu Trautmana.

Z tyłu kabiny leżał nieprzytomny Doyle. Brezent zakrywający sterty skrzynek z amunicją, pod którym ukrył się przed startem Trautman, był odrzucony. Pułkownik jeszcze mocniej przytknął lufę do ucha Ericsona i pochylił się, żeby wyłączyć radiostację.

_ - Powiedz mi, Ericson, wolałbyś teraz pilotować śmigłowiec turystyczny? Gdzieś na południu Francji?

Za szybą widział już Hueya. I zakrwawionego, skrzywionego z bólu Rambo za sterami.

Był pewien, że Rambo też widzi, jak on, Trautman, stoi za Ericsonem z karabinem przy jego uchu.

I z godnością zawodowców - Trautman z trudem łapał oddech - pozdrowili się skinieniem głowy,

Rambo, Kocham cię.

Rozdział 24

Nie zwracając uwagi na pianę pokrywającą płytę lądowiska, posadził maszynę przy drzwiach i wściekle manewrując sterami, wprowadził ją do hangaru. Za śmigłowcem wpadli do środka sanitariusze i strażacy. Za nimi - żołnierze. Rambo stanął w otwartych drzwiach kabiny z karabinem maszynowym w rękach. Twarz miał tak przerażającą, że wszyscy cofnęli się w popłochu.

Wszyscy oprócz jednego sanitariusza, który zajął do kabiny i aż się wzdrygnął na widok przelewającej się na podłodze krwi.

Rambo był nią umazany od stóp do głów. Ściekała z niego i gdy szedł, zostawiał za sobą szkarłatny ślad.

Wylądowała Augusta. Gdy żołnierze wymierzili do niego z karabinów, Rambo usłyszał za sobą ostry głos. Głos Trautmana. Dobiegał z głośnika zamontowanego na śmigłowcu.

- Opuścić broń! Powtarzam! Opuścić broń! To rozkaz bardzo wkurwionego pułkownika! I

Rambo odwrócił się i przez drzwi hangaru spojrzał w stronę śmigłowca. Trautman stał w progu kabiny i mierzył w żołnierzy z maszynowego M-60.

Jego oczy mówiły wszystko.

W sześćdziesiątym ósmym, w Sajgonie, spędzili w barze całe popołudnie.

Trautman powiedział mu wtedy:

- Mam dwie córki. Cieszę się, że to córki. Kocham je. Wierz mi, nie chciałbym chłopaków. Ale gdybym miał syna, chciałbym, żeby był taki jak ty.

A Rambo odpowiedział:

- Mój ojciec pił, bił matkę. Cieszyłem się, że idę do wojska. Bo mogłem uciec od... Gdybym miał porządnego ojca, chciałbym, żeby był taki jak pan.

Teraz wymienili spojrzenia.

Rambo zrozumiał.

Miał pozwolenie.

Wycelował w komputery, radary, w radiostacje i konsolety, i nacisnął spust. Dygocząc od odrzutu ciężkiej broni, rozniósł to wszystko w pył, tak samo jak obóz.

Konsolety eksplodowały. Komputery rozpadały się na części. Ekrany radarów wybuchały.

Dało mu to wielką satysfakcję.

Ale nie wystarczającą.

O, nie..

Przesunął lufę karabinu i wbił wzrok w Murdocka,

skulonego przy ścianie, Ruszył ku niemu rozjuszony. Serce waliło mu jak młotem.

- Ty! - wrzasnął. - Ty! To ty jesteś całym złem! To przez larwy takie jak ty pojechałem tam pierwszy raz! I drugi raz też! Zdradziliście mnie, wtedy i teraz! Wtedy nie pozwoliliście mi wygrać! A teraz flaki z siebie wypruwałeś, żebym tylko przegrał! Ale i tak wygrałem! Wygrałem?!
- Na szyi wystąpiły mu rzemienie ściągien, jakby się dusił.

- Moment - zaprotestował Murdock, rozplaszczając się na ścianie. - Mylisz mnie z facetami, którzy wydają rozkazy. Ja jestem tylko pośrednikiem, jestem tylko...

- Narzędziem - dokończył Rambo podchodząc bliżej: - Pierdolonym narzędziem. A wiesz, co zaraz zrobię z twoim narzędziem?

- Chwileczkę, Rambo. - Murdock przycupnął pod ścianą. - Musisz...

- Co muszę?

- Musisz pozwolić mi się wytłumaczyć.

- Chcesz mi wytłumaczyć, że faceci tacy jak ty, i politycy, którzy wydają ci rozkazy, wywoływaliby o wiele mniej wojen, gdyby sami musieli w nich walczyć?

- No tak, jasne... - Murdock trząsnął się i kulił w rogu hangaru. - Skoro tak uważasz, to na pewno... Oczywiście, skoro tak sądzisz.

- Wiesz, co ja sądzę? To. - Rambo podniósł karabin, wycelował w Murdocka i pociągnął za spust.

Klik.

Murdock narobił w spodnie.

Żółtawa, przesiąkająca przez spodnie ciecz ściekała mu po nogach na podłogę.

- Tam jest ich więcej - wysapał Rambo. - Więcej naszych. Znajdź ich. Albo ja znajdę ciebie.
Może wtedy ta wojna się wreszcie skończy.

Rzucił karabin na podłogę, odwrócił się i wyszedł na spotkanie...

...Trautmanowi.

Rozdział 25

Stali i patrzyli sobie w oczy.

- W Stanach, w więzieniu - zaczął ojciec - spytałem cię, czego pragnąłeś. Pamiętasz swoją odpowiedź?

Rambo kiwnął głową.

- Żeby ktoś powiedział mi...

- Dokończę. "Dobra robota, John." Szczerze. Rambo poczuł w gardle dławiący ucisk.

- A teraz? - spytał pułkownik.

- Nie wiem.

- Chcesz towarzystwa?

- Tak. Ale... - Przeżył tak wiele, miało nim tyle uczuć, że omal nie zwymiotował. - Ale nie teraz.

- Rozumiem. Lepiej już idź. Ci sanitariusze muszą cię obejrzeć. Myślisz...

Rambo czekał.

- ...że to już wreszcie koniec?

- Po tym drugim razie?

- Ale tym razem wygrałeś. I wierz mi albo nie... Rambo milczał.

- ...ale dostaniesz za to drugi Medal of Honor. Dwóch nie dostał jeszcze nikt.

Rambo spojrział na jeńców, których wynoszono na noszach ze śmigłowca, i serce wezbrało mu miłością.

- Dajcie go im.

- A ty?

- Ja? Nie pamięta pan, czego mnie pan uczył? Cała sztuczka polega na tym, żeby przetrwać.

- To wszystko?

Co zadała mu podobne pytanie. Co.

- To wszystko - odrzekł. - Bo czy warto dla czegoś żyć?

Leżący na noszach Banks podniósł kciuk i zawołał:

- Dobra robota, stary!

Koniec